

MIESIĘCZNIK

4(67) KWIECIEŃ 1988 CENA 200 ZŁ

# Fantastyka

PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839



WOJTEK SIUDMAK





## Z PLANETY PARYŻ

Kiedy w pobliżu Łuku Triumfalnego Wojtek Siudmak wręczał mi swój pierwszy album, na tytułowej karcie napisał dedykację z pozdrowieniami z planety Paryż. Czy było to wówczas jakieś dystansowanie się od naszej sytuacji i sztuki, czy też po prostu manifestowała się w tej dedykacji niepewność jak w takim piśmie jak „Fantastyka” zostanie przez polską publiczność przyjęta jego twórczość.

Zwłaszcza iż w tym kraju rodzą się znakomici artyści, ale zrozumienie ich dzieł jakoś nie bardzo pozostaje w racjonalnych proporcjach do wartości i sławy owych artystów. Tym większe okazało się moje, nasze, redaktorów „Fantastyki”, zaskoczenie pochwalnymi listami i opiniami Czytelników, a Wojtek bardzo szybko zawedrował do czołówek najulubieńszych autorów naszego czasopisma. I ciągle jego prace, zarówno kolorowe afisze, o zbudowanych surrealistycznie, dość katastroficznych na ogół, obrazach, jak i nade wszystko precyzyjne i delikatne kreski – budzą zachwyty.

Niektórych naszych kolegów (typowo to polskie) drażni już Wojtkowa maniera perfekcyjności rysunków i malowideł, wszystko podług niej doskonale skomponowane, dokładnie wykonane, ciała ukazujących istot – piękne, gibkie i smukłe, smuklejsze w proporcjach od rzeczywistych. Twarze gwiazdorskie, bez skaz. Jest to, jakieś bardzo starogreckie – ktoś to kiedyś u nas powiedział – kolorowe i klasyczne w liniach, toż to raczej świat bogów, to raczej Olimp, niż zwykła ziemia. A katastrofy przedstawiane są tak, aby nie uronić uroków rujnowanego starożytności, czy prastarego Olimpu. Wojtek zdobył rozgłos światowy, ale i polskiemu miłośnikowi fantastyki...



## Siudmak • 004 •

dlatego, że jego sztuka jest zaprzeczeniem do niedawna, jeszcze i do teraz zresztą, szalejącej mody na drastyczność i brzydotę. Polscy turpiści znani są także na świecie i wysoko cenieni, ale publiczność naszego kraju woli piękno, nawet jeśli ono mu się aż nazbyt narzuca, jeśli staje się regułą powszechną, jak to się dzieje z tym co właśnie ukazuje Siudmak. On „zachwyca do piękna”, jakby to powiedział Norwid, że przypomnę tu fragment poematu tego artysty nad artystami, w całości zapewne ogółowi znanego. Z planety Paryż, z jednego z satelitów tej planety, miasteczka małego, acz bliźniutko stolicy światowej sztuki położonego, wedruje do dalekiej Ojczyzny optymizm Wojtkowy i jak w dziesiątkę trafia w gusty szerokiej publiczności.

Ja osobiście szczególnie gustuję w jego kreskach, których finezyjność jest wprost nadzwyczajna, ujawnia bogactwo treści, nie jest to programowość w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie jakieś historyjki czy nawet sny dla zadziwienia lub ubarwienia mieszczuchów, są to rysunki, powiązane dziesiątkami linii – nici z obiektem malowanym przez artystę, po to, aby wydobyć na jaw cechy charakterologiczne...

I te „rysowane podteksty”, tak to sobie pozwalam nazwać, ogromnie pogłębiają wymowę utworów.

Na życzenie Czytelników pokazujemy dziś właśnie te prace Wojtki Siudmaka, które tak bardzo frapują jego miłośników: serię dotychczas nie publikowaną w naszej „Galerii”. Pragniemy również przypomnieć, że Wojtek, cieszący się sławą i powodzeniem w całej Europie, a także i w Ameryce, wykonujący ilustracje i okładki dla najbardziej znanych firm wydawniczych Zachodu, nie zaniebuje i nie lekceważy widzów kraju, z którego pochodzi, szczególnie fanastyków. Redaktor „Fantastyki” ma pozwolenie na publikację jego utworów za ziołówki i to nie tylko na terenie Polski. Wojtek Siudmak pozwolił na przykład na opublikowanie niektórych prac za forinety, na Węgrzech, gdzie ma się w bieżącym roku odbyć międzynarodowy kongres Światowej Organizacji Profesjonalistów SF (WSF) oraz Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction.

A więc dzisiaj nowa „Galeria”, jakże za domowionego już u nas, gości z planety Paryż. Są w tej „Galerii” (to niespodzianka i przeżycie)

**4, 6**

W jubileuszowym roku Jacka Williamsona (osiemdziesiąte urodziny, sześćdziesięciolecie kariery pisarskiej) drukujemy opowiadanie specjalnie napisane na tę rocznicową okazję. Polecamy również szkic Frederika Pohla o tym klimacie światowej science fiction.

## Opowiadania i nowele

Jack Williamson  
Umysłowiec

**4**

„...Czuł, jak pielęgniarki rozciągają wokół niego swoją sieć węzowych kabli, amaruja go klejem, przykładają do jego nagiego ciała czujniki telemetryczne. Ich zwinne palce gładziły jego obojętne wierzchołki głowy. Poczuli ułkanie, gdy ciągnęły przewody łączące jego mózg z komputerem głównym...”

Eric Simon  
Clivia Neman

**10**

„...Ona ma 30 lat. Ale urodziła się 114 lat temu...”

Brian Aldiss  
Pozory życia

**12**

„...Według ówczesnego żargonu jest to tak zwany holocron – wyjaśnij katalog. – Hologramowy obraz autentycznej kobiety, przy czym kopia jej mózgu umieszczona jest na prasowanym rdzeniu ze stopu germanowego...”

## Powieść

Larry Niven  
Pierścień (2)

**21**

„...nad wewnętrzną powierzchnią pierścienia znajdowała się almostera. Analizy widma wykazały, że jej gęstość i skład zbliżone są do ziemskiej; mogli ją oddychać zarówno człowiek, jak i kzin i tatecznik. Skąd tam się wzięła i jak się utrzymywała, pozostawało tajemnicą. Trzeba po prostu polecieć i sprawdzić...”

## Komiks

Wilcza kłątwa (4)

**31**

Ostatnia część komiksowego debiutu spółki Komorowski-Ziemkiewicz. Redaktor w „Łądowaniu” prosi Czytelników o ocenę.

## Z polskiej fantastyki

Wojciech Jankowski  
Zupełnie nowy interes

**45**

„...pchnął silnie okiennicę. Zanim jej skrzydła stuknęły o ścianę domu, z nożem w lewej ręce wyskoczył przez okno. Miał do przebycia trzy kroki. Mężczyzna z bańką był szybki; zdążył puścić bańkę i sięgnąć pod lewą pachę...”

Jacek Inglot  
SCENCE and FICTION, Inc.

**50**

„...Rzecz cała rozegrała się za kulisami Kongresu na tajnej naradzie u Andy’ego Schat-Mata. Skonfrontowano dwie koncepcje: „nouveau romanesque” N. Ollanda i SForno M.P. Dziś wiemy, kto wygrał...”

## Krytyka

Niesamowity, dziwaczny, szalony

**53**

Esaj Stefani Beylin o zapomnianym pisarzu epoki romantyzmu – Ludwiku Sztymmerze. Na str. 54 fragment jego powieści „Frenofagiusz i Frenolesty”.

Osaczanie fantastyki

**56**

Fragment poświęconej literaturze horroru książki „Gra ze strachem”, autorstwa zmarłego przedwcześnie w listopadzie 1987 r. Marka Wydymucha.

Słownik polskich autorów fantastyki

**57**

Sylwetki Lucyny Penciak (ur. 1914) oraz Bohdana Peteckiego (ur. 1931 r.).

Adam Hollanek  
A jednak romantyzm (2)

**58**

„...Krok za krokiem fantastyka wciska się i wypiera główne nurty literatury, kina, wideo...” – szkic analizujący przyczyny i istotę powodzenia prozy fantastycznej (część 1 – patrz: „Fantastyka” nr 2/88).

Recenzje

**60**

Omawiają: Zygmunt D. Buszniewski – dwutomową antologię radzieckiej SF „Galaktyka”, Małgorzata Skórska – bestseller Umberto Eco „Imię róży”, Magdalena Szmít – dziwną baśń Hugó Hiriarta „Galaor”.

## Nauka i SF

Szczeliny (1)

**62**

Maciej Kłowiecki: „...nauka jest jednym z najlepszych może źródeł wiedzy o świecie nas otaczającym i o nas samych, ale nie jedynym...”

## Film i fantastyka

Mucha

**64**

Perypetie człowieka-muchy po osiemnastu latach w nowej wersji! – Reżyser David Cronenberg wykorzystuje pomysł klasycznego filmu grozy Kurta Neumanna.

Wielu uczonych (mogę zresztą bez żadnej przesady stwierdzić, że zapewne przytłaczająca ich większość) uważa, że z ich naukowych powołań i warunkowań wypływa pełna szansa bezwzględności – całkowitego „poznania” wszystkiego, co nas otacza, a także i nas samych. Tak, jakby nasze życie oraz jego otoczenie było czymś (nie chcę tu powiedzieć zabawką mechaniczną czy mechanicznym tworem), co można rozebrać do najmniejszej cząstki, więcej – do nicości, to znaczy przebadać na wskroś, na durno, bez reszty.

Kto wie, czy pod tym względem najmniej pewności siebie nie wykazują najściślejsi przecież uczeni – fizycy, ludzie dobierający się do samej istoty materii, ale oni się już nie raz i nie dwa popiekli na swoich pewnych czy prawie pewnych modelach atomu i wszechświata, na swoich teoriach podstawowych cząsteczek materii. Oni zdają się więc lepiej widzieć złożoność samych badań, ich relatywizm i to podwójny, tkwiący w samej materii, jak i w tych, którzy tę materię badają, a także dostrzegają przecież rzecz niezwykle ważną: że badania wykonuje ciągle jeszcze nie zbadana i ciągle nieobliczalna jednostka ludzka, bardziej omylna i niepewna swych działań i swego intelektualnego filtru, niż niezawodności wykonanych przez nią instrumentów. W dodatku, snując dumne prognozy czy orzeczenia, należałoby także brać mocno pod uwagę emocjonalne stany podmiotów podejmujących badania naukowe, one przecież także ważą na wynikach. A wszystko razem przyszło mi na myśl, gdy przeczytałem wstęp profesora Włodzimierza Szewczuka do dwóch podstawowych dzieł Zygmunta Freuda: „Psychopatologii życia codziennego” i „Marzeń sennych”, wydanych właśnie w jednym tomie przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (chwala wydawcy). Doceniając kompetencje uczonego, którego w dodatku mam zaszczyt znać osobiście, zostałem zbulwersowany stanowczością, czy nawet wręcz apodyktycznością jego sądów w stosunku do człowieka, którego rola, mimo dziesiątków mniej lub więcej dociekliwych badań i krytyk, i nie została chyba w pełni oceniona i doceniona. Dotyczy to zwłaszcza wpływu Freuda na współczesną kulturę, w gruncie rzeczy trudną niezmiennie do zrozumienia bez wzięcia pod uwagę jego dzieła.

Jeśli nasz Kopernik (a tego „nasz” używam także w znaczeniu europejskim) przez



## Gdyby nie Freud

swoje tezy naukowe stworzył nowy światopogląd humanistyczny, to *toutes proportions gardées*, Freud rozwijając teorię osobowości i budując teorię snów, niezmiennie wzbogacił zarówno obszar badań psychologii, jak i sam wgląd w psychikę ludzką. A ileż zawdzięcza sztuka freudowskiemu metodom poznania, freudowskiemu inspiracjom. Na przykład tak ważny dziś, chociażby w plastyce, ale także i w literaturze, surrealizm, nie mówiąc już o piśmarstwie psychologicznym. Zbyt mało chyba pomników postawiono Freudowi i jego następcom, którzy stali się całą szkołą naukową, mimo że jak to określa profesor Szewczuk „libidalna koncepcja człowieka” Freuda nie potwierdziła się.

Ona właściwie częściowo tylko się nie potwierdziła, na co dowodem może być ciąg zjawisk obyczajowych, a zwłaszcza historia ostatnich czasów. Myślę, że w ogóle historia jako zbiór konkretnych faktów stanowi w stosunku do freudyzmu i nie tylko to dość konkretny i wiarygodny przewód dowodowy, który trudno zanegować, podważyć, biorąc na pomoc oparty na procesach rozwoju historycznego darwinizm.

Współczesny darwinizm bowiem nie jest teorią naukową w jakiś sposób przeciwną koncepcjom Freuda, tym które dotyczą negatywnych, agresywnych pierwiastków także i w człowieku. Nasz Stanisław Lem przedstawia między innymi i te sprawy w swoich książkach o charakterze naukowym, przytaczając zresztą wiele dowodów i wybitnych nazwisk. Ostatnio napisano o tym także w Beresiu „Rozmowach z Lemem”.

Badania zarówno ewolucji biologicznej, jak i historycznej wskazują na duże prawdopodobieństwo istnienia i przewagi w naturze ludzkiej cech agresywnych, co artykułował przecież Freud i jego następcy. Agresja zresztą pomaga człowiekowi w jego zmaganiach z naturą i wszechświatem. Ludzkość od zarania swych dziejów walczyła najpierw z przyrodą o panowanie nad nią, a potem także między sobą – prawie bez przerwy (czy to przypadek?), do naszych czasów włącznie. Już sama proporcja wymogów jednostkowego bytu w stosunku do wymogów bytu społeczeństw, złożonych z indywidualnie percypujących jednostek, zakłada podstawy konfliktu, egoizm nakłada się więc na egoizm, agresja na agresję, jeśli teraz to się zacznie zmieniać, w obawie przed zagrożeniami ostatecznymi, będzie to istotnie triumf rozsądku nad nie w pełni uświadomionymi emocjami. Jednakże to tylko pierwszy przypadek w historii – a w nauce *eins ist keins*, jak wiadomo, więc wszystko się dopiero okaże. Na razie w stosunku do losów ludzkości trudno być zbyt optymistycznie nastawionym. Naturę ludzką kształtuje wiele negatywów świata – już samo wejście w życie zaczyna się od krzyku przerażenia (noworodka), od horroru, którym jest zetknięcie się człowieka przyzwyczajonego do życia w cudownym salonie wnętrza organizmu ludzkiego, oddzielnego od reszty świata systemem szczelnej homeostazy, z otoczeniem tę homeostazę nieustannie atakującym.

Nie są więc przypadkiem ciągle nawroty romantyczności i romantyzmu w dziejach kultury ludzkiej. Wiąza się one ściśle właśnie ze zjawiskami negatywnymi natury człowieka, z agresją, z kryzysami zaufania, z uciążliwościami egzystencji społecznej.

Freud żył w okresie neoromantyzmu, swoją twórczością współtworzył i podbudowywał go naukowo.

My także żyjemy w czasach bogatych w ruchy romantyczne, poczynające obecnie brać górę nad pozytywizmem, tym bardziej freudowskie koncepcje są bliskie współczesnemu człowiekowi, człowiekowi wchodzącemu wkrótce w nowe stulecie, z balastem zagrożeń i agresji, kto wie czy nie znacznie większym i drastyczniejszym niż te z czasów Zygmunta Freuda.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MIĘSIĘCZNIK LITERACKI  
**Fantastyka**

Adres redakcji:  
00-640 WARSZAWA,  
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nac., sekretariat, dział: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nac., sekretariat, dział: zagr., krytyki)

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.

Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczynek (kier. działu zagr.), Sławomir Kędziński (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nac.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nac.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Dariusz J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Włókiendrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii czerwonej 28. Zam. 751/88, U-54. Nakład 200 000 egz.



# Lądowanie LXII

Wiele osób pisze do nas z obawą, że wykluczyliśmy komiks z numerów „dużej” „Fantastyki”, lub pyta dlaczego takie przerwy między naszymi komiksami. Najwięcej zaś Czytelników wyraża zainteresowanie dalszymi losami Funky’ego Kowala. Dla wszystkich najpierw generalne wyjaśnienie. Nie mamy wcale zamiaru zrezygnować z komiksu na łamach macierzystego miesięcznika, mimo że magazyn specjalnie poświęcony komiksowi już rozpoczął na dobre swój żywot. Dobrą także wiadomością pragnę przekazać przyjaciółom Kowala: autorzy wcale nie chcą opuścić swego bohatera. Przeciwnie, zaczynają przygotowywanie nowego serialu z jego życia.

Zanim jednak rysownik zdąży z przelaniem pomysłów autorów na karton, oceńcie Państwo komiks inny – ten, który właśnie zakończyliśmy. Wydaje nam się on ciekawy, mimo że to kilka zaledwie odcinków. Zobaczmy jak Państwo nań zareagują.

Nawiązaliśmy ostatnio kontakt z przedstawicielami (byli w gościnie u nas) miasta szwajcarskiego w górach – Sierre, gdzie zostanie zorganizowany doroczny festiwal komiksu dla dorosłych. Polscy twórcy mają szansę uczestniczenia w nim, a nasza redakcja pragnie wykorzystać ten Kongres do nawiązania współpracy z czołowymi rysownikami Europy. A oto porcja listów:

## Nudziarze się nudzą

Jestem czytelnikiem Waszego pisma od czasu powstania tego wspaniałego miesięcznika, zaczęłam czytać „Fantastykę” w wieku 16 lat, więc nie mogę przejść obok nad stanem Waszego pisma.

Uważam, że poziom w 1987 r. był naprawdę słaby. Co stało się z powieściami? Gdzie podziały się tego typu utwory jak „Zapomnij o Ziemi”, „Czas jest najprostszą rzeczą”, „Gwiazdy – moje przeznaczenie”, „Aleja Potępienia”, „Formy Chaosu”. Proszę zauważyć – w każdym roku ukazywała się choćby jedna dobra powieść. Co się stało?

**Tomasz Gnielński z Katowic**

Mam wszystkie numery i z przykrością stwierdzam, że „Fantastyka” staje się z numeru na numer nudniejsza, powieści i opowiadania są bez akcji, rozwlekłe, ambitne, ale nudne. Gdzie te czasy, gdy drukowaliście „Świat czarownic”, „Aleję Potępienia” – to były hity.

**B. Bobrowski**

Mieszkam w województwie toruńskim i już od kilku lat jestem miłośnikiem fantastyki i „Fantastyki”. Najbardziej sobie cenię utwory gatunku science fiction i SF-horror; na temat pozostałych kartek nie wypowiadam się ze względów zdrowotnych. (...) Nie chcę Was martwić, ale dobrej fantastyki jest coraz mniej... Poszukuję „Fantastyki” nr 1/82. Borunia i Manczarskiego „Parapsychologii” oraz innych książek o tej tematyce.

**Tomasz Nowicki**  
GRUDZIĄDZ  
Korczak 7/32

## Poszukiwacze UFO, czyli NOL

Świętokrzyska Grupa Inspirująco-Twórcza „Gołoborze” z Kielc informuje, iż dysponuje własnym oryginalnym systemem świetlno-chromo-muzycznym – zwłaszcza do Kontaktów z NOL, który to system, jako nowe pismo, 3 XII ubiegłego roku został wstępnie przyjęty przez komórkę wynalazczości Przedsiębiorstwa Eksportu Usług Technicznych EXBUD w Kielcach...

Za grupę

**Sławomir K. Zyguła z Kielc**

Mam 16 lat, chodzę do ZSZ nr 3 w Mławie, specjalność: kierowca-mechanik... Wasze pismo jest fantastyczne, ale nie znać to, że są w nim zawsze same hity, za bardzo skąpicie autorów amerykańskich. Bardzo dobre są artykuły p. Ilowieckiego, trochę więcej miejsca proszę udostępnić p. Mostowiczowi – ufologowi. Jeśli chodzi o pisarzy polskich, to świadczą oni, że polska fantastyka jest naprawdę bardzo dobra.

**Robert Grabowski z Mławy**

## Konkurs i grafomani

Zdecydowałam się napisać ten list chyba dla spokoju własnego sumienia. Jestem studentem IV rok medycyny i jednym z nawiązanych młodzików, którzy brali udział w II Konkursie „Fantastyki”. Nie odniosłem sukcesu i między innymi do mnie był adresowany artykuł „Konkurs i grafomani” pióra bardzo przeze mnie cenionego Macieja Parowskiego. Duży kubek zimnej wody na głowę. Myślę jednak, że nie od rzeczy byłoby przedstawienie powodów, które skłoniły mnie do pisania. Każdy człowiek posiada własną wizję świata, mam na myśli krainę, która stanowiłaby odskocznnię od codziennych problemów. Podróż, po której z ochotą można by wrócić do zwykłego życia. Właśnie fantastyka przy swoim braku ograniczeń stwarza taką szansę. Nie będę ukrywał, że ideałem w tym względzie jest dla mnie J.R.R. Tolkien. Mój świat jest bardziej brutalny, dużo w nim krwi, magii i jarzących się w mroku zrenic. Kłopot polega na tym, że myślę obrazami. Mam trudności z przełaniem swoich wizji na papier. Trochę rysuję, ale to dopiero początki. Myślę, że jeżeli

choć jedna osoba zagłębi się w mój świat, to warto pisać. Na zakończenie składam serdeczne życzenia dalszego kursu w obranym kierunku i lepszego papieru dla „Galerii”.

**Krzysztof Czernicki**

z Mikołowa

## Podziękowania za życzenia

Istotnie, choćby dla jednej osoby, która nas rozumie, warto pisać. Miło nam także było, że dostaliśmy mnóstwo życzeń, związanych z okresem świątecznym i noworocznym, na które teraz, w styczniu, kiedy to piszę, odpowiadam równie serdecznie. Niestety, tekst ten dojdzie do Państwa dopiero w kwietniu, może w maju, gdy już będzie nawet po Wielkanocy, a nie tylko po Bożym Narodzeniu i Nowym Roku. Niemniej życzenia w imieniu Redakcji i moim są dla wszystkich Państwa jak najszczerze i najlepsze. Dziękuję za życzenia i życząc pomyślności: **Krzysztofowi Czernickiemu, Januszowi Mirce, Ryszardowi Cabanowi**, który napisał, żebyśmy byli pierwszym państwem, którego sława obiegła cały wszechświat i byśmy mogli powitać w przyszłości u siebie braci kosmitów, **Alicji Nielsen z Aalborga, Mirosławie Kuleszy z Zabrza, Arturowi Janeczkiowi z Bytomia, Januszowi Czechowi z Częstochowy, Robertowi, Piotrowi Sekorskiemu z Grójca, księdzu Wiesławowi Niewęgłowskiemu z Duszpasterstwa Środowisk Twórczych w Warszawie, Jerzemu Mescie z Bielska Białej, Bronisławie Niemiec z Baranówki, Anastasiosowi Kamburellisowi z Heraklionu (Kreta, Grecja), którego równocześnie informujemy, że postaramy się mu pomóc w otrzymaniu pozycji przez niego wymienionych, proszę tylko podać adres przyjaciół we Wrocławiu, **Markowi Świniowskiemu z Krakowa, Jerzemu Godlewskiemu z Lublina, Michałowi Prokopowi z Czeskiej Lipy** (do pisarzy polskich można pisać via nasz miesięcznik!) i dziesiątkom innych naszych Czytelników, których nazwisk już nie jesteśmy w stanie pomieścić. Piszcie do nas, listy zawsze czytamy, co możemy pomóc – to pomagamy. Rzetelna realizacja prenumeraty nie od nas jednak zależy.**

**Redaktor**

## Konkurs na słuchowisko – wyniki

W listopadzie 1987 r. rozstrzygnięto konkurs na słuchowisko o tematyce fantastyczno-naukowej i popularnonaukowej, ogłoszony przez Program IV Polskiego Radia. Jury postanowiło przyznać:

- I nagrodę (30 000 zł) **Piotrowi Szwedowskiemu** (godło „Kontakt”) za pracę „Pułapka zwierciadła”;
- II nagrodę (25 000 zł) **Andrzejowi Śleszyńskiemu** (godło „Kwark”) za pracę „Zbrodnia prawie doskonała”;
- III nagrodę (20 000 zł) **Róży Holzman** (godło „Ada”) za pracę „Inna”;
- trzy wyróżnienia (po 8 000 zł): **Witoldowi Banachowi** za pracę „Powitanie”, **Bogdanowi Właniewskiemu** (godło „Smok”) za pracę „Inwigilacja” oraz **Adamowi Żmrowskiemu** (godło „Cis”) za pracę „Klatka”.

Jednocześnie informujemy pozostałych uczestników konkursu, że wyróżniające się tematyką i formą słuchowiska, które nie zostały nagrodzone, będą zakupione i nadane w Programie IV Polskiego Radia.

Niektóre z najlepszych prac nadesłanych na konkurs wydrukujemy w „Fantastyce”. To nasza forma nagrody; to rezultat naszej współpracy z Programem IV PR.

# UMYSŁOWIEC

(Mental Man)



Jack Williamson urodził się w roku 1908, jak łatwo więc obliczyć ma lat 80, z tego przez ostatnie 80 był autorem SF. Niezwykła to kariera pisarska – obejmująca całą właściwie historię SF w Ameryce. Jack Williamson nigdy nie pretendował do pierwszego miejsca w gronie jej twórców, ale od 80 lat jest w czołówce! Doceniając jego długą i owocną pracę na polu fantastyki nagrodzono go w roku 1978 nagrodą Nebuli w specjalnej kategorii Grand Master, którą przed nim otrzymał tylko Robert Heinlein. Williamson zmieniał się wraz z czasami, zmieniał tematykę i styl zbierając po drodze nienamą garść entuzjastów, na przykład w ubiegłym roku ukazała się kompletna bibliografia utworów Williamsona ze streszczeniami i omówieniami

wszystkich utworów (za jedne 90 dolarów).

Jack Williamson odniósł się bardziej niż życzliwie do propozycji druku w naszym piśmie („Może nawet uda mi się przyjechać do Polski i zainwestować te złotówki!”) i przysłał nam opowiadanie

„Umysłowiec” (The Mental Man), które „Amazing Stories” zamieszcza w 80 rocznicę debiutu Williamsona.

Przypomnijmy, że tamto debiutanckie opowiadanie z roku 1928 nosiło tytuł „The Metal Man” i zestawienie tych dwóch tytułów jest wielce symboliczne.

Z przyjemnością przedstawiamy również szkic o Williamsonie pióra jego przyjaciela i współautora, znanego dobrze naszym czytelnikom Frederika Pohla.

L.J.



**T**atusiu? Czy będzie koniec świata? – Mała Amy wyliznęła się z łódeczka, żeby wysłuchać ostatnich wiadomości. Obejrzał się i ujrzał ją szlochającą w korytarzu. – Czy nas obronisz?

– Nie płacz, kotku. – Wziął dziewczynkę na ręce i przytulił drżącą do piersi. – Ci dziennikarze... wciąż usiłują nas straszyć, ale światu nic się nie stanie.

Odniosł córeczkę do sypialni i trzymał ją za rączkę, aż nie usypiała, że zasnęła. W godzinę później zadzwonił Rhymer wzywając go do instytutu. Beth wyszła za nim do samochodu.

– Co się sta... – urwała uświadamiając sobie, że i tak nic jej nie może powiedzieć. Czuli na twarzy jej łzy, gdy całowała go na pożegnanie. – Boże, jeśli istnieje – wyszeptala – miej nas w swojej opiece!

Zdarzyło się to trzy noce temu; a może cztery? Jego pamięć spóływała teraz mgłą, wstętna mgła zamazująca wspomnienie napięcia i bólu, ale czas nie miał znaczenia. Liczyli się tylko ciche bomby, czerwony deszcz, projekt BenTech i krzemowe mikroukłady uwierające go pod sklepieniem czaszki.

– Ben? Doktorze Gale? – ocknął się tarmoszony za ramię przez Duvica. – Podczas twojej drzemki nadeszły dalsze zle wieści. Jest rozkaz przetestowania sprzegacza. Masz się przygotować.

Usiadł na leżance znajdującej się w skąpo oświetlonej rozdzielni i sięgnął po buty. Ogolony wierzch głowy swedział pod bandażami, a każdy ruch wrażał zimne, stalowe ostrze w jego czaszkę. Zgrzytając zębami z bólu myślał o Beth i o dzieciach. Uwieszony w tych starych ceglanych murach skrywających BenTech, oszołomiony środkami znieczulającymi Klebolda, nie mógł nawet za telefonować.

Złe dni i jeszcze gorsze noce, mniejsza z tym, ile ich było. Wielogodzinna operacja mikrochirurgiczna u Klebolda. Dni i noce bólu wzniecanego przez mikroukłady, chociaż Klebold utrzymywał, że nie zostały podłączone do ośrodków zmysłów w mózgu. Nieustanna praca z Duvicem nad wykończeniem oprogramowania, co pociągało za sobą konieczność sprzegania się umysłem z komputerem głównym. Symulacje warunków rzeczywistych, które wciąż nie dawały zadowalających rezultatów i które trzeba było wielokrotnie powtarzać.

– Co? – czuł po przebudzeniu suchość i niesmak w ustach. – Kiedy?

– Natychmiast. Czekają na ciebie w laboratorium.

Nie zawiązując butów pośpieszył za Duvicem. Duvic był jego najstarszym i najbliższym przyjacielem, ale jeśli doświadczenia, jakie prowadził kiedyś w Los Alamos zaowocowały wreszcie tymi bombami i zabójczym deszczem, połowa odpowiedzialności za to spadnie właśnie na Duvica.

– Uwielbiałem tę robotę nad opracowywaniem nowych broni – wyznał kiedyś Duvic. – Dawno temu, kiedy sądziłem, że mój kraj ich potrzebuje. Ale to, na co się natknąłem, przerażało mnie. Dlatego właśnie tu jestem. To nadzieja, że BenTech może w jakiś sposób przeciw...

Urwał wzruszając ze smutkiem ramionami.

Gale wczłapał za nim teraz do laboratorium. Blask poraził mu oczy i musiał patrzeć na maszynę spod przymrużonych powiek. Przycupnęła pośrodku długiej sali niczym zakuty w stal dinozaur. Duvic nazywał go sprzegaczem. Ale dla niego robot pozostawał zawsze bestią. Dziś wieczór ta bestia go pożre.

Trzech mężczyzn stojących w sali przypatrywało się w zadumie maszynie. Generał Janssen o pociągłej twarzy i bladej cerze, żujący niedopałek wygasłego cygara. Klebold, wyższy od generała, o tysej okrągłej głowie, która nadawała mu wygląd bardziej żołnierza niż chirurga. Rhymer, naczelny inżynier projektu, roztrzęsiony teraz i przygryzający nerwowo koniuszek żółtego wąsika. Cała trójka ożyła się na jego widok.

– Ben? – Generał zmierzzył go krytycznym spojrzeniem. – Dobrze się czujesz?

– Powiedzmy – głos miał schrypnięty i piskliwy. – Jest coś nowego?

– Nic dobrego. – Generał spojrzał na niego groźnie, jakby to on był wszystkiemu winny. – Wszędzie szaleje piekło. Jesteśmy teraz odcięci od świata, ale zanim to nastąpiło, otrzymałem stosowne rozkazy. Atakujemy natychmiast.

– Atakujemy? – wzdrygnął się, co spowodowało gwałtowny ból w nafaszerowanej krzemem głowie. – Niewłaściwe słowo, sir. BenTech nie jest bronią. Nie potrafi zabijać. Liczyć możemy co najwyżej na nowe urządzenie wywiadowcze. Zawsze to panu mówiłem i usiłowałem przekonać o tym Pentagon. To przyrząd doświadczalny, jeszcze nie przetestowany.

– Dlaczego nie?

– Jeszcze nie skończyliśmy. – To był tylko jeden z powodów. Nie chciał ryzykować spalenia mikroukładów wszczepionych w

jego mózg, jeśli coś się nie uda. Ani mocy, jaką mogą dać jakiegokolwiek innemu mózgowi, jeśli wszystko pójdzie dobrze. – Nie jesteśmy jeszcze gotowi...

– Gotowi czy nie... – w głosie generała słychać było chrzęst kruszonej taflí lodu. – Jeśli nikt panu jeszcze o tym nie mówił, to ja pana poinformuję. Nacieramy na Armageddon.

W jego udreconej głowie odbił się echem szept Amy: ... Tatusiu? Czy będzie koniec świata?...

Odwrocił się i spojrzał na Duvica. Był to wąty, nerwowy człowieczek o pociągłej, ogorzalej twarzy i ciemnych matowych oczach. Czarna, szpiczasta bródka nadawała mu wygląd niewyrosłego Szatana. Teraz pełnego skruchy, być może za późno.

– To nie moja wina, Ben! – Duvic chwycił go za ramię. – Nie wiemy, kto nas zaatakował ani czym nas zaatakowano. Przypomina to śmiercionośny środek, nad którym pracowałem tam, w Los Alamos. Może był przeciek i tajemnica dostała się w ręce Boga wie kogo. Ale nic nie wiemy. – Wzruszył bezradnie ramionami. – Nikt nic nie wie.

Pomimo jego starań, z wyschniętego gardła nie wydobyło się żadne słowo.

– Waszyngton... – podenerwowanie przytłumiło głos generała i odmalowywało się grymasem na jego surowej twarzy. – Teraz Waszyngton. Przestał istnieć dziś po południu. Nie przeprowadziliśmy kontruera, bo nie jesteśmy w stanie zidentyfikować celu. Doktor Duvic twierdzi, że pan to potrafi.

Wszyscy czterej mężczyźni patrzyli nań wyczekująco.

– Niczego nigdy nie obiecywałem... – Chciał potrząsnąć głową i krzem eksplodował mu w czasie. – Eksperyment planowano z myślą o stwierdzeniu, czy moc komputera potrafi wzmocnić wydajność mózgu. Trudno nawet odgadnąć, co z tego może wynikać.

– Nie zwracaj pan, do cholery, głowy! – Rhymer zbliżył się o krok, żeby spojrzeć mu w twarz przekrwionymi, zapuchniętymi oczyma. Rhymer był alergikiem. Brązowy wąsik pociemniał mu pod nosem od wilgoci, a na jego nierównych krawędziach polskiwały jasne kropelki. Ścierał je różowym, węzowatym językiem. – Umieramy jak ślepy. Skoro istnieje taka możliwość, chcemy wiedzieć, gdzie uderzyć. Jeśli pan nas wprowadzał w błąd...

Duvic chwycił Rhymera za ramię, żeby go odciągnąć od Bena.

– Margie... – napięta twarz generała zadrgała nerwowo. – Moja żona... była właśnie w Waszyngtonie. O ile wiem, już nie żyje. Wszyscy jesteśmy martwi, Ben. Chyba że powie nam pan, co się dzieje.

Wzruszył ramionami i wyszeptał: – Czy mogę porozumieć się telefonicznie z moją rodziną?

– To niemożliwe. – Uciał stanowczo generał, ale zaraz potem dodał nieco łagodniejszym tonem. – Przykro mi, Gale, ale telefon... nic nie działa.

Przez jego pulsujący bólem mózg przemknęło znowu echo zdyszanych słów Amy.

– Do dzieła – generał zwracał się teraz do Rhymera. – Jaki jest obecny stan zaawansowania projektu?

– Skończyliśmy, sir. Trwa test wszystkich systemów. Wyniki są pozytywne. Żadnych usterek nie stwierdzono. Za pół godziny powinniśmy osiągnąć pełną gotowość.

– No to do roboty.

Generał odmaszerował.

Rhymer odwrócił się do maszyny i przystąpił do sprawdzania przełączników i połączeń kablowych, zerkając od czasu do czasu na ekrany oscyloskopów i skale mierników oraz odfajkując skontrolowane pozycje na schemacie w notatniku; jego niestrudzony język wysuwał się co chwila szybkim ruchem z ust, aby dotknąć wilgotnego wąsika.

– Wszystko w porządku, Ben? – Chirurg pochylał się, żeby ze skupionym wyrazem twarzy zajrzeć mu w oczy. – Sprawdźmy tętno. – Podał mu nadgarstek. – Nawet nieźle, ale chciałbym, żebyś sobie teraz trochę odpoczął, jeśli możesz. Umyj sobie twarz. Napij się kawy. Wyrzuć z głowy wszystkie złe myśli. Potrzebny ci będzie trzeźwy umysł.

Opiekun czy jak pielęgniarka Duvic odprowadził go do łazienki, zaczekał, aż skończy myć twarz, wyciągnął mu krzesło spod kulawego stolika w wąskiej alkowie, którą nazywali świetlicą, odgarnął stos brudnych filizanek, niedojedzonych paczków i pomietłych gazet, po czym nalał mu kawy. Kawa podrażniła żołądek. Przez tych kilka ostatnich ponurych dni pił jej stanowczo za dużo, nie biorąc od ust właściwie niczego więcej, ale opróżnił filiżankę do dna.

– Jeśli Bóg istnieje... – Duvic urwał napełniając ponownie filiżankę – ...to nas opuścił.

- Nie wiń za to Boga - odsunął od siebie kawę - ani siebie. Stało się. To moja osobista filozofia... nazwijmy ją stochastyczną. Nigdy nie wierzyłem ani w Boga, ani w przeznaczenie, ani nawet w szczęście. Szukając dowodu stwierdzałem zawsze, że światem rządzi przypadek.

Wykonując szarpane ruchy, jak jakaś mała, przeciążona maszyna, Duvic nasypał cukru i sproszkowanej śmietanki do drugiej filiżanki i nie dolewając kawy wrócił z nią do stolika.

- Będziesz miał teraz okazję poznać prawdę. - Z nieznacznym wzruszeniem ramion Duvic postawił na blacie swoją pustą filiżankę. - Zaprzystałem pracować nad nowymi środkami zniszczenia, kiedy zrodziło się we mnie przypuszczenie, że znalazłem wież istniejącą pomiędzy naturą a tym, co wciąż nazywamy światem nadprzyrodzonym. Nazwałem tę wież Efektem Delta Psi. Dlatego właśnie tu jestem. Chcę wiedzieć.

- Pentagon nie płaci nam za szukanie Boga. - Przypomniał sobie w porę, że nie wolno mu potrząsać głową. - Sprzegacz miał być wojskową maszyną szpiegowską.

Duvic chrząknął i oddalił się, żeby nalać sobie kawy.

- W całym wszechświecie... - podniósł swój skrzekliwy głos. - W całym wszechświecie widzę tylko przypadki. Weźmy sam projekt - to przecież długi łańcuch losowych zdarzeń. Na skutek wypadku samochodowego, jakiemu uległem, wyliciałem ze szkoły medycznej. Tak się złożyło, że w szpitalu opiekowała się mną pielęgniarka, której ojciec zajmował się poszukiwaniem analogii pomiędzy komputerami a ludzkim mózgiem. Tak się też złożyło, że poślubiłem tę pielęgniarkę i pod wpływem jej ojca wybrałem drogę naukowo-badawczą, która doprowadziła mnie do BenTech.

- Czysty ślepy los...

Duvic wrócił do stolika z pełną filiżanką. Kawa przelewała się przez jej obrzeże. Postawił filiżankę na rozłożonej gazecie i wzrok Gale'a spoczął na nagłówkach. Pochylił się, żeby odcyfrować tytuł wydrukowany tłustą, czarną czcionką.

#### KLĘSKA PRZYBIERA CORAZ WIEKSZE ROZMIARY! WASZYNGTON ZAATAKOWANY!

Fragmentaryczne biuletyny napływające ze stolicy kraju potwierdzają wcześniejsze pogłoski powstające na podstawie przecieków ze źródeł wojskowych, jakoby miasto zostało „zniszczone”. W rozmowach telefonicznych, zanim łączność uległa przerwaniu, opisywano „ciche bomby” wybuchające wczoraj po południu nad Waszyngtonem i jego przedmieściami, oraz wspomniano o opadach „czerwonego deszczu”. Osoby oficjalne, z którymi zdołano się skontaktować odmówiły dodatkowych komentarzy, ale całkowity zanik łączności międzynarodowej, a teraz nawet miedzykrajowej zdaje się potwierdzać wcześniejsze doniesienia o nie mającej precedensu, ogólnoswiatowej katastrofie.

Czuł żar w żołądku.

...Tatusiu? Czy będzie koniec świata?

Zobaczył ich teraz oczyma duszy, Beth i dzieci, cała trójka przylutona do siebie w bezsilnym przerażeniu. Beth... w swej sukni ślubnej, taka jak na jego ulubionej fotografii, którą zawsze nosił w portfelu, śmiertelnie poważna i wciąż niemal jeszcze dziecko. Roger w swojej czapeczce z napisem Little League; jego piegawaty uśmiech spęła z wolna z twarzy i przechodzi w wyraz oszalonej dezorientacji. Amy, błagająca go, aby ich bronił.

- Jeśli Bóg istnieje - mruknął znowu Duvic - to chyba go opuściliśmy.

Poszukał w kieszeni rolki pokruszonych Tumsów i włożył do ust dwa na raz. Duvic pośpieszył w milczeniu, żeby przynieść mu wody do popicia.

- Doktorze Gale? - W drzwiach stanął nagle Rhymer. - Kontrola systemów zakończona, sir. Możemy zaczynać.

Obok sprzegacza czekał Klebold z dwiema pielęgniarkami. Odwinęli mu głowę z bandażu. Musiał się rozebrać i położyć twarzą ku górze na zimnym, metalowym łóżku. Wiatrak wentylatora dmuchał lodowatym powietrzem na nagi wierzch jego głowy i Gale nie mógł opanować drżenia na całym ciele.

- Szczęśliwej podróży, doktorze. - Duvic pochylił się nad nim siłąc się na beztroskę. - Trzymaj się. Ściągniemy cię z powrotem za kilka godzin. Staraj się rejestrować i zapamiętywać każde spostrzeżenie, każde odczucie, każde wrażenie...

Klebold mruknął coś do pielęgniarek i te odsunęły Duvica od łóżka. Leżąc w bezruchu przymknął powieki, żeby nie patrzeć na blask nad głową. Usta miał spieczone, w gardle czuł wciąż cierpki smak tamtej zwietrzałej kawy. Za późno, żeby poprosić o łyk wody. Czuł jak pielęgniarki rozciągają wokół niego swoją sieć wezowych kabli, smarują go klejem, przykładają do jego nagiego ciała czujniki telemetryczne. Ich zwinne palce gładziły obolale wierzch głowy. Poczuł ukłucia, gdy ciągnęły przewody, łącząc jego mózg z komputerem głównym.

Odnosił wrażenie, że łóżko się porusza. Efekt Delta Psi wymagał stosowania ekranowania przed promieniowaniem, a przynajmniej Duvic twierdził, że wymaga, a więc wsuwano go wraz z łóżkiem pod ekran. W paszczę nigdy nie naźartej bestii. Mroczna, wąska skrzynia w kształcie trumny o ściankach wyłożonych grubym ołowiem.

- W porządku? - rozległ się podniecony głos Duvica. - W porządku, Ben?

Otworzył oczy. Wszyscy pochylali się z napięciem na twarzach nad jadącym wolno łóżkiem. Ogorzała, jastrzębia twarz Janssena steżała. Różowy język Rhymera przemyczał co chwila jak język węży po połyskujących kropelkach. Pielęgniarki patrzyły w dół ze ściągniętymi brwiami. Jedna spojrzała mu w oczy i próbowała się uśmiechnąć. Duvic uniósł drżącą reke, jakby chciał pomachać mu na pożegnanie.

- Nie ruszaj się! - nakazał mu Klebold. - Kalibrujemy.

Frederik Pohl

## JACK WILLIAMSON: PIONIER

Kiedy Artura Clarka spytano, dlaczego pisze science fiction, odpowiedział: „Ponieważ jest to jedyny gatunek literacki zajmujący się rzeczywistością”. Stwierdzenie tego rodzaju ściągają czasami na nas, pisarzy uprawiających science fiction, gromy ze strony statecznych przedstawicieli kół uniwersyteckich i literackich: „Rzeczywistość?” W bajkach rojących się od miotaczy promieni, Marsjan i maszyn czasu?

Ale Arthur Clarke ma rację, ponieważ najnowszą i największą rzeczywistością, wobec której wszyscy stoimy, jest zmiana. Przemiany społeczne. Przemiany technologiczne. Przemiany środowiskowe. Nawet przemiany zachodzące w najskrytszych zakamarkach naszych osobowości pod wpływem stosowania środków farmakologicznych i metod modyfikacji zachowań, nie wspominając już o rysujących się na horyzoncie jeszcze straszniejszych możliwościach. Science fiction jest literaturą przemian i najlepszym sposobem na przygotowanie większości z nas do radości i niebezpieczeństw, jakie niosą nadchodzące lata.

Jeśli żyje wśród nas niezawodny przewodnik po nieprzetartych ścieżkach zmian, to jest nim na pewno Jack William-

son - Jack Williamson w swojej pracy, w swoich myślach, a nawet w historii swego życia.

Pierwsze wspomnienia Jacka sięgają długiej wędrowki krytym wozem - krytymi wozami! - do dziewicznych terenów wschodniego Nowego Meksyku. Były to czasy, kiedy nie istniała jeszcze bezpośrednia łączność ani szybki transport lotniczy. Nie było jeszcze wtedy nawet ani dobrych dróg, ani elektryfikacji, a pierwsi osadnicy, pomiędzy którymi wyrósł, wiedli życie samotne, wypełnione niebezpieczeństwami i ciężką pracą. Trzeba było być twardym, żeby utrzymać się przy życiu uprawiając wysuszone pola i wypasając bydło na wielkich piaszczystych równinach - na czterdziestu akrach mogła wyżywić się tylko jedna sztuka, tak rzadko rosta tam szatwia i niska trawa. Wielu osadników zrezygnowało. Niektórzy zmarli. Ci, którzy przetrwali, patrzyli z zazwyczaj na świat ze sporą dozą pewnością siebie, bo wiedzieli, że potrafią pokonać niemal wszystkie przeszkody, jakie ześle im los.

Pierwszych lat życia Jacka nie można nazwać łatwymi. Gdy był jeszcze niemowlęciem, omal nie zabiła go jedna z tych nie w pełni zbadanych chorób zwana



Ruch ustał. Bestia połknęła go. Coś grzmotnęło. To zatrzasnęły się z hukiem ciężkie ołowiane szczęki. Całkowita ciemność. Idealna cisza, dopóki nie usłyszał cichutkiego poszumu powietrza z wentylatora. Czuł klucie w wierzch głowy, tam, gdzie przymocowane były do niej przewody. Powietrze było zimne. Zadrżał i nawet ten niewielki ruch wzniecił ból pod sklepieniem czaszki.

Czekał.

Nic. W polu widzenia, tam, gdzie paliły się lampy, zanikały ospale purpurowe plamy. Wyczuł lekką vibrację całej maszyny, jakby bestia beknęła. Nic więcej nie czuł, ale wiedział, co się dzieje.

Klebold bardzo dokładnie mierzy napięcie zasilające wszczępy. Sprawdza sygnał na wejściu i wskazanie miernika. Kontroluje pracę mikroprocesorów i krzemowej pamięci. Sonduje reakcje synaptyczne. Ostrożnie, delikatnie zalebia oprogramowanie komputera z miękką, żywą tkanką przyspieszając w ten sposób powolność skomplikowanych reakcji chemicznych zachodzących w miliardach neuronów do szybkości światła, z jaką działają krzemowe mikroukłady przetwarzające miliony kilobajtów.

Szukając w ciemnościach, po omacku, jakiegokolwiek dowodu istnienia maszyny, jakiegokolwiek sygnału obecności tej ogromnej komputerowej mocy przyłączonej do jego mózgu, czuje tylko powolne, miarowe łupanie ciężkich jak cegły mikroukładów. Wierzch czaszki swędzi go i piecze, ale nie może go dotknąć. Nagle zaczyna się pocić; gorące krople ściekające z czoła do oczu laskoczą, ale wszędzie, na całym ciele, rozmieszczone są czujniki. Nie wolno mu się poruszyć.

Znowu szuka światła, ale zniknęły już nawet purpurowe mroczki. W ołowianej skrzyni zalegają idealne ciemności. Skrzynia ma kształt trumny, jest ciemna i nieodparcie kojarzy się z grobem. Wsluchując się w niezmaconą ciszę zaczyna słyszeć swój puls. ...Szzsz lup, szzzsz lup... Jest bardzo słaby, bardzo powolny. Ale to przynajmniej dowodzi, że wciąż jeszcze żyje.

Na zewnątrz, pielęgniarki trwają teraz na swych stanowiskach przy maszynie wpatrując się w ekrany oscyloskopów i rejestrując jego oznaki życia. Rytmier miota się po sali nadzorując pielęgniarki, kontrolując pracę maszyny i rozstawionych wokół niej, bezgłośnych komputerów, odfajkując punkty w swoim notatniku, a jego ruchliwy język jest nieustrudzony.

Inni zgromadzili się na pewno w swojej malej, zbitej z dykty kłitce zwanej szumnie sterownią. Klebold wystukuje coś i pokreca na swoich ustawionych w półkole klawiaturach i obawiając się błędów w oprogramowaniu denerwuje się tak samo jak Ryhmer. Duvic i generał stoją za jego plecami; generał milczący i sztywny, jakby kij połknął, zaciska porośniętą szarą szczecinę szczękę na wciąż tym samym wygasłym niedopałku cygara, a Duvic kreśli się naokoło niego szepcząc mu natarczywie do ucha coś, co generał ignoruje.

Sprzeganie. Czyżby już?

Nie wiedzą więcej niż on.

Głowa znowu go łupie w rytm tego powolnego ...szzzsz-lup, szzzsz-lup... Aby od tego uciec, zaczyna znów myśleć o Beth i dzieciach. Trzy długie dni. A może cztery. Okrutne dni dla Amy, jeśli myślała, że świat się kończy. Co się z nimi stało?

Ujrzał w myślach mały biały domek, który kupił, kiedy się tu przenieśli, kupił za zbyt wygórowaną cenę, bo zajęty sprawami organizacyjnymi związanymi z uruchomieniem prac nad projektem, nie miał czasu się targować. Dom podupadł teraz – trawnik zaniedbany, piękny stary wąż chory i usychający. Stolarza domagała się na gwałt farby. Beth znalazła kolejny przeciek, tym razem w szafce w sypialni. Zagrzebany po uszy w projekcie nie był w porządku w stosunku do Beth wywołując ją na tysiąc mil od rodziców i od morza, które tak kochała i od jej pracy w szpitalu.

Teraz już za późno, żeby to naprawić.

Właśnie switało, miasto wciąż pogrążone było we śnie. Jej stary, wysłużony kombi stał zaparkowany na podjeździe. Dziewięćdziesiąt tysięcy mil i wgięty prawy błotnik, ale przynajmniej oszczędzał, żeby kupić coś nowego. Niespodzianka na jej urodziny...

Nagły pisk opon. Zza rogu wypadł wóz policyjny i z wyciem syreny pomknął przed siebie. Na całej ulicy zapaliły się światła w oknach. Paliło się w oknie Beth, w oknie Amy i w oknie Rogera. Budziło się całe miasto, na wpół ubrani ludzie wybiegali z domów i zadzierali głowy wpatrując się w błyskające na niebie światła.

Małe, jasne, unoszące się wysoko punkciki jaskrawo błękitnego ognia. Nie wydawały żadnego słyszalnego dźwięku, ale pozostawiały za sobą małe, jarzące się czerwono obłoczki, błędące powoli i wtapiające się w mrok. Czyżby to te same ciche bomby, które zniszczyły Waszyngton? Czy po nich spadnie czerwony deszcz?

Otworzyły się drzwi frontowe. Z domu wybiegła Beth wciąż jeszcze w piżamie i w czerwonym, jedwabnym szlafroku, który podarował jej na Gwiazdkę. Pedziła w kierunku samochodu z nareczem płaszczy i kocy. Za nią, potykając się co chwila, biegł Roger w czapeczce z napisem Little League, przyciskając do chudej piersi rekawicę i kij basebolowy. Przystanął, żeby spojrzeć na niebo. Za nim truchtała Amy szlochając i potrząsając głową. Chciała zacząć na powrót tatusia.

W miasteczku pociemniało. Pogasty światła w domach i uliczne latarnie. Chwila nocnych ciemności i już zaczynają się zapalać światła samochodowych reflektorów. Beth krzyknęła ponaglając co na Rogera i wciągnęła Amy do wozu. Zawarczał starter. Stary Chevy zadygotał, ryknął silnikiem i wypadł na ulicę ciągnąc za sobą smugę gryzącego dymu. Znikł z oczu w chaosie nadciągającym od Armageddon.

W laboratorium zgasło światło, ale po chwili, krztusząc się z

cholera infantum. Jego ojciec był pracowity i mądry; tylko szczęście mu nie sprzyjało. Gdy wytoczył działkę, okazało się, że nie ma pod nią wody. Gdy znalazł nową szansę po drugiej stronie granicy, w Mekayku, wypędziła go stamtąd rewolucja. Kiedy Jack był już na tyle dorosły, aby przejąć na swe barki część odpowiedzialności za był rodzinny, udało mu się zgromadzić stado złożone z pół tuzina młodych byczków. Ale pech go nie opuszczał. Większość stada padła po zjedzeniu liści trującego dębu, a jedyną ocalałą sztukę zabił piorun.

Trudno było przewidzieć, że dziecko wychowujące się w takich warunkach, zbierające wyschnięte krowie łajna na opał, żeby nie zamarznąć i mieszkające trzy dni drogi od najbliższego miasteczka, dorosnie, aby wieść wybitny żywot w świecie wyobraźni i wiedzy. Trzeba tu podkreślić, że jeżeli chodzi o naukę i zdobywanie wiedzy, to Jack od najmłodszych lat zdany był wyłącznie na siebie. Zachęte znalazł w ten sam sposób, w jaki odnalazł ją wielu innych pisarzy science fiction – przez lekturę (bezkrytyczne i zachłanne czytanie wszystkiego, co mu wpadło w ręce) oraz przez puszczenie wodzy swej wyobraźni, która rozszerzała

jeszcze to, co przeczytał. W wieku lat osiemnastu, na łamach nowego magazynu wychodzącego od niespełna roku i noszącego nazwę „Amazing Stories” odkrył fantastykę naukową. Stykał się już wcześniej z tego rodzaju opowiadaniem – nauczyciel pożyczyc mu kiedyś „Jankeasa na dworze króla Artura” Marka Twaina. Ale „Amazing Stories” były dowodem, że SF jest nie tylko dziwnym, doraźnym zboczeniem z wytyczonego szlaku, ale całym nowym obszarem literackich poszukiwań. Jack z miejsca postanowił, że i on zostanie pisarzem SF. Napisał trzy opowiadania i wysłał je pod adresem magazynu; zostały odrzucone. Napisał czwarte, opatrzył je tytułem „Metal Man”, wysłał znowu na ten sam adres „Amazing Stories”... I dni mijały, a on nie otrzymywał żadnej odpowiedzi, ani o przyjęciu, ani o odrzuceniu pracy, aż przechodząc zimą 1928 roku obok teksaskiej trafikii zobaczył na wystawie nowy numer „Amazing”. Było w nim jego opowiadanie.

Miał wtedy dwadzieścia lat.

Do szkoły Jack chodził w Teksasie. Niewielki uśmiech losu przyniósł jego rodzinie trochę pieniędzy, których wystarczyło na opłacenie jego nauki w szkole

średniej przez co najmniej rok, albo nawet i dwa lata, tak więc zapisał się na pierwszy rok do West Texas State. Kiedy skończyły się pieniądze, Jack musiał przerwać naukę nie kończąc szkoły, ale wtedy już wiedział, że jest pisarzem, i to pisarzem science fiction. I od tego czasu pracował w tym fachu. Rynek rozszerzał się, Gernsback odszedł z „Amazing Stories” i założył konkurencyjne „Wonder Stories”. Pojawił się pierwszy numer „Astounding”. W kilka lat później nastąpiła eksplozja nowych tytułów – „Marvel”, „Planet”, „Startling”, „Cosmic”, „Future” i tuzin innych, włącznie z dwoma młymi magazynami „Astonishing” oraz „Super Science”, które zaczęły wychodzić w roku 1940. Jack pisał dla nich dużo i dobrze: „The Stone from the Green Star”, „The Legion of Space”, „The Legion of Time”, „Darker Than You Think” oraz niezliczoną mnogość innych powieści, nowel i krótkich opowiadań. Niemal od samego początku był gwiazdą nowej, rozwijającej się gałęzi literatury – science fiction – co potwierdzały reakcje fanów, próby naśladowstwa ze strony młodszych pisarzy oraz gorliwość, z jaką wydawcy zabiegali o wszystko, co wyszło spod jego pióra.

# Siudmak.004.



Sukces Jacka nie znajdował jednak swego odbicia w jego koncie bankowym. Pisanie SF nie było w latach trzydziestych zajęciem zbyt intratnym. Opowiadania takie jak „Dead Star Station”, „Breakdown” czy „Crucible of Power” są nadal żywe i dobre. Od tamtego czasu były wielokrotnie wznowiane i zasłużyły sobie tym na miano w pewien sposób nieśmiertelnych; ale wtedy, kiedy Jack je pisał, rzadko przynosiły mu więcej niż cent za słowo. Często trudno było nawet o to. Ale takie sprawy się nie liczyły. Skromny zarobek nie zniechęcił Jacka Williamsona do kontynuowania pisania, tak jak nie zdołał zniechęcić mnie, kiedy w osiem czy dziesięć lat po Jacku zaczynałem stawiać pierwsze kroki jako pisarz science fiction. Piszę się nie dla pieniędzy – wiercie mi, bez względu na to, co się o tym nieraz pisze. Robią to ludzie, którzy bez tego po prostu nie wyobrażają sobie życia. Zastanawiam się jednak czasem, czy byłbym tak zdecydowany zostać pisarzem science fiction, gdybym wiedział, że nawet ogromny sukces, jaki stał się udziałem Jacka Williamsona, rzadko przynosił przyrost konta bankowego większy niż tysiąc dolarów rocznie przez pierwsze dziesięć lat pracy pisarskiej, z czego połowa pochodzi z pisania science fiction.

★

Wybuchła druga wojna światowa i rozproszyła nas po całym globie.

Kiedy wysłano mnie do Chanute Field w Illinois na techniczne szkolenie obserwatorów meteorologicznych Air Force, w tej samej szkole spotkałem Jacka Wil-

liamsona. Ukończył już ten kurs, był na froncie pełniąc przez pewien czas służbę w bazie lotniczej, a teraz wrócił na kurs doskonalenia meteorologów. Poznaliśmy się przelotnie w roku 1939 i byliśmy w kontakcie, kiedy redagowałem swoje magazyny (do których Jack wniósł oczywiście znaczny wkład), ale tu po raz pierwszy znaleźliśmy się w tym samym miejscu.

Pisarze uprawiający science fiction są jako klasa czujni, dobrze poinformowani, ciekawi. Jack stał wysoko w hierarchii tej klasy. Jego obecność w Chanute czyniła z tej ponurej bazy wojskowej miejsce o wiele bardziej przyjazne. Jack szybko myślał, ale wolno mówił i jest chyba najlepszym kompanem, jakiego w życiu spotkałem. Przez wiele lat miałem szczęście włączyć się z Jackiem po licznych tajemniczych zakątkach świata, od Stonehenge do mekki latających talerzy w Socorro w Nowym Meksyku. Ja gadam, Jack słucha. I nagle, gdy mam wątpliwości, czy naprawdę usłyszał ostatnie dwadzieścia pięć czy trzydzieści zdań, które wypowiedziałem, on krótką uwagę podsumowuje wszystkie główne wątki moich dotychczasowych wywodów i przenosi konwersację na wyższy poziom. Jack wyglądał jak ogorzały kowboj z południowego zachodu, ale za tą twarzą Johna Wayne'a kryje się szybki i głęboko myślicy mózg.

Po ukończeniu kursu w Chanute nasze drogi się rozeszły. Jack wyładował na skalistej wysepce na południowym Pacyfiku, a ja w słonecznej Italii, ale gdy skończyła się wojna, obaj wróciliśmy do swo-

jej science fiction. Dwadzieścia lat po napisaniu swojego pierwszego opowiadania, Jack rozpoczął nową karierę pisarską na innym i bardziej wymagającym rynku SF i potrafił sprostać jego wymaganiom, czego nie można powiedzieć o zbyt wielu innych pisarzach jego pokolenia. W tym właśnie okresie, w końcu lat czterdziestych i początku pięćdziesiątych, napisał „With Folded Hands” i „The Equalizer” i „The Peddler's Nose”, „And Searching Mind”, kontynuacja „With Folded Hands” weszła pod tytułem „The Humanoids” do klasyki powieści science fiction i jest nadal wzorem do naśladowania dla każdego pisarza SF piszącego o robotach (a nawet dla każdego cybernetyka zajmującego się badaniami nad sztuczną inteligencją). Stawki były teraz wyższe. Opowiadania Jacka ukazywały się w formie książkowej, ściągając na siebie zainteresowanie ze strony krytyki. Tłumaczono je na wiele języków świata. Ale Jack nadal nie był w pełni zadowolony. W młodości nie zafatwił dwóch spraw. Teraz więc ożenił się z sympatią z lat dziecińczych, Blanche, i w kilka lat później wrócił do nauki. Ukończył szkołę średnią, potem wyższą, zrobił doktorat i jako pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna rozpoczął pracę w nowym zawodzie profesora uniwersytetu.

Pisał, oczywiście, dalej. Ale dzięki swej pozycji jako doktor filozofii John Stewart Williamson był w stanie uczynić dla science fiction więcej niż potrafiła kiedykolwiek zdziałać większość pisarzy. Coraz bardziej poświęcał się akademickiej stronie science fiction. Prowadził



początku, podjęły prace generatory awaryjne. Lampy zamrugały. Duvica stołczył się, przeklającami pochylił się nad nie działającymi oscyloskopami, a potem odwrócił się i wzruszając bezradnie ramionami spojrzął na Rhymera, Kleboida i generała zbitych w gromadkę przy ciemnej maszynie.

- Nie żyje. - Niespokojne ręce Duvica rozkładały się i opadały. - Mózg przestał funkcjonować w momencie, gdy doprowadziliśmy zasilanie do wszczepów, na to przynajmniej wskazują sygnały stanu jego funkcji życiowych. O, teraz przestało bić serce. - Na jego twarzy malował się smutek. - Oszukiwaliśmy siebie samych. Wszyscy z wyjątkiem samego Bena, jeśli sobie przypomniacie. Zawsze był sceptyczny. Zawsze podejrzewał, że Efekt Delta jest tylko przypadkowym kaprysem statystyki.

Na zewnątrz, w szarym przedświcie, na ogarniętej paniką, przerażonych tłumy ślący czerwony deszcz. Jego malenkie, gorące kropelki przypalały ciało, gdy na nie padły i zwały ludzi z nóg. Dotknąwszy chodnika zmieniały się z sykiem w gestą, czerwoną mgłę. Ci, którzy wciągali ją w płuca, tracili oddech i umierali. Prowadzone przez nich samochody skręcały gwałtownie i rozbiły się.

Nad czerwoną mgłą i śmiertelną ciszą wschodziło czerwone słońce.

Gale szukał starego chevroleta kombi i znalazł w przydrożnym rowie jego dymiący jeszcze, spalony i pogruchotany wrak. Nie musiał zaglądać do środka. „Tatusiu, czy nas obronisz?... Nie był z Armageddon. Nie żył, martwy był cały świat. Jego własne ciało też - od momentu rozpoczęcia eksperymentu. Dlaczego więc wciąż jeszcze żył?

Nie miał ochoty na poruszanie się, myślenie ani przeżywanie. Stwierdził po chwili, że dryfując oddala się od spalonego samochodu, od cichego miasteczka, od umierającego kontynentu, od całej kuli ziemskiej. Zmieniał się upływ czasu. Patrzył na obracającą się pod słońcem planetę; Ameryki rozjaśniały się na chwilę i znowu pociemniały, po nich wślizgiwały się w noc Afryka, Europa i Azja. Czerwona mgiełka rozprzestrzeniła się i zgęstniała. Zieleń stref umiarkowanych krwawiła szkarłatem. Czerwień zmąciła błękit morza. Rozległe, białe zawirowania chmur przybierały z wolna barwę karmazynową, dopóki nie uwierzył, że planeta jest naprawdę martwa.

- Dlaczego? - Obserwował wirujący pod nim czerwony świat. - Dlaczego nie mogę umrzeć?

- Bo jesteś wieczny. - Ten głos przemawiał znikąd nie posługując się słowami. Ujrzał potyskującą w pobliżu jasność, ale nie było to światło. - Ponieważ twoja praca dopiero się zaczęła.

- Czy jesteś... - Chociaż się o to nie starał, przypomniał mu się Duvic. - Czy jesteś Bogiem?

- Nie bardziej niż ty. - Poczuł, jak jasność go przenika topiąc jego rozpacz. - Jesteśmy czystym umysłem, który wyewoluował z materii, chociaż później, w drodze ewolucji, znowu możemy stać się istotami przyszłości, bliższymi niż my Bogu, jakim ty Go pojmujesz.

Spróbował się tego uchwycić. Nie mając teraz czaszki ani wszczepionych w nią mikroukładów, nie czuł żadnego bólu. W końcu zdobył się na odwagę i zapytał: - Co to za praca, którą mam rozpocząć?

- Pielęgnujemy nowe życie, tak jak kiedyś nas pielęgnowano. Zastajesz nas tutaj na krawędzi porażki, znużonych drogą przebyłą w wielkim pośpiechu, aby zdążyć na czas przed zagładą twojej planety. Dzięki ostatniemu wysiłkowi, który uważałeś za zwykły losowy przypadek, utrzymaliśmy przy życiu twój umysł. Masz teraz dług do spłacenia.

Czując budzącą się w nim nadzieję zapytał, jak ma spłacić ten dług.

- Słyszałeś coś o nowej supernowej? - spytała jasność. Przypominał sobie. - Jej fala uderzeniowa zacznie niebawem formować nowe gwiazdy z otaczających ją obłoków molekularnych. Narodzą się nowe planety. Można wznieść na nich życie. Sterując jego ewolucją tam, gdzie uznasz to za celowe, możesz stworzyć światy lepsze od tego, jakim był twój.

Dopiero teraz zaczynał rozumieć pełne udreki życie Duvica i Efekt Delta Psi i desperackie dzieje projektu. Rany, które odniósł, mogą się nigdy całkowicie nie zagoić, ale światła, który je zadał już nie ma. Nowe mogły uczynić mniej okrutnymi. Gdyby Beth, Roger i mała Amy mogli narodzić się na nowo, potrafiliby zapewnić im bezpieczeństwo. Uzmysłowiwszy to sobie, poczuł coś w rodzaju radości.

Przełożył Jacek Manicki

wykłady w Eastern New Mexico University. Gromadził i przygotowywał pierwszy kompletny wykaz programów nauczania science fiction w amerykańskich szkołach średnich. Pomagał na niezliczone sposoby w przygotowywaniu tekstów pomocniczych, w tworzeniu profesjonalnych organizacji akademickich nauczycieli science fiction oraz w zakładaniu periodyków poświęconych studiom nad science fiction. Uniwersytet Eastern New Mexico doceniał jego zasługi i nie wyrażał zgody na odejście Jacka, chociaż ten dawno już przekroczył granicę wieku uprawniającą go do przejścia na emeryturę. Ale ostatniej wiosny władze uniwersyteckie uznały, że należy mu się więcej czasu na pisanie i podróże. Wpisano go na listę Wybitnych Emerytowanych Profesorów, upamiętniając to wydarzenie pierwszym z serii odczytów na jego cześć i przeniesiono w stan spoczynku.

Jednym z mówców na tej uroczystości był James Gunn, odpowiednik Jacka z uniwersytetu Kansas a i mnie przypadł w udziale zaszczyt zabrania głosu Jim Gunn i ja znaliśmy Jacka od dawna jako przyjaciela, współpracownika i kolega. Nic więc dziwnego, że powietrze gęstniało od komplementów. Co jednak najdziwniejsze, wszystkie one były szczerze.

Inną dziwną rzeczą było to, że po przejściu na emeryturę Jack nie zaprzestał prowadzić aktywnego życia. Wydawałoby się, że siedemdziesięcioletni facet marzy tylko o tym, aby trochę polenuchować. Ale nie Jack. Wraz z żoną Blanche wybrał się w miesięczną podróż po Skandynawii i Związku Radzieckim a

po powrocie podpisał umowę na serię powieści i innych prac, z której wywiązało się nadweryżoby sły dwudziestolatka.

\*

Kilka lat temu, bawiąc na zjeździe nauuczycieli akademickich science fiction, natknąłem się, ku memu wielkiemu zdumieniu na Marviną Minsky'ego. Minsky jest jednym z największych nieszlucznych mózgów w biznesie sztucznej inteligencji, kierownikiem laboratorium automatyki przy Massachusetts Institute of Technology (MIT) pionierem w niezliczonych dziedzinach techniki komputerowej, znanym wielu z nas jako czfowtek, który próbował zaprogramować komputer na działanie zgodne z Trzema Prawami Robotyki sformułowanymi przez Asimova. Minsky nie jest kims obcym dla science fiction ani dla pisarzy science fiction; wielu z nich oprowadzał po laboratoriach komputerowych MIT. Ale na ten zjazd przybył w określonym celu. Słyszał, że jednym z gości będzie Jack Williamson i czy byłby tak uprzejmy, żeby go mu przedstawić.

Zrobiłem to a Jack był chyba mile zaskoczony, słysząc z ust Minsky'ego, że „The Humanoids” jest jego osobistym kandydatem do miana najlepszego nieftechnicznego opisu przypuszczalnej zasady działania sztucznej inteligencji, jaki dotąd powstał.

Jest to rodzaj uhonorowania, który pisarze SF cenia sobie szczególnie, a Jackowi zdarzyło się to nie raz. (Pewien naukowiec z Los Alamos wyznał mi, że zainteresowanie naukowców technologicz-

nymi superbroniąmi rozbudzone zostało na długo przed projektem Manhattan przez AKKA z „The Legion of Space”).

I jest to ten rodzaj uhonorowania, na jaki Jack Williamson rzetelnie sobie zapracował i dalej zapracowuje - powieściami takimi jak „The Humanoids”, „The Legion of Space” i innymi swoimi krótkimi opowiadaniem, takimi jak te z znakomitego tomiku zatytułowanego „The Best of Jack Williamson”, jak również swoimi najnowszymi pracami, które przelewa właśnie na papier. Znac Jacka Williamsona to przywilej, a czytać go to uczta duchowa.

Związek Amerykańskich Pisarzy Science Fiction przyznaje co roku Nebulę za najlepsze utwory w tej dziedzinie, jakie ukazały się w roku poprzedzającym, ale dysponuje też nagrodą specjalną, nie honorującą jakiegos konkretnego opowiadania, a pracę całego życia. Dotąd przyznano tylko trzy takie wyróżnienia. Jedno otrzymał Robert A. Heinlein, trzecie Clifford D. Simak. To środkowe, druga Nebula Wielkiego Mistrza, autoryzowana przez SFWA, przypadła w udziale Jackowi Williamsonowi.

I na nią też sobie solidnie zapracował, ponieważ nagroda ta jest nie tylko trofeum, ale i rzetelną jego charakterystyką. Jack Williamson jest Wielkim Mistrzem science fiction i przykładem dla nas wszystkich.

Red Bank, New Jersey 1977

Przełożył Jacek Manicki



# Clivia Neman

(Clivia Neman).

**D**obrze, że spotkaliśmy się właśnie tutaj. Przypomina pan sobie chyba jeszcze naszą niedawną dysputę? A zatem udowodnię panu, jak bardzo nie docenia pan techniki.

Owszem, mogę to zrobić. Czy widzi pan tę młodą kobietę tam przy informatorze? Tak, tę z niecodzienną fryzurą. Trudno jej nie zauważyć. Nazywa się Clivia, Clivia Neman. Staroświeckie imię, zapewne. Przychodzi tu tydzień w tydzień, już od półtora miesiąca, i siedzi godzinami przed informatorem. Je jestem w agencji informacyjnej tylko przez połowę tygodnia, ale koledzy potwierdzają: ona rzeczywiście jest tu codziennie.

Naturalnie i ja uważałem, że to niezwykle. A więc zaczerpnąłem o niej trochę informacji: pan

wie przecież, że to u nas prosta sprawa, siedze, rzec można, u źródła. No i opłaciło się. Ona ma 30 lat. Ale urodziła się 114 lat temu. Wie pan teraz naturalnie, dokąd zmierzam – rozciągnięcie czasu, kwestia powrotu.

Ależ nie, przecież nie ona osobiście! Poleciał jej mąż. Gdybyśmy przeprowadzili tę rozmowę, powiedzmy, 50 czy 60 lat temu, zaraz wpadłby pan na to, o co chodzi; wtedy jeszcze ludzie pamiętali Edwarda Nemana. Dziś jednak, gdy nikt już nie interesuje się podróżami kosmicznymi tego rodzaju... To też jeden ze skutków naszej niekonsekwencji wobec techniki.

Wiem, mówiliśmy już o tym. Ale może ten przykład pana przekona? A więc było to tak: 86 lat temu wystartowała Ósma Ekspedycja Międzygwiezdna. Wszystkich jedenastu członków



załogi było mężczyznami, a jeden z nich, Edward Neman, był żonaty. Szczęśliwie żonaty, znaczy. Dziś chyba nikt nie pojmie, czemu Nemanowie zgodzili się na ciężar rozłąki, bądź co bądź większość ludzi uważa tak długie loty kosmiczne za bezsensowne i nieodpowiedzialne. Ale wtedy jeszcze myślano inaczej, ekspedycja była zaplanowana i Neman polecał. Wtedy jeszcze stawiano astronautom wysokie wymagania, jeśli chodzi o kwalifikacje i kondycję, a Neman nadawał się jak nikt inny.

Już w tamtych czasach można było dość dokładnie oszacować szanse astronauty wobec niebezpieczeństw Kosmosu, oczywiście o tyle tylko, o ile były one znane. A zatem odporność na różne choroby, jak szok podświetlny, zdolność do szybkiej i właściwej reakcji w niezwykle sytuacjach i podobne. Liczba zdolnych do lotu planetologów posiadających dostatecznie szeroki wachlarz wiadomości i tak nie była duża, a Neman jako jedyny z nich miał dobre szanse powrotu. Dlatego polecał, w przeciwnym razie musiałby to uczynić ktoś inny, nie mający tak dobrych szans. W każdym razie znalazłby się ktoś inny – wtedy, gdy jeszcze nie myślano o zaniechaniu lotów ku gwiazdom.

Na to czekałem, że powie pan „fetyszym techniki, zdegenerowana technika jako cel sam w sobie, czy jakiś podobny modny slogan, modny, nienowoty. Ale w tym wypadku po prostu nie jest prawdą, że podejmowano owe ekspedycje tylko dlatego, że były one technicznie możliwe lub ponieważ istniejący aparat organizacyjny automatycznie powielał cel swego istnienia, jak to się dzisiaj mówi, czy po prostu ad maiorem gloriam scientiae. Zapewne i to mogło odgrywać pewną rolę, ale co byłoby w tym zdrożnego? Przede wszystkim jednak przerwanie serii wypraw oznaczałoby, że wcześniejsze loty i praca rozwojowa całych dziesięcioleci stałaby się nagle bezsensowna, praca ludzi, a nie jakichś tam maszyn. Tak więc pytanie nie brzmiało, czy należy latać, lecz kto powinien.

Ma pan rację: w tym wypadku zaistniał konflikt, gdyż dla Nemana, który był najbardziej predestynowany, pożegnanie z Ziemią było szczególnie trudne, jako że było ono jednocześnie pożegnaniem z kobietą, którą kochał. Ale nie, to nie miało przecież nic wspólnego z jego obiektywną przydatnością, czyli z jego szansami przeżycia. Było to najwyżej jego osobistym problemem, i widzi pan – właśnie to dało się rozwiązać dzięki konsekwentnemu, wolnemu od przesądów stosunkowi do techniki, która ponoć stwarza tylko nowe niepotrzebne problemy.

O ile się nie mylę, już w XXI czy w XX wieku próbowano wprowadzić ludzi w długi sen anabiotyczny poprzez wyzębienie. Te wczesne próby spełzły jednakże na niczym i później przez długi czas nie były ponawiane. Aż wreszcie odkryto niezawodną metodę budzenia hibernatów i ta kobieta, Clivia Neman, skorzystała z tego. Dwa lata po odlocie wyprawy, gdy wreszcie wszystkie połączenia ze statkiem zostały przerwane, kazała się zamrozić, by czekać na swojego męża. Zrezygnowała ze wszystkiego – zostawiła przyjaciół, znajomych i krewnych, którzy dawno poumierali, swoją pracę, do wykonywania której w dzisiejszych czasach brakuje jej wiadomości, swoje całe otoczenie, po prostu swoje czasy – dla niego.

Przed ponad rokiem poddano ją rewitalizacji i w ciągu tego czasu zdołała chociaż częściowo

przystosować się do teraźniejszości. Ale nie ma nikogo naprawdę bliskiego; mimo starań psychologów pozostała dzieckiem swojej epoki, ubiegłego stulecia – właśnie taką chce być nadal, gdyż taką zna ją jej mąż. Obawia się, że straci jego miłość, jeśli się zmieni, jeśli przystosuje się do epoki, w której zmieniły się nie tylko środki, ale także cele, w której dla odwagi jej męża i jego towarzyszy ma się w najlepszym razie poważanie, ale brak z pewnością zrozumienia. Musiała poznać, jak trudno jest znaleźć się w innej epoce, teraz chce przynajmniej pozostać niezmieniona, by jej mąż mógł tu znaleźć oparcie. Przynajmniej ja tak myślę, ona mi tego oczywiście nie mówiła. Nawet gdyby chciała, nie mogłaby się prawdopodobnie przystosować do naszych czasów, ale to jej chyba tymczasem nie niepokoi: ona czeka na fragment swojej epoki, na to, co było dla niej w niej najważniejsze.

Na pozostałych dziesięciu nikt nie czekał.

Ma pan rację: statek, który niedawno zlokalizowano, to Ósma Wyprawa. Nie sądziłem, że wie pan o tym, przecież w wiadomościach była zaledwie krótka informacja. Żonę Nemana zawiadomiliśmy natychmiast; od tej pory przychodzi tutaj codziennie i wywołuje stare informacje z okresu startu. W rzeczywistości czeka jednak na to, że uzyskamy wreszcie kontakt radiowy ze statkiem. Ale statek jest jej zapewne obojętny; ona chce rozmawiać – z nim.

Przy tym wie, że statek jest jeszcze zbyt daleko; nim wyląduje, minie jeszcze przeszło rok. Sygnały nadchodzą całkiem zakłócone i są przydatne tylko do tego, by określić odległość i prędkość. Ależ tak, ona wie o tym. I jednak przychodzi. Myślę, że czeka na to, iż kiedyś meldunek będzie mniej zniekształcony. Wprawdzie przy obecnej odległości jest to całkiem nieprawdopodobne, lecz takie rachunki prawdopodobieństwa dopuszczają zawsze możliwości wyjątku. Otóż istotnie dwa dni temu dotarł do nas względnie zrozumiały komunikat, całkiem przypadkowo. Bardzo radosny komunikat, gdyż skrupulatny dobór załogi jednak się opłacił.

Ona jeszcze nie wie o tej wiadomości, na razie nie podaliśmy jej jeszcze do publicznych magazynów informacyjnych. My z agencji informacyjnej jesteśmy zdania, że nie powinniśmy się mieszać do spraw, które nas nie dotyczą. Nasze zadania są jasno sformułowane, nie jesteśmy psychologami. Ktoś przecież powinien być na tyle kompetentny, by jej to we właściwy sposób powiedzieć.

A przecież była to naprawdę bardzo radosna wiadomość. Eksperyment udał się. Bo czy ktoś z nam współczesnych odważyłby się na serio mieć nadzieję, że spośród jedenastu członków załogi wróci dziesięciu?

Tak, pana przypuszczenia są właściwe; owszem, to jest tragiczne. Ale mimo wszystko: gdy on postanowił wziąć udział w wyprawie, problem Nemana był praktycznie rozwiązany, i to bez zarzutu. Czy głupi przypadek może coś zmienić w znaczeniu tego rozwiązania?

Przełożyła Grażyna Werner

## Eric SIMON

Urodzony w roku 1960 autor z NRD, znany w Polsce z tomu „Pierwsze podróże w czasie” (KAW 1981). Sympatyczny pisarz, krytyk, znawca polskiej fantastyki przyjeżdżał kilkakrotnie do Polski zdobywając przyjaciół wśród naszych fanów i wydawców.

Brian W. Aldiss

# POZORY ŻYCIA

Coś ogromnego i coś bardzo małego:  
galaktyczny muzeum i przebrzmiała  
miłość. Jedno i drugie znalazło  
się w moim polu widzenia.

sobie niewyobrażalnie stare budowle, a tajemniczym

Przypuszczamy, że owe muzeum stworzy

panów galaktyki. Byli to Korlewalowie. Widmo  
Korlewalów zadomowiło się w świadomości  
rodzaju ludzkiego na całej przestrzeni międz

czekają stosownie

ktorzy na boski sposób przerażający i samotni

madrość wykracza poza naszą zdolność  
pojmowania

Obydwa przeciwstawne wyobrażenia o  
Korlewalach wypływają oczywiście z  
najgłębszych pokładów ludzkiego umysłu: W  
koncu i diabeł, i bog są nadal naszymi  
nieodłącznymi towarzyszami.

W każdym razie Korlewalowie rzeczywiście

znane. Wiemy, że wkraczając w erę budowy  
galaktyk, zdążyli już zrezygnować ze słowa  
pisanego. Nazwa Korlewalów wyw  
języnej, jaką dysponujemy, próbki ich

istotami ludzkimi







Świadczą o tym nie tylko rozmiary ich budowli, ale i to, że zawsze wznosili je na planetach, na których warunki nie sprzyjają człowiekowi.

Nie wiemy natomiast, co ostatecznie stało się z Korlewalami. Z pewnością bardzo długo panowali i nikt nie zdołał ich pokonać – jedynie sam Czas.

Tam, gdzie nie staje wiedzy, wyobraźnia ma głos. Ludzie sądzą, że Korlewalowie popełnili coś w rodzaju zbrojowego samobójstwa. Lub może na skutek wewnętrznych podziałów unicestwili się wzajemnie gdzieś w przestrzeni poza Naszą Galaktyką, poza zasięgiem statków kosmicznych człowieka?

Spotykamy też bardziej metafizyczne domniemania co do losu Korlewalów. Niewykluczone, że powodowani wymogami ewolucji, wyzwolili się ze swej cielesności, a jeśli tak, kto wie, czy nie zamieszkują nadal swych prastarych budowli, tyle że niepostrzegalni dla człowieka. Inna, bardziej jeszcze niezwykła teoria kładzie nacisk na Rozum utożsamiany z Kosmosem, wysuwa bowiem przypuszczenie, że jeśli tylko gatunkiem zawładnie idea opanowania galaktyki, na pewno cel swój osiągnie, a tak właśnie stało się z ludzkością, która po prostu wyobraziła sobie, że jej znakomici przodkowie nie istnieją.

Cóż, teorii jest wiele, ja jednak zamierzałem opowiedzieć o muzeum na Normie.

Podobnie jak wszystko, także i Norma ma swoje tajemnice.

Muzeum wyznacza równik Normy. Owa budowla to jakby gigantyczny pas otaczający całą planetę, o długości około szesnastu tysięcy kilometrów. Co zastanawiające, szerokość pasa jest w różnych miejscach różna: raz wynosi dwanaście kilometrów, kiedy indziej dwadzieścia dwa.

A oto podstawowa zagadka dotycząca Normy: czy jej topografia nie zmieniła się od zarania dziejów, czy też może osobiści Normy to robota Korlewalów? Budowla bowiem równo dzieli planetę na północną półkulę lądową i południową oceaniczną. Po jednej stronie rozciąga się nieskończona równina usiana kraterami, wśród których hulają wiatry i biektnawy śnieg. Po przeciwnej stronie kłębi się groźny ocean amoniaku, którego nie znaczą żadne wyspy, zamieszkują natomiast ogniste ryby i inne przystosowane gatunki.

Na jednym z najszerzych odcinków budowli Korlewalów wznosi się dziwaczne skupisko gmachów. Kiedy przybywa tam ktoś z kosmosu, rad jest widokowi owego spiętrzenia. Po wylądowaniu statku kosmicznego wsiada czym prędzej do windy, wydostaje się na dach całej budowli i odczuwa prawdziwą radość, że pośrodku tego niezbadanego symetrycznego wszechświata, którego znaczącą część ukształtowali właśnie Korlewalowie, ludzkość wzniosła owo bałaganiarskie pied-à-terre.

Zatrzymałem się na chwilę obok statku, ogarniając wzrokiem bezmiar przestrzeni. Z chmury wyłaniało się wschodząc szkarłatne słońce i sprawiało, że cienie goniły po zda się nieskończonej równinie, na której stałem. Odległe morze huczało i zawodziło poza zasięgiem mojego wzroku. Miejsce było odludne, tyle że ja zdażyłem przywyknąć do samotności: na planecie, którą uważałem za swój dom, z trudem udawało mi się spotkać innego człowieka nawet w ciągu całego roku, chyba że przy okazji bytności w Centrum Rozwojowym.

Budowla wzniesiona na Normie przez człowieka góruje ponad jednym z ogromnych wejść do muzeum. W jej skład wchodzi hotel dla gości, rozmaite biurowce, urządzenia przeładunkowe oraz gigantyczne przekazy: ponieważ ściany muzeum nie przepuszczają widma elektromagnetycznego, wszelkie informacje z wnętrza budowli przekazywane są za pośrednictwem kabla przechodzącego przez wejście, po czym wysyła się je w podprzestrzeni do innych rejonów Galaktyki.

– Oczekujemy cie, Poszukiwaczu. Witaj w Muzeum Normy.

Słowa te wypowiedział android, który wpuścił mnie do służby powietrznej, a następnie zaprowadził do hotelu. Podobnie jak wszędzie, tak i tutaj wszelkie funkcje służby wypełniały androidy. W foyer zerknąłem na zegar z kalendarzem, po czym wzorem wszystkich podróżnych przybyłych na Normę puknąłem w mój nareczny komputer, ażeby się przekonać o aktualnym umiejscowieniu Ziemi w czasie.

Ukołysany łagodnie muzyką alfa, przespiałem świetnie przesunięcie, a nazajutrz zjechałem do samego muzeum.

**M**uzeum prowadzone było przez dwudziestoosobową ekipę, wyłącznie żeńską. Pani Dyrektor udzieliła mi wszelkich wyjaśnień, które mogłyby być przydatne Poszukiwaczowi, pomogła wybrać pojazd do zwiedzania, po czym odeszła, a ja już sam miałem wjechać do obiektu.

Aczkolwiek zdołaliśmy opanować wiele sposobów otrzymywania metali jednocząsteczkowych, budowla Korlewalów na Normie wykonana została z metalu całkiem niepojętego. Na całej swej długości nie miała ani jednego złącza czy spoiny. Czy więc, jakimś sposobem wieziła w sobie czy też emanowała światło, tak że sztuczne oświetlenie nie było wewnątrz w ogóle potrzebne.

Poza tym była pusta. Na całej długości równika. To ludzkość, kiedy przejęła budowlę tysiąc lat temu, przekształciła ją w muzeum zapamiętując powoli galaktycznymi rupieciami.

**S**iedziałem w pojeździe i posuwałem się naprzód, ale wbrew przewidywaniom wcale nie oswiadczyła mną myśl o nieskończoności. Przypuszczalnie dążność do nieskończoności tkwi w ludzkich umysłach od czasu, kiedy pierwsi nasi przodkowie zdołali zliczyć na palcach do dziesięciu. Za siedlance kosmosu jeszcze bardziej wzmogło tę tendencję. Szczególnie, którego doświadczenia przez ludzkość się od niedawna, od czasu osiągnięcia przez ludzkość swoistej dojrzałości; ono także sprzyja nastawieniu, aby wszelkie doraźne troski bagatelizować, skupiać się natomiast na celach odległych. Sądzę jednak – jest to oczywiście moje osobiste zdanie – że owa dążność do nieskończoności we wszystkich swych postaciach wywiera zgubny wpływ na bliskie stosunki między poszczególnymi jednostkami. Nawet kochamy tak, jak nasi planecie przypisanemu praszczurowie; w odróżnieniu od nich żyjemy całkiem osobno.

W lecie pewna własność światła niwelowała widome oznaki nieskończoności. Zdawałem sobie sprawę, że znajduje się wewnątrz gigantycznej, ograniczonej przestrzeni, ponieważ jednak światło uwalniało mnie od doznań klaustrofobicznych, czy agorafobicznych, dam sobie spokój z opisywaniem owego bezmiaru.

Po upływie dziesięciu wieków ludzki dorobek zajął teren o powierzchni kilkunastu tysięcy hektarów. Androidy bezustannie rozmieszczały eksponaty. Zbiory znajdowały się pod stałą kontrolą elektronicznych kamer, toteż każdy mieszkaniec jakiegokolwiek cywilizowanej planety mógł poprzez podprzestrzeń, po skontaktowaniu się z muzeum, otrzymać w swoim pokoju trójwymiarowy obrazżądanego obiektu.

Kluczyłem wśród ekspozycji niemal całkiem zdając się na przypadek.

**A**żeby zostać Poszukiwaczem, należało wykazać się cechami urodzonego odkrywcy. Przebywając jako dziecko w eksperymentalnej grupie do badania zachowań, objawiałem takie cechy i natychmiast skierowano mnie na specjalne szkolenie. Uczeszczałem na nadprogramowe kursy traktujące o filozofii, rytmach Alfa, pewnych aspektach tetrachotomii, synchronizacji apunktualnej, homootogenezie i innych jeszcze zagadnieniach, co w rezultacie uprawniało do tytułu Poszukiwacza Pierwszej Kategorii. Innymi słowy, sprawdzałem, ile jest dwa plus dwa w sytuacjach, kiedy innym dodawanie nawet nie powstało w głowie. Kojarzyłem. Z przypadkowych części tworzyłem całości.

W kosmosie wypełnionym różnymi elementami mój fach był wprost bezcenny.

Przybyłem do muzeum z całym plikiem zamówień od różnorodnych instytucji, uniwersytetów oraz osób prywatnych z całej Galaktyki. Każde z zamówień wymagało ode mnie owej szczególnej umiejętności – zdolności, wobec której holografia okazywała się bezsilna. Posłużyć się przykładem. Akademia Audialna przy Uniwersytecie Paddin na planecie Rufadote pracowała nad hipotezą, że z upływem tysięcy lat, stopniowo, ludzkie głosy generują



coraz mniej fonów, czyli innymi słowy stają się coraz cichsze. Każdy przyczynik do tej hipotezy, który udaloby mi się znaleźć w muzeum, byłby mile widziany. Akademia była w stanie obserwować całe muzeum za pomocą zdalnie sterowanej holografii, jednakże tylko zwiedzający, który jest fizycznie obecny, jak ja, zdolny jest uchwycić w zbiorach postać rzeczy; i jedynie dla Poszukiwacza zauważalne będą znaczące zestawienia.

Samochód obwoził mnie wolno po ekspozycji. Na terenie muzeum rozmieszczono w różnych punktach automaty żywieniowe, toteż w ogóle nie musiałem tej instytucji opuszczać. Spałem w moim pojeździe, dogodnie wyposażonym w koje.

Drugiego dnia, zanim jeszcze rozpocząłem poranną przejażdżkę, zagadałem leniwie do stojącej w pobliżu kobiety-androida.

- Lubi pani to porządkowanie eksponatów?
- Jeszcze nigdy się tym nie zmęczyłam. - Miło się do mnie uśmiechnęła.
- Panią to interesuje?
- Nieskończenie. Dążenie do ustalonego schematu to podstawowy instynkt.
- Czy zawsze pracuje pani w tym dziale?
- Nie. Ale to mój ulubiony dział. Jak pan zapewne zauważył, klasyfikujemy tutaj wygasłe choroby, a raczej choroby, które by wygasły, gdyby nie muzeum. Moim zadaniem te mikroorganizmy są po prostu piękne.
- Czy czas ma pani dużo pracy?
- Naturalnie. Co miesiąc napływają nowe eksponaty. Wszystkie, od największych do najmniejszych, da się tu umieścić. A może mogłabym coś panu pokazać?
- Nie w tej chwili. Ile czasu zajmie wypełnienie całego muzeum?
- Przy obecnej skali wpływów piętnaście i pół tysiącleci.
- Czy wchodziła pani kiedyś do pustej części muzeum?
- Zdarzyło mi się stanąć na skraju pustki. To zatrzaśnięte uczucie. Wole być zajęta dziełami człowieka.
- I słusznie.

Odjechałem, rozmyślając o ograniczeniach w rozumowaniu androida. To ludzie narzucili przemysłnie owe ograniczenia - androidy nie były ich świadome. Dla androida jego wszechświat jest najwyraźniej nieskończony. Dzięki temu łatwiej mu osiągnąć szczęście, tak jak nam pomaga w tym nasz własny obraz wszechświata.

W miarę upływu dni napotkałem sporo zestawów i poszczególnych obiektów, które mogły być pomocne moim różnym klientom. Zanotowałem je wszystkie w naręcznym komputerze.

**P**iątego dnia zwiedzałem dokładnie dział poświęcony statkom kosmicznym i innym obiektom, które przetrwały od zarania galaktycznych podróży.

Wiele eksponatów wywołało we mnie pewną emocję - emocję, na którą składa się głównie nostalgia, radość wywołana powrotem do przeszłości. A to dlatego, że w niejednym z nich ujrzałem odbicie czasu, kiedy ludzkie życie było całkiem odmienne, być może mniej bezpieczne, a z pewnością mniej surowe.

Owa Pierwsza Era Galaktyczna - kiedy to mężczyźni, często w towarzystwie żon lub kochanek, by użyć ar-

chanych określeń na partnerki seksualne, w zupełności prymitywnych maszynach wypuszczali się na duże odległości - stanowiła początek czasów, w których rozluźnił się związek pary ludzkiej, a ludzkość wkroczyła w nowy etap na drodze ku dojrzałości.

Wszedłem do jednego z pierwszych statków kosmicznych, zbudowanego jeszcze przed odkryciem podprzestrzeni. Jego rozmiary były niewielkie. Schyliłem ramiona i krótkimi korytarzykami przedostałem się do czegoś, co było pomieszczeniem wypoczynkowym dla pięcioosobowej załogi. Metal, uszlachetniany przestarzałymi metodami, niewiele się różnił od drewna. Meble, przynajmniej tak jak ja je tam znalazłem, nie wyglądały na zaprojektowane dla ludzkich kształtów. Ówczesna moda miała na względzie jakąś zupełnie złudną funkcjonalność. Mimo wszystko w wyglądzie wewnątrz przetrwały cechy według mnie bardzo człowiecze: wytrwałość, odwaga, nadzieja. Owych pięciu ludzi, którzy tu niegdyś mieszkali, było moimi pobratymcami.

Statek uległ zniszczeniu w próżni z powodu wady urządzenia wymiany powietrza; ówczesne metody nie uwzględniały wszczepiania łożu do ciałek krwi, nie mówiąc o chirurgii genetycznej, która by uczyniła taką implantację dziedziczną. Całe wyposażenie i umeblowanie statku zachowane było w stanie sprzed wieków, od chwili gdy nastąpiła awaria.

Podczas przeglądania szafek z osobistymi rzeczami, natrafiłem na cienkie kołko z pradawnego metalu, złota. Po wewnętrznej stronie widniała mała inskrypcja, wykonana dosyć topornie pradawnym piśmem. Położyłem sobie kołko na czubku kciuka i zastanawiałem się nad jego przeznaczeniem. Czyżby był to jakiś pierwotny środek antykoncepcyjny?

Na ramieniu miałem zainstalowane muzealne oko. Włączyłem je i zwróciłem się do oficjalnego katalogu o opisanie trzymanego przeze mnie obiektu.

Odpowiedź była natychmiastowa

- Masz w reku obrączkę wsuwaną na palec istoty ludzkiej w czasach, gdy przedstawiciele naszego gatunku charakteryzowali się mniejszą posturą niż obecnie - referował katalog. - Podobnie jak sam statek kosmiczny, obrączka datuje się z Pierwszej Ery Galaktycznej, choć przypuszcza się, że jest nieco starsza od statku. Wiek obrączki potwierdza naszą wiedzę o jej funkcji, w dużym stopniu symbolicznej. Noszona ją dla pokazania, że kobieta lub mężczyzna pozostaje w związku małżeńskim. Ta akurat obrączka mogła być własnością dziedziczną. W owych czasach zakładano, że małżeństwo winno trwać aż do urodzenia się potomstwa, a może nawet do śmierci. Ludzka populacja była wtedy równo podzielona między osobniki meskie i żeńskie, co uderzająco kontrastuje z dziesięciokrotną przewagą kobiet w naszych gwiazdnych społeczeństwach. Stąd też idea wiązania się w pary na całe życie nie była wcale taka nielogiczna, jak to się może wydawać. W każdym razie obrączkę samą w sobie należy traktować jako niewinny przejaw nielogiczności, mający jedynie wyrażać niewolnicze podporządkowanie czy też zespolenie...

Rozłączyłem się.

Ślubna obrączka... Była przejawem komunikowania się za pomocą symboli. I w tym sensie mogła mieć znaczenie dla pewnego profesora zajmującego się przeobrażeniami w sferze awerbalnej, a korzystającego z moich usług.

Ślubna obrączka... Zamknięty krąg miłości i myśli.

Zastanawiałem się, czy ów konkretny związek małżeński zakończył się dla obojga partnerów na tym właśnie statku kosmicznym. Żaden z zachowanych rekwizytów nie dawał mi odpowiedzi. Znalazłem jednak jedynymiarowe zdjęcie w plastikowych ramkach, które przedstawiało mężczyznę z kobietą gdzieś na wolnym powietrzu. Uśmiechali się do rejestrującego ich urządzenia. Mieli płaskie oczy, co zdradzało nie wykorzystane jeszcze zasoby mózgowie, ale nie wyglądali pociągająco. Zauważyłem, że stali przysunięci do siebie o wiele bardziej, niż nam by to w ogóle przyszło do głowy.

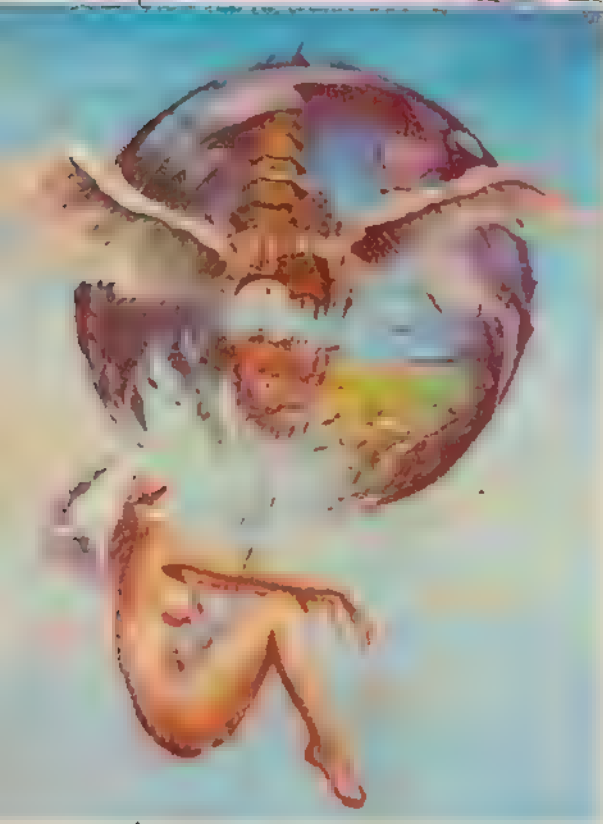
Czyżby miało to coś wspólnego z ograniczonymi możliwościami fotografującego aparatu? A może tymczasem zaszły zmiany w społecznym rozumieniu pojęcia bliskości? Czy to zagadnienie nie ma przypadkiem związku z emisją decybeli poprzez ludzki głos, co mogłoby zainteresować moich klientów z Akademii Audialnej? Niewy-

## Brian ALDISS

Autor ten dosyć często gości na naszych łamach, ostatnio w numerach 3/87 i 11/87. Opowiadanie, które tym razem drukujemy jest dobrym przykładem ciekawego i charakterystycznego dla SF zjawiska: kiedy czytamy antologię lub tom opowiadań jednego autora, nigdy nie jesteśmy w stanie odgadnąć, które zostaną w pamięci, a które zagubią się w masie innych przeczytanych rzeczy. „Pozory życia” są dla piszącego te słowa jednym z takich „zostających” opowiadań. Nie bardzo wiadomo, dlaczego tak się dzieje, możemy się tylko domyślić, że autorowi udało się stworzyć obraz rezonujący z podświadomością czytelnika. Czy chodzi o poczucie bezmiaru czasu, który przyjdzie po nas? SF odkryła, że jest to bardziej azokujące niż poczucie czasu, który już przeminał. Może dzieła tu świadomość, że jesteśmy na wierzchu, mamy więc przewagę nad tymi wszystkimi Cezarami, Napoleonami i Stalinami? Może silne opowiadania stanowią pomysł Muzeum Świata? A może bardzo aldisowski temat o niemożności kontaktu między dwoma gatunkami łatot rozumnych zamieszkujących kosmos - mężczyznami i kobietami?

# Siudmak • 004.

GAL





kluczono, że u nas narząd słuchu jest nieco bardziej wy-  
rafinowany niż u naszych przodków, gdy musieli tłoczyć  
się na jednej planecie pod dużym ciśnieniem atmosferycznym. Te szczegółowe sprawy odłożyłem do dalszego  
rozpatrzenia.

Jedna ze współ-Poszukiwaczek wyznała mi kiedyś żar-  
tem, że tajemnica wszechświata ukryta jest pod kluczem  
w muzeum i tylko ode mnie zależy, czy potrafię ją odna-  
leźć.

- Rzecz okaże się bardziej realna, gdy urządzenie mu-  
zeum zostanie skończono - odparłem.

- Ależ skąd - zaprzeczyła. - Wówczas tajemnica za-  
grzebana będzie już zbyt głęboko. Po prostu do tego cza-  
su zdążymy przenieść cały otaczający nas wszechświat  
do wnętrza budowli Korlewałów. Albo odnajdziesz to te-  
raz, albo już nigdy.

- W każdym razie pomyśl, że w ogóle może być coś  
takiego, jak tajemnica wszechświata, czy też klucz do  
jego poznania, jest wytworem ludzkiego umysłu.

- Lub też umysłu, który ten ludzki umysł stworzył -  
zakończyła.

**T**ej nocy spałem w dziale poświęconym wczes-  
nym wyprawom galaktycznym i następnego,  
szóstego już dnia, podjąłem tam dalsze poszu-  
kiwania.

Odczuwałem dziwne podniecenie, które  
było jakby poza i ponad nostedonią, nie chodziło też by-  
najmniej o zwykłe zainteresowanie starociami. Zmysły  
miałem wyostrzone.

Wjechałem pomiędzy dwadzieścia ogromnych stat-  
ków, które pochodziły z Drugiej Ery Galaktycznej. Naj-  
dłuższy z nich miał ponad pięć kilometrów i swego czasu  
zamieszkiwały w nim dziesiątki kobiet i mężczyzn. Była  
to era, kiedy nasz gatunek usiłował powołać w przestrze-  
ni kosmicznej całe imperia i poprzez całe lata świetlne  
przetransportować prymitywne obsesje o narodowym  
czy terytorialnym charakterze. Fakty wynikające z teorii  
względności z punktu skazywały tego typu usiłowania  
na niepowodzenie: wobec bezmiaru czasoprzestrzeni  
zarzucono je jako niepoważne. I nie jest paradoksem  
stwierdzenie, że wśród międzygwiazdnych tras ludzkość  
o wiele lepiej zglebiła swoją własną naturę.

Co prawda nie wchodziłem do środka tych behemo-  
tów, ale jakiś czas kręciłem się między nimi i mogłem się  
przekonać, w jak brutalny sposób uwidocznili się w me-  
talu technologie militarystyczne. Podobny brak umiaru  
już nigdy więcej nie miał miejsca.

Z tyłu za behemotami androidy ustawiały nowe ekspo-  
naty. Obiekty muzealne przesuwano się w umieszczo-  
nych wysoko transporterach, przewożone bezszelestnie  
od wejścia do muzeum aż do miejsca przeznaczenia,  
gdzie opuszczano je na ziemię. Zbliżyłem się do rejonu  
rozładunku nowej partii obiektów, po czym przeszedłem  
wzdłuż szeregu półek.

Leżały na nich rzeczy znalezione w kolonialnych do-  
mach lub statkach z owych poniekąd imperialnych cza-  
sów. Zdumiewała mnie ta kolekcja. Przedmioty mnożyły  
się wtedy na podobieństwo ludzi. W epoce niedojrzałości  
gatunku zmysł posiadania był dominujący. Ci dawno już  
nie żyjący ludzie najwyraźniej myśleli prawie wyłącznie  
o posiadaniu, w tej czy innej formie; jednakże, podobni  
androidom w analogicznych warunkach, nie byli w sta-  
nie dostrzec ograniczeń, jakie narzucał im ich własny  
charakter cywilizacyjny.

W całej tej rupieciarni przyciągnął moje oko niczym  
nie wyróżniający się sześcian. Boki miał gładkie i posre-  
brzane. Wziąłem go do ręki i odwróciłem. Na jednej ze  
ścianek widniało niewielkie wgłębienie. Dotknąłem go  
palcem.

Powoli wszystkie ścianki zrobiły się przezroczyste, a  
wewnątrz ukazała się trójwymiarowa głowa młodej ko-  
biety. Głowa odwrócona była do góry nogami. Oczy pa-  
rzyły na mnie.

- Ty nie jesteś Chrisem Mailerem - odezwała się. - Ja  
rozmawiam tylko z mężem. Rozłącz się i odwróć mnie  
jak trzeba.

- Twój mąż umarł sześćdziesiąt pięć tysięcy lat temu -  
odpowiedziałem. Odłożyłem jednak sześcian na półkę,  
poruszony trochę faktem, że przemówił do mnie wizeru-  
nek z odległej przeszłości. Wrażenie było tym większe, że  
zawierał w sobie poblask tamtego świata.

Zwróciłem się do muzealnego katalogu o informację  
na temat obiektu.

- Według ówczesnego żargonu jest to tak zwany holo-  
con - wyjaśnił katalog. - Hologramowy obraz autentycz-  
nej kobiety, przy czym kopia jej mózgu umieszczona jest  
na prasowanym rdzeniu ze stopu germanowego. Holo-  
con generuje pozorne życie. Czy mam podać szczegóły  
techniczne?

- Nie. Chciałbym znać jego pochodzenie.

- Zabrano go z niewielkiego, uzbrojonego statku ko-  
smicznego, z rakiety zwiadowczej, którą zbudowano w  
roku dwieście pierwszym Drugiej Ery. Jednostkę częścio-  
wo zniszczyła bomba z planety Skandra. Wszyscy na po-  
kładzie zginęli, ale statek wszedł na orbitę wokół Skand-  
ry. Czy podać szczegóły dotyczące przebiegu starcia?

- Nie. Czy wiadomo, kim jest owa kobieta?

- Zawartość półek to świeże nabytki, dopiero co skata-  
logowane. Dalsze eksponaty związane ze Skandrą wciąż  
napływają. Być może w późniejszym terminie otrzyma-  
my więcej danych. Sam sześcian nie jest jeszcze dokła-  
dnie zbádany. Został tak uczulony, żeby reagować jedynie  
na emisję fal mózgowych męża kobiety. Holocony tego  
typu cieszyły się popularnością wśród kobiet i mężczyzn  
z Drugiej Ery, którzy uczestniczyli w lotach między-  
gwiazdnych. W dowolnym punkcie kosmosu stanowiły  
ożywione pamiątki po towarzyszach życia. Celem uzy-  
skania dalszych informacji możesz...

- Wystarczy.

Posuwałem się do przodu, ale coraz wyraźniej odczu-  
wałem brak zainteresowania dla otaczających mnie obie-  
któw. Kiedy trafiłem na miejsce następnego rozładunku,  
zatrzymałem pojazd.

Platformy nęśne opuszczały się z dachu, a nieustrudo-  
ne androidy rozładowywały je i w stojących obok skrzy-  
niach rozmieszczały półprzezroczyste opakowane to-  
wary. Większe sztuki przenosił dźwig.

- Czy ten materiał pochodzi ze Skandry? - zapytałem  
katalogu.

- Zgadza się. Może chcesz poznać historię planety?

- To, zdaje się, planeta rolnicza?

- Tak. Wyłącznie rolnicza i obsługiwana wyłącznie  
przez automaty. Ludzie nie schodzą tam na powierz-  
chnię. Pierwotnie prawo do planety rościły sobie komu-  
nistyczne Indie i osadnicy byli głównie, choć nie tylko,  
pochodzenia hinduskiego. Doszło do wojny z pobliskimi  
planetami Unii Panslawistycznej. Czy jesteś obeznany z  
tym nacjonalistycznym nazewnictwem?

- A ta idiotyczna wojna jak się zakończyła?

- Unia wysłała w kierunku Skandry statek bojowy.  
Gdy był już na orbicie, wysunięto z jego pokładu żądanie  
pewnych ustępstw, na które Hindusi nie mogli albo nie  
chcieli przystać. Następnie statek wysłał na planetę jed-  
nostkę zwiadowczą w celu wynegocjowania układu. Uk-  
ład zawarto, jednakże pojazd, gdy już powtórnie wzbił  
się w przestrzeń i miał właśnie osiągnąć wnętrze rakiety  
macierzystej, eksplodował. Grupa skandryjskich ekstre-  
mistów podłożyła w nim bombę. Wczoraj oglądałeś ele-  
ment ocalony z jednostki zwiadowczej, dziś natomiast  
przejeżdżałeś koło samego statku bojowego.

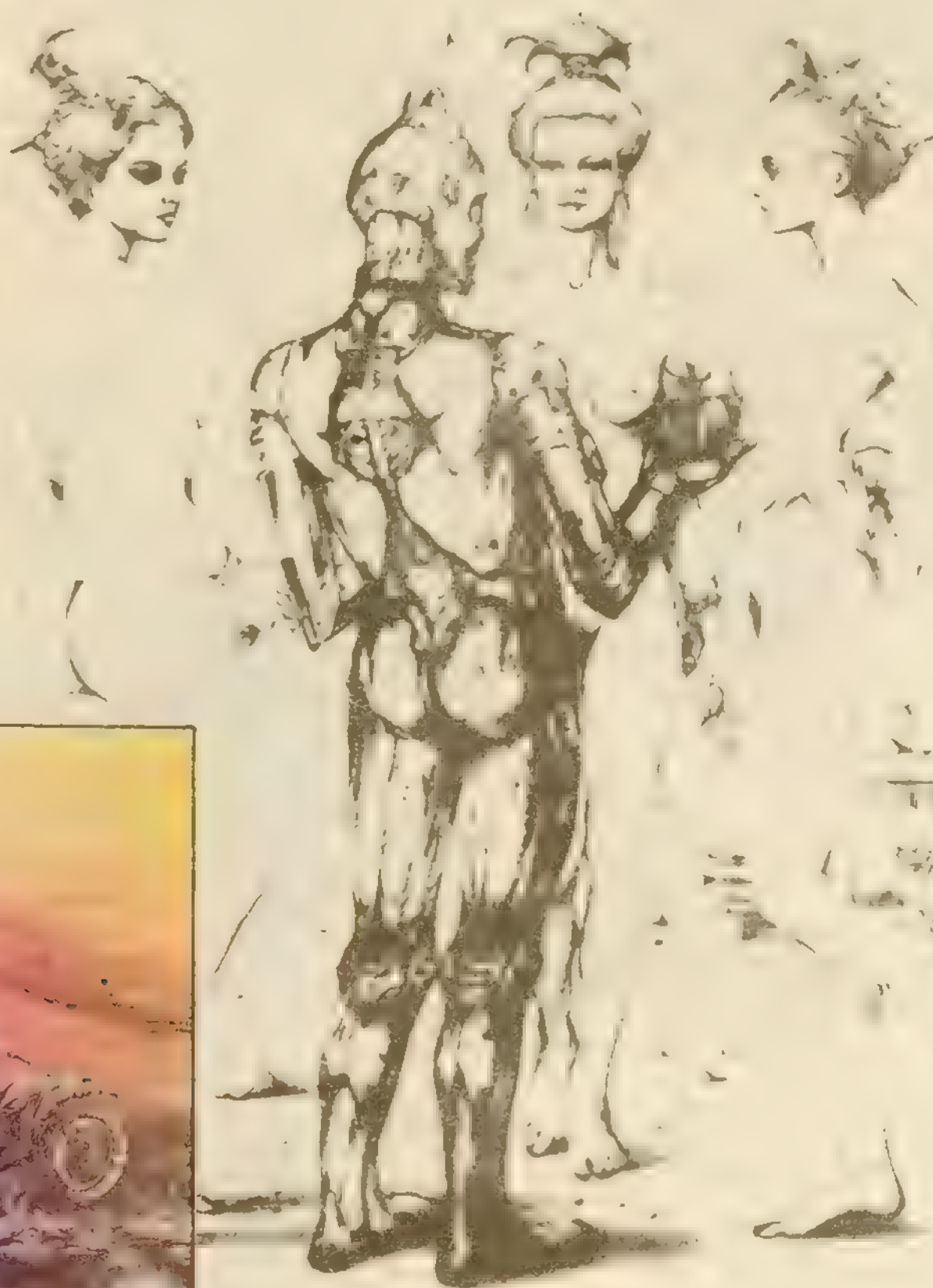
W odwecie za bombę, Panslawiści opylili planetę za-  
razkami Pantraxu K, choroby, która w przeciągu tygodni  
zlikwidowała tam wszelkie ludzkie życie. Laseczka Pan-  
traxu K słynęła z kłopotów, jakie sprawiała utrzymanie  
jej w izolacji, nic więc dziwnego, że statek też uległ ska-  
żeniu. Cała załoga zmarła. Przez wiele wieków obie ra-  
kiety: zwiadowcza i bojowa, a także planeta, odcięte były  
od reszty wszechświata. Nie trzeba dodawać, że obecnie  
zagrożenie infekcją nie istnieje. Powzięto wszelkie środki  
ostrożności.

Pod wpływem zwieźlej opowieści katalogu pogrąży-  
łem się w rozmyślaniach.

Rozwagałem przypadek Skandry, dziś już zupełnie  
nieistotny. Zagłada całego jednego świata pełnego ludzi,  
kolejny przejaw owej żądzy posiadania, która jak na ra-  
zie uwolniła nieco duszę ludzką ze swego uścisku. Czy  
jednak istnienie muzeum nie stanowi dowodu, że ślady  
tej żądzy pozostały, tylko że teraz przedstawia się ją u-  
czenie jako chęć zawiadnięcia nie tyle przedmiotami, co  
globalną przeszłością rodzaju ludzkiego, a nawet tym, co  
moja znajoma nazwała żartobliwie tajemnicą wszech-  
świata? Powiedziałem sobie wówczas, że w sferze psy-



# Siudmak • 004.





chiki przyczyna i skutek funkcjonują na dosyć sformalizowanych zasadach, że żądza posiadania sama mogła stworzyć poszukiwaną tajemnicę, wszak nie ma polowania bez ustalonej zdobyczy. A jeśli już się ją odkryje? Wówczas cały kompleks ludzkich spraw może ulec rozwikłaniu w głorii jednego wielkiego uproszczenia, aż poziom motywacji obniży się do tego stopnia, że życie utraci swój sens, a w konsekwencji gatunek riasz, po wypełnieniu wszystkich zadań, obumrze i zginie. Podobny los mógł spotkać niezwykłych Korlewalów.

Nie jesteśmy w stanie określić, do jakiego stopnia nieorganiczne i organiczne elementy wszechświata stanowią jedność, nim ostateczna śmierć ciepła dokona zrównania. Można jednak przypuścić, że służą sobie wzajemnie, aczkolwiek z zachowaniem właściwej hierarchii. Dzięki wiedzy, dzięki zawiadnięciu ową tajemnicą, z której żartowała moja znajoma, systemy organiczne obdarzone inteligencją mogą tworzyć jedność z otaczającym je wszechświatem. Owo zjednoczenie to przejaw osiągnięcia jakiegoś szczytu, pełni rozkwitu. A poza nim jest już tylko schyłek – metafizyczne odbicie drugiej zasady termodynamiki!

**P**rzerwałem ten tok rozumowania i natychmiast zdałem sobie sprawę z dwóch rzeczy: po pierwsze, że jako Poszukiwacz zdecydowanie wkroczyłem w etap zapowiadający jakieś odkrycie, a po drugie, że właśnie mam odebrać z rak androida przedmiot, który ten wylądowywał z platformy nośnej.

Kiedy wyjąłem go z przezroczystego opakowania, katalog objaśnił:

– Obiekt, który trzymasz, został sprowadzony ze stolicy Skandry. Znalezione go w mieszkaniu pary małżeńskiej, Jean i Lana Gopalów. Pozostałe przedmioty pochodzą z tego samego źródła. Prosimy o odłożenie obiektu na to samo miejsce, w przeciwnym razie nasi pracownicy stracą rozeznanie.

Był to holocon podobny do tego, który oglądałem poprzedniego dnia. Może trochę wymyślniejszy. Obudowę miał bardziej wyszukaną, a przycisk tak dobrze ukryty, że natknąłem się na niego niemal przez przypadek. Co więcej, sześcián rozjarzył się od razu, tym bardziej uderzające było złudzenie, że trzymam w rękach ludzką głowę.

– Ten holocon przeznaczony jest wyłącznie dla mojej byłej żony, Jean Gopal. Z tobą nie mam nic wspólnego. Proszę się rozłączyć i uprzejmie zwrócić mnie Jean. Mówi Chris Mailer

Wizerunek zniknął. W rękach trzymałem jedynie sześcián.

W głowie zaroilo mi się od pytań. Sześćdziesiąt pięć tysięcy lat temu...

Ponownie nacisnąłem wyłącznik. Tamten patrzył mi prosto w oczy i mówił niezmiennym tonem:

– Ten holocon przeznaczony jest wyłącznie dla mojej byłej żony, Jean Gopal. Z tobą nie mam nic wspólnego. Proszę się rozłączyć i uprzejmie zwrócić mnie Jean. Mówi Chris Mailer.

To niewątpliwie wszystko, co pozostało z Chrisa Mailera. Jego twarz robiła ogromne wrażenie. Miał wyraziste rysy: wysokie czoło, długi nos, mocną szczękę. Szare oczy były szeroko rozstawione, usta pełne, ale mocne. Nosił zgrabną brązową bródkę, tu i ówdzie przetykaną siwizną. Włosy na skroniach także miały siwe pasma. Twarz pozbawiona była zmarszczek i na ogół prezentowała się dziarsko, choć miała w sobie coś melancholijnego. Wskreszenie Mailera z elektronicznych odcisków i zmusiłem, żeby jeszcze raz pojawił się w urządzeniu.

– Skomunikuje się teraz z byłą żoną – powiedziałem.

Kiedy załadowałem holocon do pojazdu i jechałem z powrotem na miejsce upatrzone poprzedniego dnia, zdawałem sobie sprawę, że moje poparte treningiem zdolności sprzyjają mi i wskazują drogę.

W tym przypadku miał miejsce zarówno zbieg okoliczności, jak i pewna sprzeczność – chyba że tak mi się tylko zdawało, bo i zbiegi okoliczności, i to, co nazywamy sprzecznościami, są bardziej domniemane niż rzeczywiste. W końcu nic aż tak dziwnego, że jednego dnia natknąłem się na holocon żony, a nazajutrz na ten należący do meza. Oba rozładowywane w tym samym rejonie planetarnym, oba dostarczone do muzeum w ra-

mach jednego przedsięwzięcia. Sprzeczność natomiast była bardziej interesująca. Kobieta mówiła, że rozmawia wyłącznie ze swoim mężem, a mężczyzna, że tylko z byłą żoną. Czyżby wchodziła w grę jeszcze inna osoba płci żeńskiej?

Przypomniałem sobie, że kobieta, Jean, sprawiała wrażenie młodej, podczas gdy mężczyzna, Mailer, nie był już pierwszej młodości. Kobieta znajdowała się na planecie, na Skandrze, Mailer zaś w statku zwiadowczym. W tamtej wojnie, która w rezultacie wszystkim przyniosła śmierć, stali po przeciwnych stronach barykady.

Okazało się, że po sześciuset pięćdziesięciu wiekach nie sposób wyjaśnić, jak doszło do takiej sytuacji. Jednakże dopóki submolekularna struktura komórek holoconu zawierała energię, istniała szansa, że uda się zrekonstruować ów blahy wycinek przeszłości.

Nie znaczy to wcale, że wiedziałem, czy holocony zdają ze sobą rozmawiać.

Ustawiłem oba sześciány na tej samej półce, w odległości jednego metra. Włączyłem przyciski.

**O**drodziły się wizerunki dwóch głów. Spoglądały wokół jak żywe. Pierwszy odezwał się Mailer, bacznie wpatrując się ponad półką w głowę kobiety.

– Jean, kochanie, to ja, Chris, mówię do ciebie po całym tym długim czasie. Nawet nie wiem, czy powinienem, ale po prostu muszę. Poznajesz mnie?

Pomimo że wizerunek Jean przedstawiał kobietę o wiele młodszą od Mailera, miał jednak mniejszą jaskrawość i większą ziarnistość, spowodowane pośledniejszą jakością hologramu.

– Chris, to ja, twoja żona, twoja mała Jean. A to dla ciebie, gdziekolwiek jesteś. Wiem, że mamy ze sobą kłopoty, ale... Kiedy byliśmy razem, Chris, nigdy nie potrafiłem ci tego powiedzieć, ale ja naprawdę lubię nasze małżeństwo... jest dla mnie strasznie ważne i choć, żeby trwało nadal. Czuję cię, niezależnie od tego gdzie jesteś. Dużo o tobie rozmyślałam. Mówiłeś... zresztą sam wiesz, co mówiłeś, ale mam nadzieję, że jeszcze ci na mnie zależy. Prognie, żeby tak było, bo mnie na tobie bardzo zależy.

– Jean, kochanie, minęło już kilkanaście lat, odkąd się rozstaliśmy – odrzekł Mailer. – Zdaje sobie sprawę, że w końcu zburzyłem nasze małżeństwo, ale byłem młody i głupi. Nawet wtedy coś mnie w środku ostrzegało, że popełniam błąd. Udawałem, że jestem przekonany o braku uczucia z twojej strony. Ale tobie przez cały czas na mnie zależało, prawda?

– Nie dość, że mi zależy, to w przyszłości spróbuję okazywać ci więcej głębszych uczuć. Chyba teraz lepiej cię rozumiem. Wiem, że w kilku sprawach bardziej mogłam wyjść naprzeciw twoim oczekiwaniom.

Stałem zafascynowany i zmieszany tym dialogiem, pełnym przeróżnych niedomówień, których ja nie byłem w stanie zrozumieć. Przysłuchiwałem się rozmowie istot prymitywnych. Wizerunek twarzy kobiety miał w sobie pewną żywość, a nawet, jeśli pominąć płaskie oczy i nadmierne owłosienie, można by uznać, że Jean była ładna – z tymi zmysłowymi ustami i wielkimi oczyma. Ale pomyśleć, że było dla mnie oczywiste, iż może mieć męczyznę na własność, i że on funkcjonował wedle tych samych zasad! Podczas gdy Mailer wysławiał się wolno i z namysłem, choć płynnie, Jean mówiła pośpiesznie, kręcąc przy tym głową, zaczynała się i sama sobie przerywała.

Teraz mówił Mailer:

– Nie wiesz, co to znaczy żyć z uczuciem żalu. Przynajmniej, kochanie, mam nadzieję, że nie wiesz. W odróżnieniu ode mnie nigdy nie rozumiałeś, co to jest żal i różne jego przejawy. Pamiętam, jak kiedyś, tuż przed naszym zerwaniem, powiedziałem, że jesteś powierzchowna. A to dlatego, że wystarczyło ci życie w teraźniejszości, przeszłość czy przyszłość nie miały dla ciebie żadnego znaczenia. Swego czasu było to dla mnie nie do pojęcia, po prostu z tego powodu, że zawsze żyłem i przeszłością, i przyszłością. Nigdy nie wracałaś do rzeczy, które minęły ani tych szczęśliwych, ani smutnych, a ja nie mogłem tego ścierpieć. Że też taki drobiazg stanął na drodze naszej miłości! Poza tym ten romans z Gopalem. Czułem się zraniony i wybaczyć, ale to, że on był czarny rozjątrzył jeszcze ranę. Jednakże nawet w tej sytuacji powinienem był wziąć na siebie większą część winy. Jean, byłem wtedy o wiele bardziej zarozumiały niż teraz.

- Jak wiesz, nie jestem zbyt dobra w roztrząsaniu tego, co było - powiedziała. - Żyje każdym nadchodzącym dniem. A to uwikłanie się z Lanem Gopalem... cóż, przyznaje, że mi się podobał... sam wiesz, że laził za mną, a ja nie potrafiłam się oprzeć... właściwie nie winie Lana... Był bardzo kochany, ale chce, żebyś wiedział, że teraz to już skończone, naprawdę skończone. Znowu jestem szczęśliwa. Należymy tylko do siebie.

- Ciągłe mam uczucie, Jean, że z mojej strony zawsze tak było. To już chyba dziesięć lat, odkąd poślubiłaś Gopala. Kto wie, czy o mnie nie zapomnieliś, kto wie, czy ten holocon w ogóle cię ucieszy?

Kiedy tam stałem, nie mogąc zaprzestać słuchania, dwa wizerunki wpatrywały się w siebie i rozmawiały, choć się nie porozumiewały.

- Różnie myślimy, to znaczy w różny sposób - powiedziała Jean, opuszczając wzrok. - Sam lepiej to wyjaśnisz... zawsze miałaś intelektualne zaciecie. Wiem, że mną pogardzasz, bo nie jestem inteligentna, czy nie mam racji? Nieraz mówiłaś, że łączy nas komunikacja pozawerbalna... Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Poza tym, że było mi smutno, kiedy widziałam, jak wyruszasz na następna wyprawę i jedziesz obrażony i wściekły, i bardzo chciałam... ach, jak widzisz, twoja biedna żona usiłuje skompensować swoje niedostatki i przesyła ci ten holocon. Chris, najdroższy, dołączam ucałowania i mam nadzieję, że... no, wszystko... że wrócisz do mnie na Ziemię i że sprawy między nami ułożą się tak jak dawniej. Należymy do siebie, a ja wcale nie zapomniłam.

Mówiąc to, była coraz bardziej podniecona.

- Wiem, Jean, że wcale nie chcesz, żebym wrócił - odezwał się Mailer. - Nie można cofnąć czasu. Ale kiedy nadarzyła się okazja, musiałem się z tobą porozumieć. Podarowałaś mi holocon piętnaście lat temu i od tej pory mam go przy sobie podczas wypraw. Już po rozwodzie zaciągnąłem się do floty najemników kosmicznych. Walczymy teraz po stronie Panslawistów. Dowiedziałem się właśnie, że lecimy na Skandre, choć pobudki nie są najszlachetniejsze. Tak więc zamówiłem ten holocon i wierzę, że będzie okazja, aby ci go dostarczyć. A moja wiadomość jest doprawdy prosta: jeśli uważasz, że jest coś do przebaczenia, to ci przebaczam. Minęło tyle lat, a ty, Jean, ciągle jesteś mi bardzo droga, choć ja znacze dla ciebie mniej niż nic.

- Chris, to ja, twoja żona, twoja mała Jean. A to dla ciebie, gdziekolwiek jesteś. Wiem, że mamy ze sobą kłopoty, ale... Kiedy byliśmy razem, Chris, nigdy nie potrafiłam ci tego powiedzieć, ale ja naprawdę lubię nasze małżeństwo... jest dla mnie strasznie ważne i chce, żeby trwało nadal.

- Przedziwne, że przybywam jako wróg na planetę, którą przypuszczalnie od czasu, kiedy wyszłaś za Gopala, uważasz za ojczystą. Zawsze wiedziałem, że ten petak nie wroży nic dobrego wślizgując się pomiędzy nas. Powiedz mi, że jak długo opiekuje się tobą, bez względu na to, co robi poza tym, nie żywie do niego urazy.

Wtedy ona rzekła:

- Całuję cię, niezależnie od tego, gdzie jesteś. Dużo o tobie rozmyślam...

- Mam nadzieję, że dzięki niemu w ogóle o mnie zapomniałaś. Należy mi się to od niego. Ty i ja byliśmy kiedyś dla siebie wszystkim i już nigdy potem życie nie było dla mnie tak szczęśliwe, choćbym nie wiem co udawał przed ludźmi.

- Mówiłaś... zresztą sam wiesz, co mówiłaś, ale mam nadzieję, że jeszcze ci na mnie zależy. Pragnę, żeby tak było, bo mnie na tobie bardzo zależy... Nie dość, że mi zależy, to w przyszłości spróbuje okazać ci więcej głębszych uczuć. Chyba teraz lepiej cię rozumiem.

- Jean, kochanie, to ja, Chris, mówię do ciebie po całym tym długim czasie. Nawet nie wiem, czy powinienem, ale po prostu muszę.

**O**dwrociłem się. Nareszcie zrozumiałem. To tylko owe niepojęte rzeczy, o których mówiły wizerunki, tak długo skrywały przede mną prawdę.

Obrazy mogły ze sobą rozmawiać dzięki temu, że przerwa w wypowiedzi jednego wyzwalała kolejną kwestię drugiego. Jednakże to, co miały do powiedzenia, zostało zaprogramowane jeszcze przed ich spotkaniem. Każdy dostał rolę do odegrania i nie był w stanie

wy wyjść poza nią ani o krok. Niezależnie od wypowiedzi drugiego wizerunku, oba ograniczone były do tego, co zostało z góry ustalone. Kobiecie, która miała mniej do powiedzenia od mężczyzny, szybciej wyczerpał się zasób tekstu i po prostu zaczęła swoją paplaninę od początku.

Holocon Jean powstał jakieś piętnaście lat przed holoconem Mailera. Ona mówiła z czasu, gdy byli jeszcze małżeństwem, on natomiast w ileś lat po rozwodzie. Każdy wizerunek wypowiadał się w oderwaniu od drugiego - nigdy nie było między nimi dialogu...

Te banalne wnioski przelierały mi przez myśl i znikły.

Zajął mnie ważniejsze problemy.

Wraz ze swą krzątanicą wokół posiadania odszedł człowiek Drugiej Ery.

Przemineli także bosczy Korlewalowie. Przynajmniej tak nam się zdaje. Otaczają nas ich wytwory, po samych jednak Korlewalach nic nie zostało.

Tak jak nam niedostępny jest nawet ślad po nich, ja nie istniałem dla Jean i Mailera, choć w pewien sposób na mnie reagowali.

Jako Poszukiwacz Pierwszej Kategorii wykonałem swoje zadanie z nawiązką. Uzyskałem ostateczną całość większą od poszczególnych części razem wziętych. Odnalazłem to, co moja wesoła znajoma nazwała tajemnicą wszechświata.

Podobnie jak wizerunki, które oglądałem, galaktyczny rodzaj ludzki był zaledwie projekcją. To Korlewalowie nas stworzyli - nie jako oryginalne stworzenia obdarzone wolną wolą, lecz jako swego rodzaju reprodukcje.

Nigdy nie da się tego dowiedzieć, to sprawa wyłącznie intuicji. A ja nauczyłem się mojej intuicji zawierać. Tak jak owe uwięzione wizerunki, rodzaj ludzki słabnie stopniowo, coraz gorzej słysząc zaprogramowane odpowiedzi. Tak jak oni, dryfujemy wszyscy w coraz większym oderwaniu od siebie, tracąc wyrazistość. Tak jak oni jesteśmy przekleci aż do źródła, ponad gruzami przeszłości, ponieważ kopiom nie jest dana twórcza przyszłość.

Oto było moje gigantyczne uproszczenie, moje zjednanie z otaczającym wszechświatem! Rozkwit poprzedzający upadek.

**A**leż nie, moja idea jest bezsensowna! Coś mnie opętało! Wnioskowanie pozbawione było jakichkolwiek podstaw. Wiem, że nie ma ostatecznej tajemnicy wszechświata; w każdym razie, jeśli przyjmiemy, że ludzkość to tylko wytwór Korlewalów, kto w tej sytuacji „wytworzył” ich samych? Pierwotne pytanie zaledwie cofnęło się o jeden stopień.

Każdy jednak poziom istnienia posiada klucz do swej zasadniczej zagadki. Owe klucze pozwalają różnym postaciom życia albo wznieść się na skali egzystencji, albo znaleźć się w położeniu bez wyjścia - rozkwitnąć lub ulec zagładzie.

Ja odnalazłem klucz, który przywiódłby rodzaj ludzki do uwiadu i śmierci. Bo wszechświat nie jest ludzkom dany, jedynie drobny jego wycinek.

**O**puściłem muzeum. Na pokładzie mojego statku odleciałem z Normy. Nie udałem się w drogę powrotną do rodzimego świata. Zamiast tego wyruszyłem na odludną planetę, na której zamierzam doczekać końca moich dni, z nikim się nie komunikując. Niech sądzą, że spotkało mnie jakieś osobiste nieszczęście, a nie że wpadłem na trop powszechnej katastrofy. Gdybym się tym z kimś podzielił, poczucie rozkładu, które tkwi we mnie, mogłoby się rozprzestrzenić.

I to nieodwołalnie.

Byłem do tego stopnia zdruzgotany psychicznie, że dopiero kiedy dotarłem do tej jałowej ziemi, przypomniałem sobie, czego zaniedbałem w muzeum. Zapomniałem wyłączyć holocony.

Mogą tam tak stać i ciągnąć swoją nie kończącą się rozmowę, dopóki nie wyczerpie się energia. Dopiero wówczas dwie gadające głowy zapadną w błogosławioną nicność i przestaną istnieć.

Ucichną dźwięki, zgasną obrazy, pozostanie cisza.

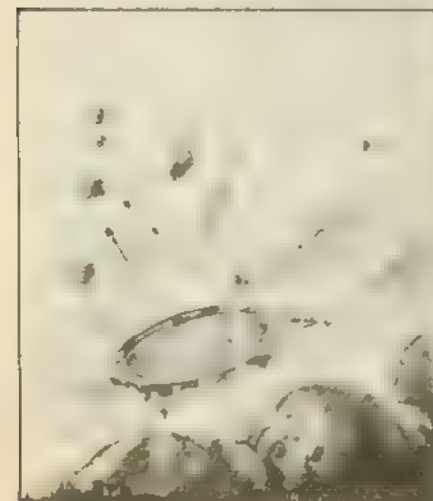
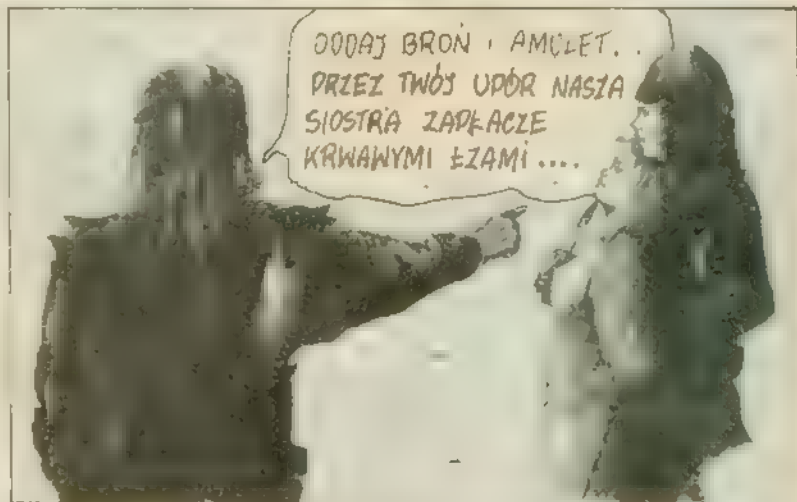
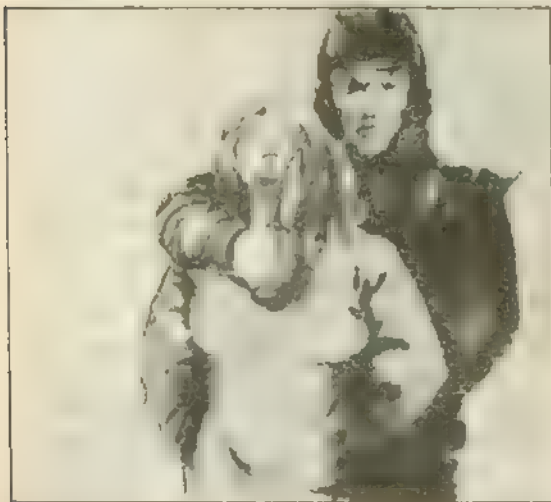
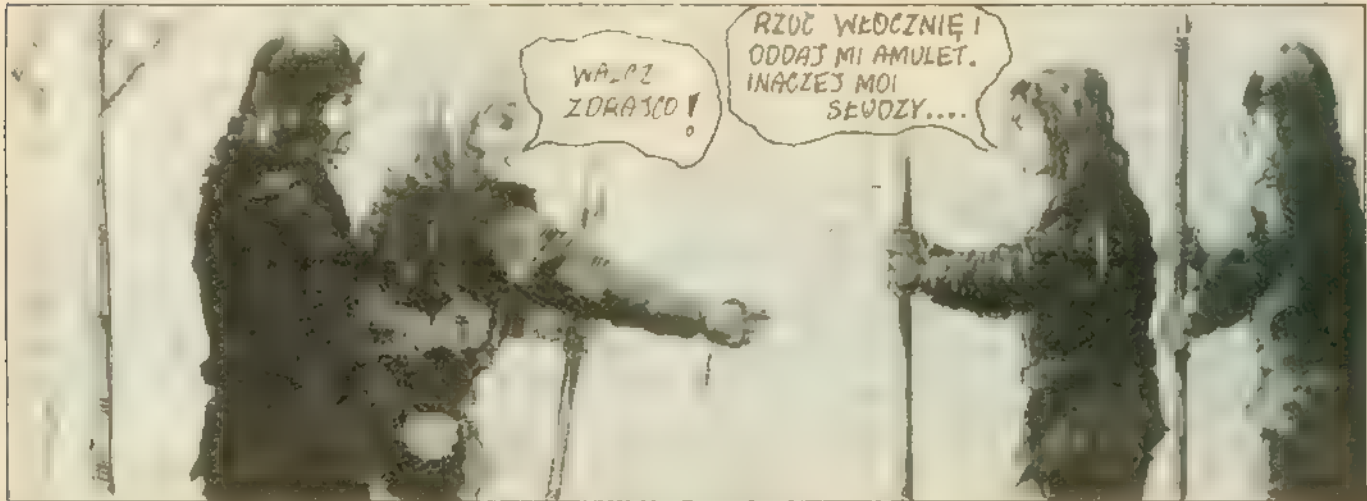
Przeżyła

Katarzyna Heidrich-Żurkowska



# Wilcza Kłatwa -4

Komorowski \* Ziemkiewicz



# Wilcza Kłatwa

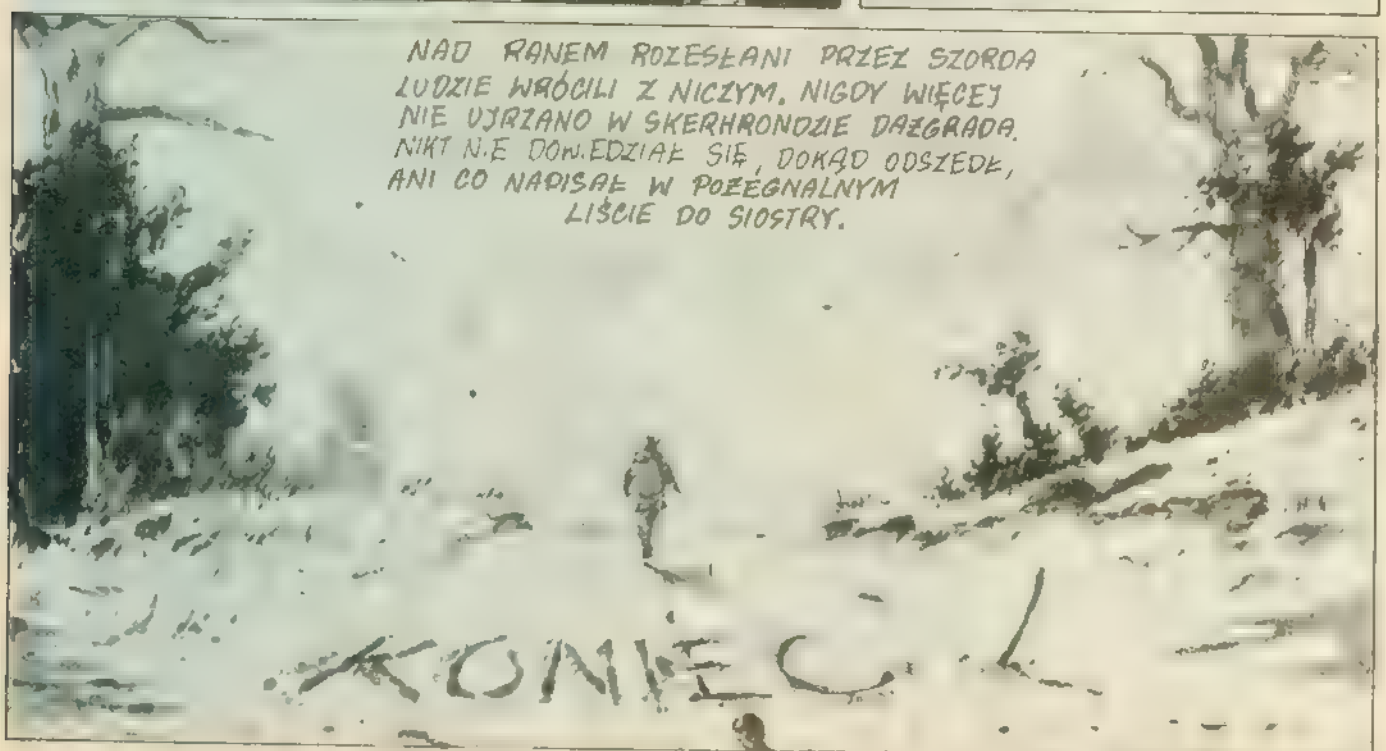
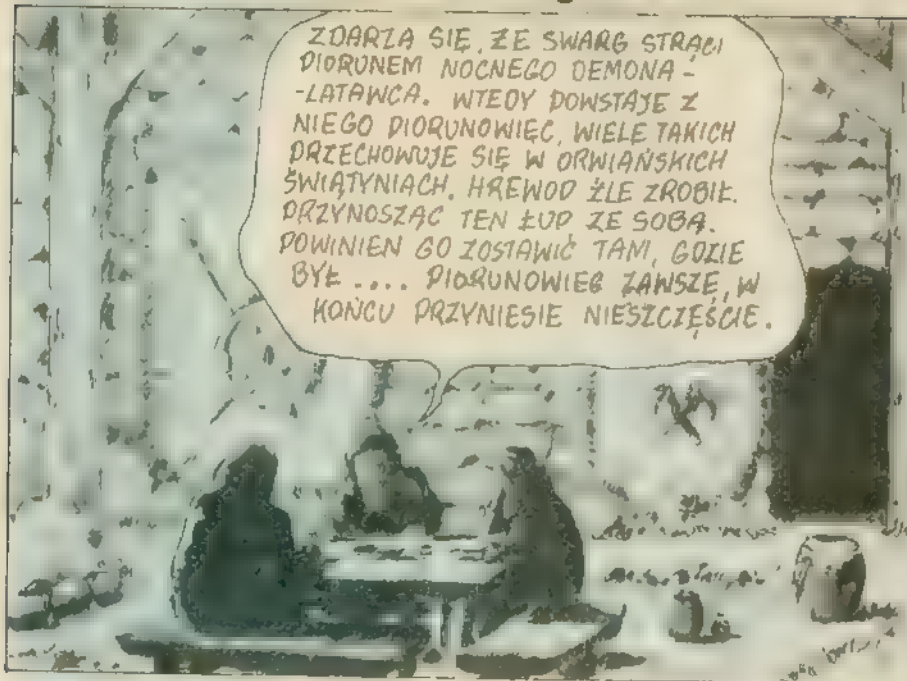


# Wilcza Kłątwa





# Wilcza Kłatwa



**T**o łatwa robota, chłopcy - powiedział facet w szarym kapeluszu. - Dostaniecie całą forszę i nie chce was więcej widzieć - dodał rysując łaską znaki na piasku.

- My ciebie też - mruknął młodszy.  
Facet uśmiechnął się i wyjął z kieszeni kopertę.  
- Oto forsa - powiedział, przyglądając się własnym butom. - Jutro o dziewiątej będzie sam. Tu jest numer pokoju i fotografia.

Położył kopertę na brzegu ławki i odszedł zwirową alejką. Staroświecka łaska zakończona srebrną główką konia z każdym jego krokiem zakreślała niewielki łuk.

Młodszy wziął kopertę, nie otwierając włożył ją do kieszeni i wyłuskał z papierka gumę do żucia.

Starszy zapukał, a młodszy stanął przy ścianie i rozluźnił węzeł krawata. Drzwi uchyliły się.

- Jestem detektywem hotelowym - powiedział starszy i pokazał wizytówkę, którą wspólnie wykonali wczoraj domowym sposobem.

- Słucham? - rozległo się zza drzwi. - O co chodzi?

- Wolałbym wejść - szepnął starszy. - Zaraz tu będzie zbiewisko.

Meżczyzna zza drzwi wysunął głowę. Młodszy uśmiechnął się do niego. Starszy spojrzał w lewo i prawo. Nikogo na korytarzu nie było.

Wchodząc uderzył meżczyznę pięścią w brzuch, a kiedy ten zgął się, poprawił od dołu i silnym pchnięciem rzucił meżczyznę na środek hotelowego pokoju.

# ZUPEŁNIE NOWY INTERES

Wojciech Jankowski

- Dał od razu całą forszę - powiedział. - Nie podoba mi się.  
- Dlaczego? - przeciągnął się starszy. - Sądzi, że dopadnie nas, jeżeli nawalimy.

- My nie nawalimy. I on o tym wie. Ale on może...

- Nic nie może - przerwał starszy. - Dał forszę, reszta go nie obchodzi.

- Chce nas w coś zrobić - powiedział młodszy i obejrzał się za wysoką dziewczyną w białej bluzce z koronki. - Dziwny facet! Coś w nim jest niewyraźnego.

Starszy wstał z ławki, obciągając poły marynarki.

- Przesadzasz. W co nas można zrobić? I dlaczego?

Młodszy wzruszył ramionami.

Poszli alejką w kierunku przeciwnym do tego, w którym odszedł facet z łaską. Starszy zatrzymał się chwilę i popatrzył na dzieci biegające nad stawem. Dalej kilku meżczyzn zabawiło się modelami statków sterowanymi radiem.

- Pójdziemy jutro bez broni - powiedział.

- Nie lubię chodzić bez broni - rzekł młodszy podnosząc piłkę, która potoczyła się po alejce i podał ją pięcioletniemu chłopcu w czapce z daszkiem.

**N**astępnego dnia rano zaparkowali samochód parę przecznic dalej i zawrócili załoczonym chodnikiem w kierunku hotelu. Przeszli przez hol i dotarli do wind akurat wtedy, kiedy lewą opuszczały dwie starsze panie przebrane za nastolatki.

Prawą windę wypełniał w połowie gruby łysol z pekińczykiem w objęciach. Windziarz zasunął staroświecką kratę i ruszyli w górę.

Łysol z pekińczykiem jechał na trzecie piętro. Starszy przepuścił ich przycisnąwszy się do ściany windy i nie patrząc na windziarza zadysponował:

- Dwunaste!

Korytarz dwunastego piętra wysłany był chodnikiem o barwie dojrziałych śliwek. Podobną barwę miały opatrzone porcelanowymi tabliczkami drzwi do pokoi i pozbawione tabliczki drzwi wiodące na klatkę schodową.

Schodząc na dziesiąte piętro nie spotkali nikogo. Tym razem i drzwi, i chodnik były brązowe.

Młodszy wszedł za nim i zamknął drzwi na klucz, zostawiając go w zamku. Starszy wkładał już rękawiczki.

Meżczyzna siedzący na kanapie patrzył na nich mrugając zaczerwienionymi powiekami. Z wargi spływała mu krew.

Starszy pochylił się i wyjął z rozedrganych dłoni swoją wizytówkę. Włożył ją do kieszeni, poklepał meżczyznę po policzku i powiedział:

- Spokojnie, nie denerwuj się.

Młodszy wkładał rękawiczki.

- O co...o co chodzi? - wyszeptał siedzący na kanapie.

- Ani słowa - ostro powiedział młodszy i wsunął dłoń pod połe marynarki, pod którą nie było broni.

Meżczyzna znieruchomiał. Starszy otworzył drzwi łazienki. Przeszukał szafę w ścianie, pochylił się zaglądając pod łóżko. Młodszy wytarł chustką kłamekę i tkwiący w zamku klucz.

- Chcemy pogadać - powiedział starszy. - Ktoś cię nie lubi, a my możemy ci pomóc.

- Jeżeli będziemy chcieli - dorzucił młodszy.

- Wy nie jesteście hotelowymi detektywami - powiedział meżczyzna z kanapy.

- Jak to zgadłeś? - teatralnie zdumiał się młodszy.

- Ja nie rozumiem. Nie wiem o co wam chodzi - wyjął meżczyzna.

- Wiesz - przeciągle powiedział starszy - wiesz synu.

- Widzisz, to jest tak - wtrącił młodszy - nam się trochę spieszy.

Starszy poklepał meżczyznę po ramieniu.

- Zaczni mówić - powiedział.

Młodszy przeglądał półki szafy. Potem otworzył walizkę leżącą pod jasnym płaszczem.

- Proszę, proszę - powiedział podnosząc dłoń z dyndającym na palcu rewolwerem - nasz gospodarz miał pukawkę. W walizce ją trzymał, frajer, a nie w garści

- I tak by mu nie pomogła.

- Naładowaną - ciągnął młodszy.

Wcisnął bebenek i przyłożywszy siedzącemu na kanapie meżczyźnie rewolwer do czoła nacisnął spust. Kurek odchylił się.

Meżczyzna wstrzymał oddech, twarz mu zbladła, czoło pokryły kropelki potu.

- Kto cie nie lubi? - spytał młodszy. - Mów szybko, bo palec mi się coraz bardziej zgina.  
 - Naprawdę nie wiem. Ja nic nie rozumiem. Nie wiem.  
 - Nie wie - starszy rozłożył ręce. - A może pomyliłmy drzwi?  
 Młodszy palcem lewej ręki opuszczał kurek i odjął rewolwer od czoła siedzącego na kanapie.  
 Mężczyzna poruszył się i dostał w twarz lufą rewolweru.  
 - Nie ruszaj się - ostrzegł starszy. - Możesz mrugać, jeśli już musisz.  
 - I mówić - dodał młodszy.  
 Mężczyzna siedział bez ruchu.  
 Starszy klepnął go zniecierpliwienie po udzie.  
 - Musieliśmy pomylić drzwi, co? Wzięliśmy cię za kogoś innego.

Mężczyzna nie zareagował.  
 Młodszy odłożył rewolwer na półkę szafy i obejrzał wiszące w niej krawaty. Wybrał jeden z brązowego surowego jedwabiu.  
 - Przepraszamy cię, stary - rzekł starszy ujmując siedzącego za przegub - powiedz, jak mamy ci to wynagrodzić.  
 Młodszy zarzucił mężczyźnie krawat na szyję i zacisnął. Mężczyzna szarpnął się, ale uda starszego przytrzymały mu nogi, a dlonie nie rozluźniły chwytu wokół przegubów.

**A**ni w korytarzu, ani na schodach nie spotkali nikogo. Nie musieli długo czekać na windę. Nie było w niej nikogo poza windziarzem, starym mężczyzną o szarej twarzy i pustych oczach.

Piętnaście kilometrów za miastem młodszy wydobyl z kieszeni klucz opatrzony wąską tabliczką i podał starszemu, a ten otworzył okno i odrzucił klucz w krzaki rosnące przy drodze.

- To była prosta robota - powiedział starszy. - Facet wcale się nas nie spodziewał.  
 - Właśnie, był cholernie zdziwiony.  
 - Miałeś rację - mruknął starszy w zamysleniu - coś w tej robocie jest nie tak.

**M**łodszy odsunął firankę i wyjrzał na błyszczący w słońcu ocean.

- Masz zamiar tak to zostawić?  
 - Dostaliśmy zlecenie. Zrobiliśmy robotę, wzięliśmy forszę. Końiec - rzekł starszy i dopił kawę.  
 Młodszy wrócił na fotel naprzeciw starszego.  
 - Przeczytaj - uderzył dłoń w gazetę - to nie był facet z branży. Historyk z uniwersytetu. Komu taki mógł przeszkadzać?  
 - Ale komuś przeszkadzał, nie?  
 - Rany! - zdenerwował się młodszy. - Nie wygłupiaj się!  
 - Zostaw tę sprawę!  
 - Nie! - Młodszy zerwał się z fotela. - Od lat czytam te ich kryminalne kawałki. Dawno zauważyłem, że zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Piszą o czymś, co wygląda na robotę zawodowców na ludziach, których zawodowcy nie powinni tykać. Teraz my zrobiliśmy taką robotę.

Starszy wziął gazetę ze stołu i wrzucił do kosza na śmieci.  
 Wdepnęliśmy w coś, dobra, ale mamy to za sobą i żyjemy jakby tego nie było.

- Głównie! - krzyknął młodszy. - Musimy się tym zająć.  
 - Zrobić robotę i o nic nie pytać - starszy otworzył szafę i wyjął szarą marynarkę - to jest podstawowa zasada.

- Nie wychodź. Musimy pogadać.  
 Starszy wzruszył ramionami, rzucił marynarkę na krzesło i usiadł na drugim założwszy nogę na nogę.

- Ile lat pracujesz w fachu? - zapytał młodszy. - Trzydzieści. I co z tego masz? Trochę forsy w banku? Akurat na koszty pogrzebu.

- Więcej - uśmiechnął się starszy.  
 - Ale ja nie chce mając pięćdziesiąt lat uganiać się z rewolwerem w łapie. Chce być bogatym pięćdziesięcioletnim facetem.  
 - Jasne, w twoim wieku też chciałem.  
 - Czuje tu - młodszy zignorował ironiczny ton starszego - grubą forszę. To musi być duży, zupełnie nowy interes, do którego nie dobrali się ludzie z branży. Mam zamiar włączyć się do tego interesu. Z tobą albo bez ciebie.  
 - Ze mną albo beze mnie? - powoli zapytał starszy.

**P**od wieczór koło autostrady zaczęły się pojawiać pierwsze domy przedmieścia. Starszy wyłączył radio i zapytał.

- Co robimy? W tej robocie ty jesteś szefem.  
 - Jutro rano pójdę do czytelnika i wygrzebię wszystko, co pisali o zabójstwach.  
 - A ja mam przygotować jedzenie i dać ci buzi, kiedy wrócisz po pracy?

- Ty pochodzisz, pogadasz z ludźmi, popytasz o faceta z laską, dowiesz się kto brał dziwne zlecenia.

**M**otel nazywał się „Zajazd turecki”. Składał się z niewielkich domków krytych plastikową strzechą. Domek, który dostali salonik, po obu stronach dwie sypialnie, a na wprost drzwi wejściowych łazienkę.

Starszy wrócił pierwszy, przed zmrokiem. Nalał porcję zyt-niówki, zapalił cygaro i usiadł przed telewizorem. Mecz dobiegał końca, kiedy przyszedł młodszy.

- Znalazłem czterdzieści sześć zleceń z ostatnich trzech lat - wykrzyknął od progu i wyciągnął z teczki plik kserograficznych odbitek.

- Posłuchaj tylko! - Rzucił kartki na stół. - Gospodyni domowa z małego miasteczka, ksiądz, malarz, kapitan artylerii, szesnastoletni uczeń, sprzedawca ze sklepu znany jako początkujący poeta, pomywaczka z chińskiej restauracji... - Położył resztę odbitek na stole. - Sam przeczytaj.

- No i co powiesz? - zapytał kilkanaście minut później wychodząc z łazienki owinięty ręcznikiem w złote półksiężycy.

- W tym - rzekł starszy - mogą być narkotyki.

- Sam w to nie wierzyłeś! Nie powiesz mi, że wikary będzie handlować narkotykami. Albo, że szesnastoletni szczeniak, nawet jeśli jest hurtownikiem, tak namiesza, że nie obejdzie się bez mokrej roboty. Albo gospodyni z miasteczka, w którym trzy osoby widziały peta z marihuany.

- W każdym razie - starszy zaśmiał się cicho - nie napalalbym się jak ty.

Młodszy był już w szarym ubraniu, w którym wyglądał jak konserwatywny urzędnik bankowy.

- Ty się nigdy nie napalasz - powiedział - gdybyś ty się napalał, byłibyśmy dwoma napalencami. Idziesz na kolację?

- Nie, zamówię coś do pokoju.

- Mam ochotę na dziewczynkę. - Młodszy poprawił krawat przed lustrem. - Przyprowadzić i tobie?

- Dziękuję, mam robotę. Spróbuję się po sznycie zorientować, kto nadal te zlecenia. Kogoś na pewno poznam.

**J**esteś pewien, że to ona? Naprawdę, dobra jest? - zapytał młodszy.

Siedzieli w samochodzie zaparkowanym koło skrzyżowania czterech ulic zabudowanych kolorowymi domami. Starszy uważnie zgasił papierosa.

- Pewien? Ostatni raz byłem pewien czterdzieści lat temu. W każdym razie Mała lubi bawić się brzytwą i jeszcze dziś ma warunki, żeby zwabić w krzaki szesnastolatka.

Drzwi domu z zielonym gankiem otworzyły się. Drobną dziewczyną w fioletowych spodniach i szafirowym swetrze zbiegła po schodach i otworzyła drzwi garażu.

- Mała? - zapytał młodszy.

- To pewnie dziewczyna mój.

- Aha - mruknął młodszy. - Mała lubi dziewczyny.

- Ty też lubisz.

Dziewczyna wyjechała z garażu białym kabrioletem dla dwóch osób. Drzwi garażu zamknęły się automatycznie.

Podeszli do ganku. Starszy nacisnął przycisk. Uchyliło się okienko w drzwiach i niski kobiecy głos zapytał:

- O co chodzi?

- Otwórz Mała - powiedział starszy. - Pamiętasz mnie. Kolega i ja mamy do ciebie dwa słowa.

- O co chodzi?

- Mała - nie ustępował starszy - otwórz i wpuść nas. Nie możemy gadać przez lufik. Chcemy o coś zapytać.

- Nie mam wam nic do powiedzenia!

- Masz Mała. Jeżeli nie otworzysz, poczekamy. Musisz w końcu wyjść, nie?

Okienko zatrasnęło się, szcękneła zasuwa i kobieta uchyliła drzwi na tyle, na ile pozwalał łańcuch.

- Pokazcie się!

Starszy stanął naprzeciw uchyłonych drzwi, młodszy ustawił się przy nim.

- Mam się uśmiechnąć? - zapytał.

- Niech was szlag trafi! - Zatrasnęła drzwi i otworzyła je ponownie. Tym razem bez łańcucha.

Była wysoka, miała ładną twarz, szerokie ramiona i biodra, i wąską talie ściśniętą paskiem różowego szlafroka. Cofnęła się w mrok przedpokoju. Młodszy wszedł pierwszy, starszy zamknął drzwi i zasunął zamek.

- Nie wpuścisz nas dalej? - zapytał.

- Gadaćcie o co wam chodzi! - Duże oczy kobiety, o jasnych tęczówkach błyszczały w półmroku.



- Nie tu, Mała - głos starszego nadal był miękki i spokojny - usiądźmy gdzieś i pogadajmy. To potrwa chwilę. I nie bój się, nie będziemy chcieli nic do picia.

Niech was szlag trafi! - powtórzyła kobieta.

Za drzwiami był rozległy pokój z białymi meblami, białym dywanem i bukietem szkarłatnych kwiatów na białym stole. Usiedli na białej kanapie.

Cholera - mruknął młodszy - tak tu bialo, że człowiek boi się ruszyć.

Za szerokim oknem przejechała na wrotkach dziewczynka w pełnej falbanek sukience.

- Posłuchaj Mała - starszy położył kapelusz na kanapie - usiądź i posłuchaj.

Kobieta stała nieruchomo oparta o białą półkę zastawioną kolekcją porcelanowych zwierzątek.

- Jesteś piękna, duża lufa - młodszy włożył papierosa do ust - obejrzelismy cię już, teraz siadaj grzecznie.

Popatrzyła na młodszego ironicznie.

- Nie dla ciebie, synu. Usiądź, żebyś się nie podniecał.

Starszy wstał z kanapy.

- Niepotrzebnie się złościś. Potrzebujemy tylko informacji.

Podszedł do kobiety i oparł się o półkę stojącą obok fotela, w którym usiadła.

- Dwa lata temu - ciągnął - wzięłaś zlecenie na szesnastoletniego szczeniaka...

- Skąd wiesz, czy wzięłam?

- Nie przerywaj, powiem co mam do powiedzenia, zadam ci pytanie, ty odpowiesz i będzie po wszystkim.

- A jeżeli nie odpowiem?

- Odpowiesz Mała - młodszy strzepnął popiół z papierosa na biały dywan i roztarł butem - Po co ci mamy rozwalac tę piękną głowę.

Starszy kucnął przy fotelu opierając łokcie o poręcz tuż koło dłoni kobiety.

- Zlecenie na szesnastoletniaka dał ci facet z łaską. Teraz pytanie: jak wyglądała ta laska?

Kobieta milczała. Młodszy odrzucił papierosa i obserwował jak we włochatej tkaninie wypala się brązowa dziura.

- Niech was szlag trafi - powiedziała kobieta. - Twardzi meczyszn, cholera! Laska miała gałkę w kształcie końskiego łba. Zadowolona to was?

- Jasne, Mała - młodszy wstał z kanapy i zadeptał tłący się dywan - zadowolona nas to całkowicie.

Podszedł do śledzącej wciąż kobiety, zatrzymał się krok przed fotelem, z prawej strony.

- Popatrz Mała - wskazał brązową dziurę - niepotrzebnie to zrobiłem. Gdybys się nie stawiała...

- Zapłacimy ci - starszy wyprostował się wkładając dłoń do kieszeni.

Kobieta spojrzała za tą dłonią i pochyliła się wstając z fotela. Młodszy z prawą ręką wciąż wskazującą wypalony dywan zamachnął się krótko i wbił lewą ręką nóż o wąskim, trojgraniastym ostrzu w to miejsce, w którym różowy szlafrok rozchylił się na piersiach kobiety. Skosnie w lewo i w dół.

**W**yszli z restauracji, drogą i pełną dobrze ubranych ludzi o wypielegnowanych twarzach. Podeszli do samochodu.

- Nie ruszaj się - cicho powiedział starszy.

Młodszy zastąpił z kluczkami w lewej dłoni. Właśnie miał otworzyć drzwi po swojej stronie.

- Spływamy, ktoś ruszał maske - powiedział starszy.

Młodszy dopiero teraz dostrzegł brak małego kawałka gumy do zucia na krawędzi klapy. Odeszli powolnym, niedbałym krokiem.

- Poczekam w barze na rogu - starszy wskazał kolorowy neon - a ty wyprowadzisz nas z motelu i ściągniesz wóz.

- W porządku. Z dziewczynką dziś nici, co?

Starszy podeszedł do bariery nad rzeką, spojrział na wodę lśniąca w wieczornym mroku, oparł się o kamienny słupek i zapalił papierosa rozglądając się uważnie. Nie spostrzegł niczego podejrzanego, więc ruszył w kierunku barku na rogu. Tam usiadł przy końcu kontuaru tuż przy oknie z sześciokątnych kolorowych szyb. Ich samochód wyglądał stąd jak porcja owocowej galaretki.

Młodszy przepuścił trzy taksówki i wybrał czwartą z gestu jadących samochodów. Piętnastcie minut zajęło mu pakowanie rzeczy i płacenie rachunku; taksówka czekała przed motelem.

Kazał się zawieźć do portu lotniczego, umieścił walizki w skrytce bagażowej i inną taksówką wrócił do śródmieścia.

Ulica wypełniona była tłumem wieczornych przechodniów. Na rogach, przy wejściach do kin, knajp i kabaretów stali faceci szukającej okazji do zarobku albo darmowego wypicia. Zawołał



## Siudmak •004•

niemłodego cherlaka w tandetnej marynarce w jaskrawe paski.

Elegant podeszedł z uśmiechem

- Chcesz zarobić pięćdziesiątaka? - zapytał młodszy.

- Jasne

- Masz tu kluczyki, kartę rejestracyjną i dwudziestkę na taksówkę. Sprowadzisz mój wóz, dostaniesz pięćdziesiątaka.

Ten wziął kartę rejestracyjną i kluczyki, młodszy podał mu nazwę restauracji, przed którą został samochód i przytrzymał za ramie

- Nie próbuj mi podprowadzić wozu albo prysnąć z tą dwudziestką - ostrzegł odchyłając pole marynarki. - Widzisz tę spluwę? Znajdę cię, jeżeli wykrecisz mi numer. Będę tam. - Machnął ręką w kierunku świecącej czerwienią i błękitem ściany kabaretu.

Chuderlawy odszedł szybko. Młody widział jak chuderlak zatrzymuje taksówkę. Wsiadł do następnej i pojechał za nim.

Starszy pilnował koktajl i zerknął co chwilę w okno. Od razu dostrzegł faceta idącego w kierunku parkingu. Nawet przez kolorowe szybki facet nie wyglądał na starego gościa restauracji.

Elegant otworzył drzwi i wsiadł. Wybuch zatrzęsł kolorowymi szybami. Błachy karoserii otworzyły się na wszystkie strony, strzepy zawirowały w powietrzu, płomienie objęły to co zostało z wozu.

Goście rzucili się do okna.

- Co się stało? Co się stało? - gruby mężczyzna ze zroszoną potem tyśnią odpychał starszego od kontuaru i starszy potulnie mu ustąpił.

- Nie wiem. Cos huknęło.

**- C**o jest grane? - odezwał się młodszy. - Ktoś wziął na nas zlecenie, ale dlaczego?

Nie wiemy dlaczego - odpowiedział starszy - Nie wiemy kto. Musimy się dowiedzieć.

Kilka godzin po świcie zjechali wynajętym samochodem na

boczną szosę, obrosniętą szpalierem drzew. Asfalt był tu zmątwiały, pełen dziur, w których stała woda po niedawnym deszczu. Zjechali z asfaltu na leśną drogę, po czym szerokim łukiem dotarli do zrujnowanego domu na wzgórzu. Przy zjeździe z szosy i przy drodze stały stare tablice z napisem: *droga prywatna-wjazd zabroniony*.

W środku dom wyglądał na opuszczony. Pachniało kurzem i myszami. Słoneczne światło wpadało przez szpary w okiennicach malując wewnątrz w złote paski wirującego pyłu.

Wieczorem usiedli przy stole. Na oczyszczonym z kurzu blacie leżały wyjęte ze schowka dwa sztucery z optycznymi celownikami, dwa krótkie pistolety maszynowe z magazynkami na trzydzieści pięć naboł, dwa małe pistolety z płaskimi tłumikami i wygiętymi w dół pojemnikami na łuski.

- Idziemy na piętro - zarządził starszy - tu też mogą nas dostać.

- Przynajmniej się wypałę - odpowiedział młodszy. - Kiedy spływamy?

Rano. Starszy wziął sztucer i odłączył celownik optyczny. - W nocy i tak nic nie pomoże - wyjaśnił. - Sprawdziłeś telefon?

- Działa.

- Zadzwonię przed samym odjazdem. Chodź na górę.

Północ dawno minęła, kiedy starszy poruszył się przy oknie.

- Idzie facet - szepnął. - Coś niesie

- U mnie spokój - odpowiedział młodszy.

Zostawił sztucer pod oknem i cicho zszedł na parter. Odblokował okiennice, przyłożył twarz do szpary. W kierunku domu skradał się skulony mężczyzna niosący w obu rękach kanciaste ciężary.

Młodszy pchnął lekko okiennice. Słyszał już szelest kroków na trawie. Szelest ustał pod ścianą, na lewo od okna. Po chwili rozległ się cichy bulgot i w nieruchomym powietrzu nocy rozplynęła się ostra woń benzyny.

Starszy wysunął przez okno lufę sztucera.

Młodszy pchnął silnie okiennice. Zanim jej skrzydła stuknęły o ścianę domu, z nożem w lewej ręce wyskoczył przez okno. Miał do przebycia trzy kroki. Mężczyzna z bańką był szybki: zdążył puścić bańkę i sięgnąć pod lewą pachę. Młodszy kopnął go w łokieć, odchylił się i z tego wychylenia, potężnym zamachem uderzył mężczyznę w szczękę. Przeciwnik upadł, młodszy schylił się nad nim i w tej samej chwili nad jego głową zadudniły po ścianie domu pociski.

Starszy kropnął w kierunku błysków w zaroślach. Strzały stamtąd ustały.

Młodszy leżał obok powalonego przeciwnika tak, że ciało tamtego stanowiło osłonę. Podniósł rękę z nożem i wbił go nieruchomemu mężczyźnie w gardło, po czym nie wypuszczając noża podpełznął do okna.

- Wskakuje - krzyknął - strzelaj!

Starszy walił w zarośla na skraju lasu szeroką serią. Młodszy przetoczył się przez parapet, przypadł do ściany pod oknem. Pociski wystrzelone z zarośli zastukały o ścianę tłukąc szkła w głębi pokoju.

Młodszy chwycił zwisające pasy i jednym szarpnięciem zatrzasnął okiennice. Zablokował je stalową sztabą i pobiegł na górę.

- Po nim - powiedział zdyszany. - Chciałem go tu przywlec, ale zaczęło się, więc musiałem go uciszyć.

- Jasne - odburknął starszy ładując naboje do magazynka. - Teraz nam nic nie robią. Przygotuj samochód. Wyrywamy za nim się rozjaśni.

Został na straży na górze, młodszy załadował do samochodu broń, uzupełnił paliwo z beczką i odblokował drzwi. Wyjeżdżający samochód mógł je roztrącić zderzakiem.

- Mozesz schodzić - zawołał

Zadzwonił telefon. Starszy podniósł słuchawkę.

- Macie kłopoty - powiedział głos w słuchawce - ale i ja mam kłopoty. Z wami.

- Zgadza się - odpowiedział starszy.

- Proponuję rozmowę - powiedział głos w słuchawce. - Bądźcie jutro w Hiltonie. Pokój 7062 o czwartej po południu.

- Bedziemy - obiecał starszy.

Odłożył słuchawkę i podniósł sztucer. Młodszy czekał w drzwiach.

- Jedziemy - powiedział starszy. - To był gość z łaską. To on dał zlecenie tym partaczom.

Zapieli pasy. Młodszy przekreślił kluczyk, zwiększył obroty, i płynnie zwolnił sprzęgło. Wóz wyrwał do przodu, walnął zderzakiem w drzwi garażu. Skrzydła drzwi z rozmachem się otworzyły. Zanim z trzaskiem odbiły się od ściany i zatrzasnęły na powrót, samochód wyjechał na łąkę. Nie padł ani jeden strzał.

- Skąd się dowiedział, że coś od niego chcemy? - w zamyśleniu powiedział starszy już na szosie. - Wie o tym. I zna naszą melinę. Ostro facet.

- Za ostro dla nas? Myślałem, że nikt nie jest dla nas za ostro.

- Zawsze znajdzie się ktoś lepszy od każdego - starszy uśmiechnął się lekko. - Od kiedy zacząłem pracować w tej branży, wiedziałem, że ktoś kiedyś mnie załatwi. Może to będzie on.

- Gównol! - Młodszy walnął pięścią w kierownicę. - Gównol! Gównol!

- Spokojnie - mruknął starszy.

**W**inda zatrzymała się płynnie, drzwi otworzyły się z trzaskiem. Starszy doszedł do drzwi z wypukłymi metalowymi cyframi ułożonymi w numer 7062. Młodszy zatrzymał się kilka kroków za nim. Starszy zapukał.

- Wejdźcie - odpowiedział głos z pokoju.

Starszy wszedł nie zamykając drzwi. Młodszy stojąc pod ścianą patrzył wzdłuż korytarza. Czekał.

Nie dostrzegłszy niczego podejrzanego oderwał plecy od ściany i wszedł za starszym zatrzymując się przy drzwiach. Starszy stał na środku pokoju. Pod oknem siedział mężczyzna. W ręce trzymał łaskę ze srebrną głową konia w miejscu gałki.

- Siadajcie. Jestem sam.

Młodszy zdjął z klamki wywieszkę z napisem: „proszę nie przeszkadzać”, uchylił drzwi, zawiesił wywieszkę na klamce od zewnątrz, zamknął drzwi i dwa razy przekreślił klucz. Potem usiadł na kanapie obok starszego.

- Słucham - mężczyzna z łaską pochylił się w swym fotelu i przybrał uprzejmy wyraz twarzy - słucham. O co wam chodzi?

- Ty nas tu zaprosiłeś - odpowiedział starszy.

- A wy mnie szukaliście. Dlaczego?

- Chcemy dla ciebie pracować - odrzekł młodszy.

- Nie mam dla was pracy.

- W tym co robisz - starszy pochylił się do przodu - jest z pewnością gruba forsa. A my jesteśmy nieźli w swoim fachu i postanowiliśmy się w to włączyć.

- Jesteście jedynymi z najlepszymi - mężczyzna z łaską uśmiechnął się - ale w tym co robie nie chodzi o forszę.

- Zawsze chodzi o forszę - powiedział młodszy.

- Chyba nie mam innego wyjścia - jakby sam do siebie powiedział mężczyzna z łaską - muszę wam wszystko powiedzieć.

- Jasne - zgodził się starszy.

- Rzecz w tym - dodał mężczyzna - że mi nie uwierzycie.

Postaraj się, żebyśmy ci uwierzyli - sucho rzekł młodszy.

Mężczyzna z łaską wyciągnął rękę i włączył telewizor.

- Zaraz - powiedział - zacznie się transmisja, bezpośrednia transmisja - podkreślił - z wyścigów samochodowych. Powiem wam co się zdarzy. Na drugim wirażu samochód z numerem szesnaście uderzy w bandę, zapalił się po skapotowaniu, z tyłu robi się karambol z pięciu, nie, z sześciu samochodów, wyścig zostanie przerwany, kierowca samochodu z numerem szesnaście zginie w płomieniach. Sami zobaczycie

- Zgadza się - wolno powiedział młodszy - dziś mają być wyścigi. A ty robisz sztuczki z magnetowidem.

- Możesz włączyć radio i sprawdzić - powiedział mężczyzna - trzy albo cztery stacje nadają bezpośrednią transmisję.

Sprawdzili wszystko na dwóch kanałach telewizyjnych i w czterech programach radiowych. Grupa wyścigowych maszyn minęła pierwszy wiraż, przyspieszyła na prostej i weszła w drugi wiraż. Samochód z numerem szesnaście jechał w środku stawki.

W kilka sekund potem z palącego się wraka walił gęsty dym, strażacy w srebrnych kombinezonach strzykali pianą z gaśnic, nawet nie próbując się zbliżyć do płonącego samochodu. Obok kilka wozów zbiło się w kupę żelastwa.

Czarna sylwetka kierowcy widoczna była przez płomienie. Szarpał się przez kilka sekund, potem opadł na pół wysunięty z kabiny. Spiker radiowy aż zachłystywał się opowiadając o tym co dzieje się na torze.

- Co chcesz udowodnić? - zapytał starszy i wyłączył radio.

- Znam przyszłość. Wiem, mogę wiedzieć co się zdarzy

## Wojciech JANKOWSKI

Urodzony 27 XI 1948 r. w Gdańsku. Absolwent Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego. Pracował na Uniwersytecie, był dziennikarzem, uczył w szkole, był młodym pracownikiem naukowym na Politechnice Wrocławskiej. Obecnie pracuje jako drwal. Debiut science fiction: opowiadanie „Koch” („Problemy” nr 8/1980).

(mp)

- Bzdura! - zirytował się młodszy.

- Jasne, że trudno w to uwierzyć - powiedział mężczyzna - potrzebowaleś na to wielu lat.

- Poczekaj - starszy ruchem ręki powstrzymał młodszego, który zaczął się podnosić. - Mówisz, że znasz przyszłość, ale gdzie w tym jest interes?

Mełczyzna z laską pokręcił głową z irytacją.

- Człowieku! Przecież nie o to chodzi! Ja mogę zmieniać bieg wydarzeń. Mogę zmieniać przyszłość!

- Każdy może, nie? - Starszy wzruszył ramionami. - Strzelam do faceta i zmieniam przyszłość, bo go już niema.

- Naprawdę nie rozumiecie? Naprawdę nie? Ty nie wiesz wszystkiego co będzie, kiedy strzelisz do faceta i nie wiesz co byłoby, gdybyś nie strzelił. A ja wiem. Wiem co się zdarzy bez żadnego strzelania i wiem jak to zmienić.

- No to co się zdarzy jutro? - Młodszy skrzywił się z wymuszonym uśmiechem.

- Billony różnych rzeczy - odpowiedział mężczyzna z laską tonem cierpliwego nauczyciela - ważnych i nieważnych. Niektóre z nich wpłyną na przyszłość, niektóre nie. Jeżeli chcę zmienić coś, co mogłoby się zdarzyć za kilkanaście lat, coś ważnego, mogę jutro coś drobnego zmienić, bo wiem co, i to się nie zdarzy.

- Kapujesz coś z tego? - młodszy spojrzał na starszego nie kryjąc ironii.

- Poczekaj. Po co nam to opowiadasz? - zapytał.

- Chcieliście się dowiedzieć. Kiedy was wynajmowałem, byłem pewien, że zrobicie swoje i przestaniecie o mnie myśleć. Potem nagle coś się zmieniło i zaczęliście mnie szukać. W jednym z wariantów przyszłości mogliście mnie zabić.

- Wierze ci, że ty kazałeś zabić nas - wpadł w słowo młodszy.

Tak. Było prawdopodobne, że się uda. Potem wiedziałem, że się nie uda i zadzwoniłem do was. Teraz mówię jak jest, a wy zaczynacie mi wierzyć i już nie chcecie mnie zabić.

- Tak? - przeciągle zapytał młodszy.

- Tak! Rozumiecie przecież, że w mojej wiedzy są olbrzymie pieniądze. Nie tylko z zakładów czy z ruletki, ale przede wszystkim z giełdy. Po kilku latach gry na giełdzie mogłbym mieć w kieszeni gospodarkę całego świata. A wy ze mną.

- Piękna bajka - niepewnie powiedział młodszy - aż szkoda, że to tylko urojenia.

- A wyścig samochodowy?

- Człowieku - starszy miał pogardliwy ton głosu - skoncz z pieprzeniem.

- Po co - zapytał młodszy - mając takie możliwości kazałeś zabijać nic nie znaczących ludzi?

- Bo mnie nie interesuje forsą ani władza. A każdy z tych ludzi miał w przyszłości wyrządzić wielkie szkody.

- Nawet szesnastoletni szczeniak?

- Ten szczeniak za dwadzieścia dwa lata zostałby dyktatorem. Najkrwawszym w historii. A to znaczyło kilkadziesiąt milionów ofiar.

- A ten nasz? - spytał młodszy. - Profesorek od historii?

- Za sześć lat byłby rektorem swojej uczelni i utraciłby kandydaturę młodego biochemika, potencjalnego odkrywcy przyczyn raka. Ten młody biochemik zacząłby pracować w przyfabrycznym laboratorium i pić. Po sześciu latach jego genialny mózg wyglądałby jak przejrzały ser.

- I teraz to lekarstwo na raka będzie?

- Teraz będzie.

- Co tobie z tego? Masz raka?

- Nie robię tego dla siebie. Dla was to niepojęte? Ale zapewniam, że nie zależy mi na forsie. Mam dar! Wykorzystuję go dla dobra ludzi nikomu nic nie mówiąc, bo zawsze znajdą się faceci, którzy chcieliby mój dar wykorzystać.

- Ludzie tacy jak my? - zapytał starszy.

- Tacy jak wy albo jeszcze cwańsi.

- I nam nie pozwolisz skorzystać z twojego daru?

- Wam? - Mełczyzna z laską ochłonął z podniecenia. - Wiem, że możecie mnie zabić, ale jeżeli uwierzycie mi, nie zrobicie tego. Dam wam typy na szesnaście najważniejszych gonitw, wyciągniecie z tego dwadzieścia milionów. Ale mam dwa warunki: nie będziecie odgadnąć mnie szukać i nikomu o mnie nie powiecie.

- Myślisz, że ci uwierzylimy? - Starszy parsknął krótkim śmiechem.

- A jeżeli znasz przyszłość - dodał młodszy - to wiesz, czy cie zabijemy, czy zostawimy w spokoju.

- To nie jest proste - odpowiedział mężczyzna. - Ludzkich zachowań nie da się przewidzieć w stu procentach. Im są bliższe, tym trudniej. Na przykład, wiem o co chcesz zapytać - rzekł do starszego - ale nie wiem czy zapytasz.

- O co?

- O to ile lat jeszcze będziesz żył.



Wojtek Siudmak

- Bzdura! - powiedział starszy niepewnie. Młodszy spojrzał na niego uważnie.

- Tak myślałem. - Mełczyzna z laską uśmiechnął się. - Wiesz, nie na wszystkie pytania odpowiadam. Na to nie odpowiadam.

- Co robimy? - zapytał młodszy, a starszy w odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Cholera! Facet zapędził nas w kozi róg.

- Ja tam mu wierzę.

- Nigdy w życiu nie pozwoliłem - mruknął starszy - żeby ktoś tak długo pieprzył mł głupoty.

Na twarzy mężczyzny z laską znać było z trudem skrywane napięcie.

- Dobra - powiedział starszy po długiej chwili milczenia - dawaj typy na te gonitwy.

- Są w szufladzie biurka.

Młodszy podszedł do biurka, wyjął z szuflady wąską kartkę i czytał ją kilka chwil.

- Zgadza się.

Starszy wstał, podniósł lewą ręką teczkę i spojrzał na mężczyznę z laską.

- To część - powiedział. - Jeżeli z tymi gonitwami jest wszystko w porządku, nie usłyszysz o nas więcej.

Przycisnął przycisk w ręczce teczki, złapał pistolet z tłumikiem i trzy razy strzelił mężczyźnie w głowę.

- Jeżeli dał nam fałszywe typy - powoli powiedział młodszy - nigdy się nie dowiemy, co tu jest grane.

**N**a drzwiach jednej windy wisiała wywieszka: „przepraszamy naszych gości, winda nie będzie czynna do godziny siódmej”. Starszy nacisnął przycisk drugiej.

- Patrzył na mnie jak na trupa - powiedział.

- Słyszałem tę odzywkę w jakimś filmie - zakpił młodszy.

- Dobry film - zaprotestował starszy. - Można poznać, kiedy facet wie, że już nie żyjesz. Można to poznać.

- Przecież żyjemy - szeroko uśmiechnął się młodszy - opłacało się poszukać faceta. Typy na szesnaście gonitw.

- Może tak, może nie. Nie podoba mi się to wszystko.

Drzwi windy otworzyły się z cichym syknięciem. Była pusta. Weszli do środka, młodszy nacisnął przycisk parteru. Drzwi zamknęły się, winda poszła w dół.

Raptem stali się nieważcy, światło zgasło.

- Gówno - zawołał młodszy - po nas!

- Trzeba było zostawić faceta w spokoju - wyjął starszy z głową wcisniętą w sufit windy. - Za ostry był dla nas.

- Zawsze musisz mieć rację - zdążył powiedzieć młodszy zanim winda spadająca z siedemdziesiątego piętra roztrzaskała się w podziemiach hotelu.



1 kwietnia 1988

Jacek Inglot - przedstawiciel czwartej generacji fantastów urodzony 5 VI 1962 r. w Trzebnicy. Studia polonistyczne na Uniwersytecie Wrocławskim ukończył w 1986 r. Anarchista-amator prowadził zajęcia z filozofii na Politechnice Wrocławskiej. Najbardziej spóźniony debiutant science fiction ze swego pokolenia. Od paru lat bezskutecznie szturmuje „Fantastykę” obscenicznymi kawałkami, więc pierwsze teksty musiał publikować w „Feniksie” (2/86) i „Problemach” (6/87). Druk opowiadanka (!?) „SCENCE and FICTION, Inc.” wymusił autor na „Fantastyce” wielokrotnymi

nocnymi telefonami do kierownika działu prozy polskiej, zakłócającymi mu wypoczynek i pracę. Ale i tak przedstawiamy Państwu tę niedorzeczną karykaturę społeczności fanów, autorów i redaktorów SF jedynie po to, by nie dopuścić do druku tekstu na innych, nieżyczliwych nam łamach. Wolimy przyjąć przeciwnika na własnym terenie i na przez siebie ustalonych warunkach. Oczywiście drukujemy Inglota najdrobniejszą czcionką, jaką mamy na składzie. Jest nadzieja, że ów zabieg techniczny pozwoli uniknąć trytacji starszych i poważnych Czytelników „Fantastyki”. Używanie lupy czy okularów, podczas lektury tego tekstu - niedozwolone!!!

(mp)

# Scence & Fiction INC.

Jacek Inglot

Motto I: Make Love, Not Fuck!

Motto II: Więc tylko trochę mniej oporu, słuchajcie, ach, o kotki me

Lepiej niech wszystko będzie według wzoru, niż żeby miało być tak bardzo „fe”.

Stanisław Ignacy Witkiewicz  
„Narkotyki - Niemyte dusze”

## Dramatis personae:

● Roberto Sucker Smittion, znany fan i businessman. Zrobił majątek na produkcji Masturb Eluxów i popieraniu mechanicznego seksu. Laureat plebiscytu „Fucker of The Year” z 2286 roku. Nie szczędzi pieniędzy na własną chwałę.  
● M.P., teoretyczny piewca sexomatycznej rewolucji, zawarł w powieści „Z błotem w ustach”, gdzie dał literacką wizję Masturb Eluxa jako równorzędnego partnera istoty ludzkiej. Poza tym krytyk literacki i głosiciel śmierci SF w jej klasycznej formie. Jego zdaniem nowy etap to SForno - patrz manifest pt. „Writing and Fucking in The Future”.  
● N. Olland, red. nac. periodyku GALAKTICA, czołowego pisma SF w tej części wszechświata. Założyciel i, jak na razie, jedyny uczestnik ruchu „nouveau romanesque”, polegającego na reanimacji romantyzmu w literaturze. Zwalcza awangardę i libertynów.  
● Andrew Earthman, pisarz, bluźnierca i anty-samnita (to znaczy człowiek nie lubiący Samnitów, bo i za coś ich lubi), autor trylogii „Cocker Wars”, zaliczanej przez M.P. do kanonicznych dzieł stylu SForno. Od Masturb Eluxów woli czelokoształne sexomaty.  
● A. Nowhereman, krytyk purytanin, tępiący pornografię i żądający od SF powrotu do tradycyjnych, dwudziestowiecznych form.  
● O. Remus, młody, dobrze się zapowiadający geniusz, spec od wszystkiego, kontrowersyjny i zaskakujący. Ostatnio w

swym dziele pt. „Działobitnia” zastrzelił wszystkich przekonaniem o istnieniu Boga. Z płynów przyjmuje tylko piwo.

● Andy Treeman, spokojny i zrównoważony autor wielotomowego cyklu pamiętników pt. „Shooling Games”. Wrogi zinchanizowanego seksu. Naturysta.

● A także setki innych autorów, krytyków, fanów i przemysłowców zgromadzonych na CCLXXI Światowym Kongresie SF, który odbył się Anno Domini 2287 w mieście orbitrze Vorsoville, układ Pol - Con.

Sex Machine styl życia seksualnego, zwany niekiedy sexomatyczną rewolucją, polegająca na obcowaniu cielesnym ze specjalnie ku temu skonstruowanym automatem. Pierwotnych tendencji można było zaobserwować już w wieku XX (patrz VIBRATORS i GUMMY DOLL) jednakże dopiero skonstruowanie w latach siedemdziesiątych zeszłego stulecia pierwszego Masturb Eluxa (przez firmę Parovsky and Co) umożliwiło radykalny przewrót. Rynek został zalany najrozmaitszymi modelami „masturbusów”, jak je popularnie nazwano i, nieco później, czelokoształnymi sexomatami. Doszło do niespotykanego w dziejach boomu handlowego, który pociągnął za sobą głębokie zmiany w obyczajach i kulturze.

„Illustrated Encyclopedia Sexualis”  
Vorsoville 2391 r.

- Wita was Ed Spiderman, kanał 44B Galaxy Network, aby zrelacjonować otwarcie CCLXXI Światowego Kongresu Scence Fiction, rozpoczynającego się dziś w Vorsoville. Spodziewany jest przyjazd przedstawicieli 176 klubów i zrzeszeń. Impreza zapowiada się bardzo ciekawie, zwłaszcza że większość z nich jest ze sobą skłócona. Stoi tu za mną na kosmodromie prezes PSMF - Psychodelic Society of Mad Frogs - Andy Schat-Mat. Czego pan, jako gospodarz, oczekuje po Kongresie?

- Stabilizacji. Dalsze rozbicie rzeź i grozi wybuchem wojny na skale międzygwiazdnej. Już dawno spory klubowe przestały być tylko utarczkami na polu literatury i estetyki. Słyszałem, że niektóre kluby przygotowują do użycia taktyczną broń neutronową. W tej sytuacji zadaniem Kongresu będzie wypracowanie czegoś na kształt „pax romana”...

- Co takiego, Romana? Chodzi panu o te gwiazdy porno, występującą na 30C w serialu „Enjoy My Body”? To ona ma być patronką tego pokoju?

- Niech będzie i sam diabeł, ważne aby...

- Donoszą nam, że do kosmodromu zbliżają się pierwsze wahadłowce z uczestnikami Kongresu. Pierwsi przybędą klubowicze z planety Kathor układ Silesia. Wahadłowiec podchodzi, udajmy, że ładowania już jest na piwie, widać się uchyła, widać wychodzą po stół, podjeżdżamy bliżej. Tak, wszyscy go doskonale znacie, to popularny pisarz O. Remus, za którym pcha się pekaty automat rozrzucając wszędzie puszki piwa... to zapewne owo słynne gadające piwo, otwieramy... i co słyszemy?

FUCK OFF!

- Doskonale? Panie Remus, jaką firmę tym razem pan reklamuje?

- Jest to firma „DEAD”, produkująca najlepsze piwo na świecie.

- Dziwna marka - dlaczego właśnie „śmierć”?

- Ponieważ umrzesz z rozkoszy, kiedy spróbujesz.

- O, coż to znowu beczka piwa? Nie, to prezes SCFF - Sielcian Club of Frivolous Fans - z planety Kathor. Tak, ten człowiek nie oszczędza się dla sprawy, w każdej ręce ma po dwa hot jogi. Za nim w karnym szeregu członkowie SCFF z butelkami ketchupu za pazuchami, a może to koktajl Molotowa? Panie Kasper, co pan sądzi o rozwoju sytuacji?

- Do rzarła z nią, gdzie tu można coś zjeść?

- Proszę, a potem w prawo. Przed chwilą wylądował specjalny statek wiozący redakcję GALAKTYKI. Z trapiu schodzi redaktor naczelny, N. Olland. Jaki jest pana program na Kongres?

- Przede wszystkim nowy romantyzm jako metoda na przywrócenie fantastyce dawnego blasku.

Romantyzm?! czy ma to coś wspólnego z reumalizmem? Oto inny członek redakcji, Mr Nowhereman, co pan o tego tym myśli?

- No cóż, jestem sceptykiem. Może jeszcze sto lat temu podobny program i wby do przyjęcia, ale obecnie, gdy życie przeciętnego człowieka co tu gadać czy członka SF także ogranicza się do jedzenia, spania i TV, maszynowej masturbacji nie może być mowy o żadnej szkole uczuć.

- Głos chce zabrac znakomity kolega Mr Nowheremana, krytyk literacki M.P.

- Niewątpliwie zasadnicze tezy są słuszne. Jednak nie widzę sytuacji tak czarno. SF powinna pójść za swoim czytelnikiem - jeśli pożąda on mechanicznych lalerce, niechaj je ma. Piszemy powieści o sexomatami w roli głównej. Życie piciove ludzi i automatów to temat rzeka. Ba, dlaczego tam nie szukać postulowanych przez kolegów uczuć?

- Z jednego siałku wynoszą kogoś w lektycie - to Andrew Earthman, autor sławnej trylogii „Cocker Wars”. Podjeżdża my bliżej. Jak widzicie, niosą go

cztery super sexomaty typu „Anabella”, właściwie nie do odróżnienia od żywych kobiet. Co za firma wypuszcza te cuda na rynek?

To wynik koprodukcji firmy Parovsky and Co. z Sucker Corporation. Prawda, że udany?

- O, na pierwszy rzut oka niewątpliwie tak. Czy dużo z nimi kłopotu?

- Prawie wcale. Są niezawodne. Najbardziej zachwyca ich cudowne posłuszeństwo - niech pan sobie wyobrazi, że kiedy każe się klonejs zamknąć, to rzeczywiście się zamyka, i to nawet w szafie. Wie pan, jak czuję się wtedy dowartościowany!

- No tak, z żywą kobietą byłoby to raczej niemożliwe. Na tym kończymy relację z otwarcia CCLXXI Światowego Kongresu SF. Ale nie obawiajcie się, kanał 44B będzie obecny w czasie trwania obrad i natychmiast poinformuje o każdym ważniejszym wydarzeniu. See you later!

Wyjściowa sytuacja na Kongresie była następująca: z jednej strony skłócone ze sobą kluby (tón konfliktów nadawała Psychodelic Society of Mad Frogs i Silesian Club of Frivolous Fans - reszta była z nimi albo tłukła się między sobą, nad tym całym bajgiem wznosiła się redakcja GALAKTYKI, dołączająca grę rolę wolnego od przedzeń arbitra. Całkiem z boku załatwiali swoje sprawy niezależni pisarze w rodzaju O. Remusa i różni kombinatorzy jak np. Roberto Sucker Smitton. Ale był to czubek góry lodowej - swary klubowe, panelowe dyskusje i wreszcie cały cyrk wokół wyborów „Fuckera of The Year” stanowiły efektowną przykrywkę. Prawdziwym celem Kongresu było tajne zebranie prezosów, wydawców i gigantów SF, na którym zawarto porozumienie ostatecznie sankcjonujące upadek i śmierć science fiction. Ślad późniejsza fuzja GALAKTYKI z PLAYBOY EM nie jest, jak wielu sądzi, kwestią czystego przypadku.

Andrew Treeman  
z tomu wspomnień  
pt. „Shooting Games”

W SF fascynuje mnie język, jego krystaliczna czystość i przejrzystość. Onże, niczym mnemotroniczny kryształ, przechował do naszych czasów nieskazywane, tradycyjne wartości literatury. Jest ostatnim szarżem broniącym się przed zalewem tandetnego eksperymentatorstwa. Lepsza już pornografia.

N. Olland

He was also very keen on spreading chocolate fudge cake all over my body and then very slowly licking it off. And I loved every minute of it! I never could decide if I liked licking or being licked best!

To rzeczywiście egzystencja-

lny problem na miarę XXIII stulecia

O Remus  
po przeczytaniu  
niniejszego cytatu z „Cocker  
Wars” A. Earthmana

- Tu znowu Ed Spiderman, kanał 44 B. Jesteśmy właśnie w centrum kongresowym, w 3 sektorze IV poziomu. Mija drugi dzień Kongresu, jest 11.30. Na obstawionych straganami ulicach pojawiają się pierwsi zaspiani fanowie. Zupełnie obojętni łązą między zwałonymi papierem półkami. Nicco lepiej wygląda sytuacja w salonach wideo, gdzie można obejrzeć najnowsze hity filmowej SF. Największym powodzeniem cieszy się ekranizacja „Cocker Wars” oscylująca na pograniczu czystej pornografii. Książek nikt nie chce nawet przeglądać. Zapowiada to krach ostatnich firm wydawniczych. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie, ponieważ wtedy Kongres i fanom stracą rację bytu. Kogoż to widzimy?! Poznajecie zapewne znanego giganta SF - O. Remusa wraz z nowoczesnym automa-tem do rozdawania p.w.a. Co panisko nie woła sądzi o postawie i now?

„SONS OF THE BITCHES”

Panie O. Remus, zapewne wie pan, iż jest jednym z ostatnich żyjących pisarzy. Jak pan myśli dlaż tego?

- To proszę, ponieważ tylko tworzona przeze mnie literatura nadaje się do czytania. Reszta można spokojnie wyrzucić na smieci.

A jednak i pańskie nakłady spadają.

- Coż w tym dziwnego skoro zaledwie 30% fanów potrafi jeszcze czytać. Jak tak dalej pójdzie to za pięć lat jedyną formą przekazu będzie wideo. Pisarz stanie się wtedy scenarzystą.

Czy kluby SF jakos przeciwdziałają tym tendencjom?

- Klubowy fandom to towarzysstwo wzajemnej adoracji. Dawniej już zapomnieli po co właściwie się spotykają. Moim zdaniem obecnie fandom to lecie ku przepaści koło pełnej siły bezwład.

- Obok od dłuższego czasu stoi prezes SCFF z Kathor, Peter Kaspher. Co pan na to, panie prezisie?

- Kluby są wieczne, zawsze były i będą. A to, że fanowie przestają czytać - no cóż, nie żądamy od nich cudów. I tak pozostali jedyną grupą czytającą cokolwiek. Zresztą, literatura od dłuższego czasu pozostaje w stagnacji, zaś formy wideo ciągle się rozwijają. Skoro taka jest tendencja dziejów... Nie wie pan, gdzie tu można dostać dobre hamburgery?

- Obok stoiska znajdujemy palaszującego łapczywie przedstawiciela kół powiązane- go z fandomem businessu, Roberto Suckera Smittona. Jakie jest pańskie zdanie o przyszłości SF?

- Hm, nie jest dobrze. Cały interes stoi pod dużym zna-

kien zapytania. Już teraz to wszystko znajduje się na granicy opłacalności. Potrzeba radykalnych pociągnięć - i mam nadzieję, że do nich dojdzie.

- To na razie tyle. Jutro ogłoszenie wyników plebiscytu „Fuckera of The Year”. O wynikach nie omieszkamy was poinformować. Pamiętajcie, włączcie jutro 44B!

W fantastyce najbardziej po- ciąga mnie fakt, że pozostała jedynym gatunkiem literackim, na którym jeszcze można zrobić forse The rest is fuck!

Ralph A. Zimniz

Nikt tego wyraźnie nie powiedział, ale CCLXXI Kongres był ulajonym krzykiem rozpacz. Nakłady spadały przerażająco, kluby rozwiązywały się jedno po drugim, reszta była pochłonięta frakcyjnymi walkami. Jeszcze dziesięć lat temu w kongresie uczestniczyło dwa tysiące klubów. Obecnie jest ich niespełna dwadzieście. W najbliższym czasie fandomowi grozi samorządny zanik.

Oczywiście, wywołało to kontrakcję ze strony sił żywotnie zainteresowanych w istnieniu fandomu, tzn. wydawców, pisarzy, prezosów i oczywiście krytyków literackich, zagrożonych zagładą totalną. Rzecz cała rozegrała się za kulisami Kongresu, na tajnej naradzie u Schat-Mata. Skonfrontowano dwie koncepcje: „nouveau romanesque” N. Ollanda i SForno M.P. Dzisiaj wiemy, kto wygrał.

Andrew Treeman  
„Shooting Games”

W fantastyce najbardziej po- ciąga mnie fakt, że pozostała jedynym gatunkiem literackim, na którym jeszcze można zrobić forse The rest is fuck!

Andrew Earthman

Oczywiście, że możemy tu sobie przez następne pięćdziesiąt lat dyskutować nad wyższością formy nad treścią, bądź odwrotnie, ale na cóż to czynić, skoro mózg czytelnika przypomina parującego bagna! Tradycyjne wartości literatury są mu równie obce jak, dajmy na to, fakt istnienia lub nieistnienia Marsjana. Pozostały tylko umieszczone na najniższych poziomach instynktów: głód, strach, nienawiść i seks. Jeśli literatura ma w ogóle egzystować, powinna to podjąć i umiejętnie eksploatować. W przeciwnym razie wszyscy jak tu jesteśmy możemy szukać posad wikidajlow z porno saloonów i czyścicieli butów. Innego wyjścia nie widzę.

z „Writing and Fucking  
in The Future”,  
referatu manifestu  
wygłoszonego

na tajnym zebraniu pisarzy,

krytyków i prezosów w czasie Kongresu

Jedynie, co mnie cieszy w związku z tzw. końcem SF, to likwidacja krytyki literackiej. SForno jest tematycznie i intencjonalnie na tyle sprecyzowane, że nie potrzebuje żadnych dobrych rad od PANOW CO WSZYSTKO WIEDZA LEPIEJ - dzisiaj nikt nie potrzebuje wyższego błogosławieństwa, aby się dobrze (...)

O Remus  
po zakończeniu Kongresu

Roberto Sucker Smitton: Pano- wie, ja oświadczam, iż z chwilą dzisiejszą przestaje dokładać do interesu. SF od początku była planowana jako medium reklamowe dla moich produk- tow, ale co to za medium, które na nikogo nie działa. Dalsze wydawanie na to pieniędzy zakrawa na filantropię, a tym się nie zajmuję.

M.P.: Po co te nerwy, panie Smitton, spróbujmy dojść do porozumienia. Myślę, że jeśli przyjmiemy proponowaną przeze mnie koncepcję, to pańskie problemy przestaną istnieć. Przyłączenie się do fali sexomatycznej rewolucji jest naszą ostatnią szansą!

A. Newhereman: Najważniejsza jest, żeby coś zrobimy, czy nie, science fiction jako literatura przestanie istnieć.

N. Olland: Może jednak spróbować wstrząsnąć samolotem, sięgnąć do tajnych zakamarków Jaszcy.

Andrew Schat-Mat: Ba kiedyś oni od dawna nie mają wy- szych funkcji umysłowych, a tym bardziej duszy. Z fana wy- rośli nam konsumenci. I albo z tego faktu skorzystamy, albo... To have or not to have!

O. Remus: Ważne, aby w ogóle została jakaś forma pismien- nictwa. Przyszłość to wielka niewiadoma - i być może za sto lat literatura się odrodzi... z tym, że po drodze będą być może musieli wynajdywać al- fabel?

Peter Kaspher: Z tego rozu- miem, że wszyscy przystajemy na propozycję pana M.P. Doskonale. Wysłuchanie referatu programowego proponuję przełożyć na porę poobiednią. Siedzimy tu już od śniadania.

(zakulisowe rozmowy  
wydawców,  
krytyków i pisarzy)

I'm sitting there getting a hard-on, because she's a real doll. Les gets cock out, pushes her knickers to one side. So I go round the other side. There's the two of us with her in the middle fucking like rabbits. Really horny.

Andrew Earthman  
„Cockers Wars”

Fantastyka naukowa to rzecz nie mająca już wiele wspólnego ani z nauką, ani fantastyką i tym bardziej literaturą. W związku z czym uprawianie jej

przestało być zabawne – miejmy nadzieję, że być może stanie się intratne

Vick Zwik-Mik

Z grubsza ma to wyglądać tak: przy zachowaniu tradycyjnego kostiumu SF, tzn. realiów życia codziennego, wprowadzamy nową tematykę, mianowicie rozmaite aspekty płciowej aktywności człowieka. Nie myślę tu o ograniczeniu się do gatunku ludzkiego, ale i o rozszerzeniu kręgu zainteresowania na automaty seksualne, czyli coraz popularniejsze sexomaty (to z zamiarem spełnienia życzeń naszych sponsorów, producentów inwestujących w Sex Machine). W związku z tym rysuje się problem rozbicia na dwa podstawowe nurty literackie, „homo” i „mechano”. Można by jeszcze pomyśleć o trzecim, obejmującym kontakty ludzi z nieziemcami, ale to sprawa bardzo delikatna, ze względu na istniejące od dawna fobie rasowe (vide potężny ruch anty-samnicki). Z czasem, gdy obyczaje nieco złagodnieją, będzie to możliwe

M.P.

„Writing and Fucking in The Future”

- Witajcie, to znowu ja, wasz Ed Spiderman z 44B. To, co za mną widzicie to zgłusz za centrum kongresowego. Zaczęło się od manifestacji członków i zwolenników SCFF, bezwzględnie żądających przyznania tytułu „Fucker of The Year” swemu prezesowi. Peter Kasper usiłował protestować, ale został zakrzywany przez zwolenników. Na manifestację uderzyła silna grupa Mad Frogsów, usiłując za pomocą lekkich miotaczy laserowych wypchnąć SCFF poza teren kongresu. Ci odpowiedzili konwencjonalnymi granatami, czego efekt widzicie na ekranie. Zanim do akcji weszły siły bezpieczeństwa, zniszczono znaczną część sektora. W chwili obecnej trwają jeszcze walki na orbicie, gdzie członkowie antagonyzycznych klubów opanowali kilka wahadłowców. Relacja z tego za kilkanaście minut.

Sama nazwa – science fiction – jest już od dawna nieaktualna. Gdzieś od połowy zeszłego stulecia gatunek systematycznie tracił swe cechy definicyjne – nikt w tym dziwnego, skoro to co kiedyś było fantastyczne stało się nagle rzeczywiste. Fantastyka nie wytrzymała wyścigu z gnającą do przodu teraźniejszością. Zawiodła ich pisarska wyobraźnia, podstawa egzystencji gatunku. Cokolwiek któryś z nich wymyślił, zaraz okazywało się, iż gdzieś tam rzecz dawno zrealizowano w praktyce. Rzeczywista przyszłość była szybsza od wymyślonej. Proza życia prześcignęła najbardziej wymyślne fantazje – świat stał się tak złożony i skomplikowa-

ny, że przerosło to możliwości definicyjne gatunku. Stąd i ekstrapolacje w przyszłość przestały być możliwe. Każda wyobraźnia startuje od rzeczywistości.

Od tego też momentu SF ewoluuje w kierunku tradycyjnej prozy obyczajowej (o psychologicznej nie wspomnę, ponieważ od dawna nikt jej nie rozumie), którą wchłonęła i zastąpiła. Jednocześnie zaczęła w coraz większym stopniu nasiąkać pornografią. Ostatni istniejący gatunek literacki rozpoczął desperacką walkę o przetrwanie. Dziś wiemy, że przegrał. Potomek science fiction, SForno, ma z nią wspólne tylko dwie pierwsze litery

A. Nowhereman

„The End of Science Fiction”

- I ta efektowna eksplozja ostatniego posiadanego przez Mad Frogsów wahadłowca kończy naszą relację z CCLXXI Światowego Kongresu SF. Wielka szkoda, że na zakończenie nie przedstawiliśmy wywiadu z aktualnym „Fuckerem of The Year”, ale z powodu znanych wam wypadków nie doszło do wyborów. Miejmy nadzieję, że w przyszłym roku wszystko odbędzie się normalnie. Przypominamy o zwróceniu szczególnej uwagi na nasz program na początku następnego tygodnia – będziemy transmitować otwarcie I Galaktycznego Zjazdu Producentów Porno i Sex Machine. Wszystkie interesujące szczegóły przedstawi Ed Spiderman, wasz ulubiony prezenter z 44B

No cóż, CCLXXI Kongres był ostatnim. Więcej fandum się nie zebrał – nie było po co. Kluby zostały przekształcone w stowarzyszenia miłośników sprzętu autoseksualnego lub grupowego „body art”. Porno jest dziedziną na tyle uniwersalną i żywotną, że nie trzeba dla jej utrzymania tworzyć specjalnego zrzeszenia w starym stylu. Między Porno a SForno wciąż następuje unifikacja – obie te dziedziny konsekwentnie zmierzają ku jedynej, na jej prawdzie.

Andrew Treeman  
„Shooting Games”

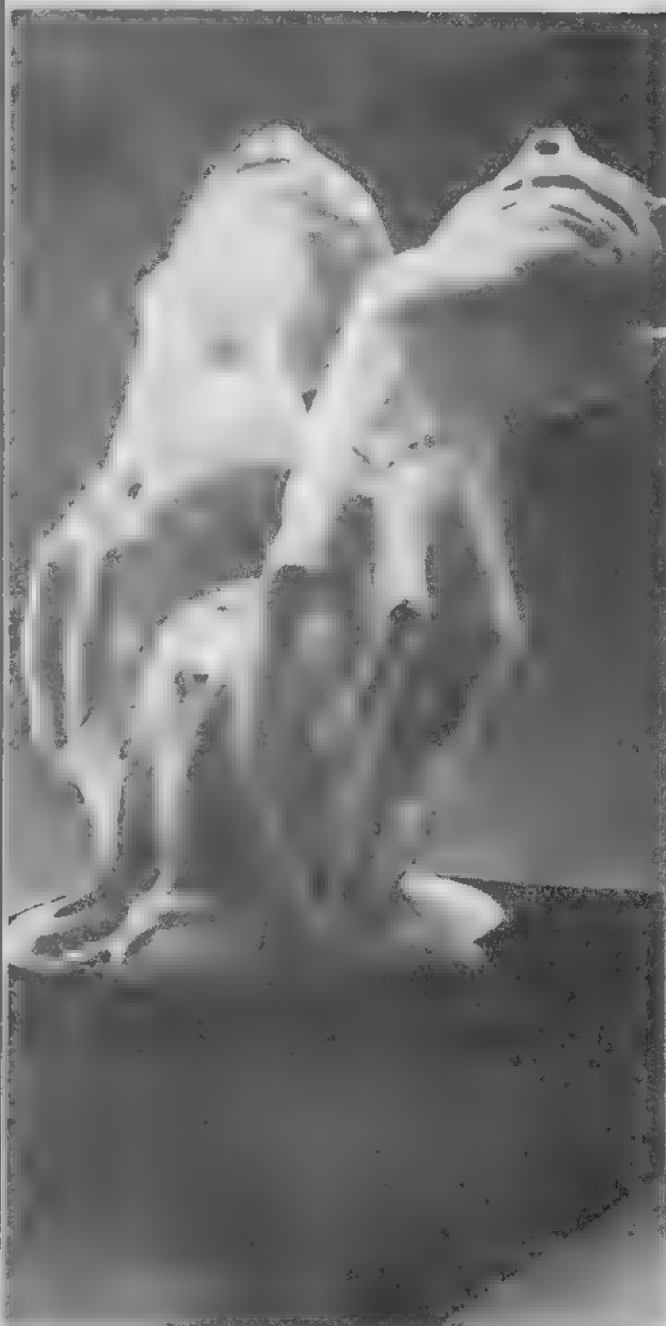
Science and Fiction, Inc., specjalistyczna firma, produkująca wysokiej jakości sexomaty, bardzo chwalone przez znawców. Założona w Vorsoville w 2290 roku przez grupę skupioną wokół Roberto Suckera Smittona. Zasięg galaktyczny, ekspozyturty we wszystkich ważniejszych stolicach. Najbardziej popularny model – „Sexony 5”, 2388; dawniej prawdopodobnie jeden z gatunków literackich.

„Illustrated Encyclopedia Sexualls

Vorsoville 2391

Jacek Inglot

# Siudmak.004.





Z adymiona kawiarnia na Podwalu. Przy stolikach, w dymie fajek, nad wazami ponczu, siedzą panowie w rajfrakach, skrojonych według mody czterdziestych lat XIX w. z chustkami, zawiązanymi na szyi. Na świecie późna jesień, koniec listopada. Pada deszcz, pomieszany z topniejącym śniegiem. Latarnie, targane jesiennym wiatrem, kołyszą się, światło migoce i gaśnie. Przechodnie z podniesionymi kołnierzami płaszczów, w kaloszach, pod parasolami, biegną szybko. Dorożkarze klną głośno, przemierzając do szpiku kości.

Na ulicy Miodowej, przed kawiarnią Loursa, jakiś mały, dziwny człowieczek w szarym fraku i trójkątnym kapeluszu, wymiata kieszeni teleskop i zaczyna spoglądać w niebo. Wokół niego zebrał się tłum ludzi, wszyscy patrzą w górę, zaintrygowani tym, co widzi dziwny staruszek. Wówczas nieznajomy usuwa się z tłumem i z uśmiechem zaczyna przypatrywać się gromadzie gapiów.

Któż to był ten dziwnie ubrany człowieczek? To Frenolestes, szatan w ludzkiej postaci, ukazuje się czasem jako światowy elegant, innym znów razem jako zebraczka o kuli. Jego rezydencją jest Dom Bonifratrów, przy ulicy Freta. Frenolestes mąci ludziom mózgi i ofiary swe umieszcza w domu wariatów. Oto już wybrał ofiarę spośród gromady gapiów. Zbliżywszy się do jednego z nich, po krótkiej rozmowie zaprosił go do Hotelu Chovot na dobre śniadanko.

Na licytacji obrazów przy ulicy Świętojańskiej pojawia się młodzieniec, który wyglądem swym i zachowaniem zwraca powszechną uwagę. Ubrany wprawdzie według ostatniej mody, ale chustkę ma szkaradnie przekrzywioną na szyi. Rajfrak gokolwiek za ciasny, pomięty kapelusz i koślawe obcasy butów. Młodzieniec ten, strogą dziwną miną, wpada na salę, gdzie odbywa się licytacja, i zatrzymuje się przy krótkach, obok jakiegoś staruszka, pragnącego nabyć portret młodej dziewczyny o czarnych oczach.

Młodzieniec ten, to pan Chryzanty Dewilski, dziwak, fantast, lunatyk i mistyk, wielbiciel Beethovena i Mozarta. Przyjściu jego na świat towarzyszyły dziwne, tajemnicze wypadki. Stara czarownica Makryna wywróżyła nowo narodzonemu dziecku, że życie jego nie upłynie zwykłą koleją. Pan Chryzanty zakochał się w czarnych oczach z portretu, wiza tych oczu prześladowa go bezustannie. Te oczy należały kiedyś do niedawno zmarłej, młodej dziewczyny. Za to, że za życia strzelała swymi ślicznymi oczami do młodzieńców, po śmierci musi pokutować tak długo, aż ktoś się nie zlituje i nie weźmie z oczami jej ślubu. I oto, pewnej zimowej nocy, pan Chryzanty we śnie bierze ślub z tajemniczymi oczami z portretu. Od tej chwili pozbawia się wizji i wybawia zmarłą od pokuty.

W redakcji jednego ze znanych dzienników warszawskich zdarzył się niezwykle wypadek. Oto w biały dzień zbranym dziennikarzem zjawił się jakiś dziwny człowiek, o brzyździe wzroście, chudy jak tyka, o czarnych włosach, spadających w pierścieniach na ramiona, o czarnych brwiach, złączonych w jeden łuk. Tajemnicza ta postać wywarła wielkie wrażenie na zebranych. Żaden z dziennikarzy nie przemówił ani słowa. Nieznajomy poruszał się powoli, jak gdyby w uśpieniu. Długą chwilę milczał,

utkwivszy przenikliwe spojrzenie w obecnych. Aż w końcu przemówił. Mówił długo, wśród śmiertelnej ciszy. Opowiadał o swej wiekowej tułaczce po świecie, o wszystkim, co przeżył w ciągu wieków.

Któż to był ten człowiek, który żyje wieki, i wciąż spocząć nie może? – To Żyd, wieczny tułacz, niestrudzony wędrownik i pokutnik, półczłowiek, półduch. A któż spośród zebranych redaktorów tak chciwie chwycił każde słowo tajemniczego gościa? Jakież to młodzieńcze pobłady, z zapadłymi policzkami. To pan Florian, mistyk, marzyciel, fantast, lunatyk i suchotnik.

Na Krakowskim Przedmieściu wybudowano piękny zameczek. To czarnoksiężnik włoski Pandolfini, genialny mechanik, wynalazł cudowną maszynę, która sprawiła, że na zamku dzieją się cuda. Kurantowy zegar w gabinecie połączony jest tajemną maszyną ze schowkiem, który przy naciśnięciu guziczka zapada się w lochy. W ten sposób wtrącił zazdrośny, okrutny mąż do lochu rzekomego kochanka swej młodej i niewinnej żony.

Wyrasta przed nami cała gromada dziwaków, fantastów, obłąkańców – groteskowy tłum, jakby wyjęty z powieści E.T.A. Hoffmanna. Na tle ulic dawnej Warszawy ukazują się dziwne typy: stare, pomarszczone kobiety i dziwaczeni starcy. Skąd się wzięły te wszystkie postaci? Czy to figury woskowe z panoptikum? Czy obrazy, rzucone przez magiczną latarnię? Czy fragmenty nikomu nie znanych, świezo odkrytych opowiadań? A może to jakiś nowy film fantastyczny, pełen niezwykłych wydarzeń, rozgrywających się na tle starych ulic Warszawy?

Wszystkie te obrazy to ilustracje do utworów Ludwika Szymanera, prawie zapomnianego autora polskiego. Ten powieściopisarz, romantyk, owijający się jak bluszcz dookoła cudzych utworów, przepojony kulturą wszelkiego rodzaju, namiętny wielbiciel fantastyki E.T.A. Hoffmanna, uczeń Akademii Wojskowej w Petersburgu, współpracownik „Tygodnika Petersburskiego”, krytyk literacki i polemista, napisał wiele powieści, które stanowią dziwną mieszaninę wierzeń ludowych, fantazji zapożyczonych bezceremonialnie od romantyków niemieckich, kabały żydowskiej, pism Albertusa Magnusa, polskiej poezji romantycznej. Cytuje poetów polskich i obcych, dawnych i współczesnych. Porusza wiele zagadnień aktualnych w swej epoce, jak na przykład magnetyzm zwierzęcy, któremu poświęcił artykuł, drukowany w „Pamiętniku umiejętności moralnych i literatury” w roku 1830. Przedstawiając magnetyzerów i ich metody leczenia, wyśmiewa ludzi bez talentu, którzy za wszelką cenę chcą wejść do literatu-

ry, drwi z kobiet studiujących filozofię, a zaniedbujących obowiązki macierzyńskie.

Szymaner patrzy na swe utwory z ironicznym uśmiechem, przez co wznosi się niejako ponad własne dzieła. Ironia romantyczna, tak bardzo charakterystyczna dla epoki, objawia się w ciągłym upamiętnianiu iluzji poetyckich i ukazywaniu zakulisowej roboty autora.

Świat fantazji zlewa się u Szymanera z realnym światem codziennego życia. Nie-

Stefania Beylin

## Ludwik Szymaner – niesamowity, dziwaczny, szalony

realne postaci działają na gruncie rzeczywistości, na tle istniejących ulic Warszawy Bielany w Zielone Świątki, Ogród Saski, Powązki, Dom Bonifratrów przy ulicy Freta, kawiarnie, restauracje, bale, a jednocześnie duchy zmarłych, zaklęte zamki, szatany, czarownice. Jedne i te same zjawiska należą do świata fantastyki i rzeczywistości. Zależy tylko czy spojrzeć na nie oczami zwykłego filistra, czy też oczami poety lub czarodzieja. Świat ducha i materii leżą tuż obok siebie. Tylko nieliczni spostrzegają rzeczy duchowe, których inni dojrzeć nie mogą. Gdy bohater powieści „Czarne oczy” Chryzanty Dewilski, dręczony wizją czarnych oczu z portretu, na pytanie pani domu, co mu dolega, odpowiada: – Oczy, zawsze oczy – jeden z gości, otyły jegomość w peruce, pocziwy filister, wtrąca się do rozmowy: – Pan cierpisz na oczy? Ja mam wyborne specyfikum od tej dolegliwości... – A jaka to szkoda, że to dobre tylko dla tych, których oczy boją – mówi Chryzanty. A na to ten: – Pocóż panu lekarstwo na zdrowe oczy? A Chryzanty. Właśnie, właśnie, potrzebuje go dlatego, że moje oczy zanadto widzą. Przez to serce mnie boli i głowa wariuje.

Obłąkańcy to nie ludzie chorzy, ale szaleńcy, przerastający sercem i wyobraźnią swe otoczenie. Obłąd to boska głupota. Nawet ci zamknięci u Bonifratrów widzą prawdy, niedostępne ludziom normalnym i trzeźwym. Człowiek obłąkany działa jakby wyswobodzony od zmysłów. Powieść „Frenologia i Frenolesty” oparta jest na motywach obłądów. Obłąkani bohaterowie powieści mówią prawdy, których tak zwani normalni i rozsądni ludzie nie mogą pojąć. I na odwrót zdrowy rozsądek okazuje się fałszem.

Szymaner zdaje sobie sprawę, że jego poglądy na obłąd nie jest oryginalny, ale ze powstał pod wyraźnym wpływem romantycznej mody. Wybory to był chłopiec, tylko miał w sobie małą skłonność do wa-

### Stefania BEYLIN

Nastorka polskiej krytyki (ur. 1900), autorka wielu artykułów dotyczących literatury romantycznej, historii filmu (książka: „O cudach, czarach i upiorach ekranu”, 1957), a przede wszystkim znakomita tłumaczka baśni Andersena. Twórczość Ludwika Szymanera była i jest jej życiową pasją – o autorze „Frenologii” pisała już pracę doktorską pod kierunkiem prof. Łempickiego (1927). W „Fantastyce” nr 8/88 drukowaliśmy esej Stefani Beylin „O fantastyce baśni”. Szkic przedstawiany obecnie powstał również na nasze specjalne zamówienie.

(an)

riacji, którą zresztą uważa się w naszym romantycznym wieku za cechy prawdziwego rozumu („Czarne oczy”)

Ciągle powracający motyw przeciwstawiania obłąkańców, wygłaszających w ekstatyce prawdy ludziom przyziemnym, światowym salonowcom, był dość częstym w powieści polskiej przed Szymanem. Zwłaszcza powtarzał się w powieściach kobiecych. W obłęd popadają najczęściej kobiety pod wpływem nieszczerliwej miłości. W powieści Mostowskiej, Jarczewskiej, a również u Kraszewskiego i Korzeniowskiego obłąkane rodzone siostry Ofeli opisane są poetycznie, kochają i cierpią z powodu brutalności i oschłości serca. Rezultatem tych cierpień są suchoty lub obłęd. Miłość szczęśliwa jest rzadkim zjawiskiem u Szymanera. Miłość, pełna nieporozumień, bólu i mąk, miłość bez urzeczywistnienia, pozostaje jedynie w sferze tęsknoty i nigdy nie wychodzi poza marzenie. Wraz z zaspokojeniem tęsknoty, rozwiera się obraz ukochanej. Miłość romantyczna osiąga najwyższy stopień w miłości artysty, dla którego ukochana pozostaje idealnym obrazem, nie da się ściągnąć do świata rzeczywistego. Artysta, poślubiwszy kobietę, którą kocha, przestaje widzieć w niej swój ideał. Miłość idealna nie ma nic wspólnego ze zmysłami, jest jakimś wyższym uczuciem. Tak kocha bohater powieści „Kataleptyk”: *Miłość moja równie jest dziwna i pełna tajemnic, jak całe moje życie, nie może być podobna do światowych namiętności, które rodzą się nagle na balu lub na pikniku, a potem niebawem giną i obracają się w truch. (...) Nie jest to namiętne uczucie, którego ostatecznym celem jest nierozłączne życie kochanków na ziemi, lecz to słodkie i tęskne pragnienie, aby razem z ulubioną osobą dojść do grobu, żeby w lepszym świecie nigdy się z nią nie rozłączyć.*

Nieokreślona tęsknota romantyczna znajduje ujście w muzyce. U Szymanera muzyka odgrywa ważną rolę, przytacza on te same utwory muzyczne, co Hoffmann („Don Juana” Mozarta, „Septuora” Beethovena). Szymaner odróżnia muzykę światową, która jest jedynie rozrywką, od muzyki poważnej, która wyraża najwznioślejsze, nieziemskie uczucia. Kontrast tych dwóch poglądów na muzykę podkreślony jest w powieści „Kataleptyk” w rozmowie dwóch przyjaciół. Jeden z nich Florian, to mystyk, dziwak, drugi Maurycy – pusty światowiec. Maurycy zagrał wyjątek z opery „Don Pasquale” Donizettiego. Naapytanie Floriana jak mu się ta melodia podoba, Maurycy odpowiada, że jest to najnowsza i najmodniejsza kompozycja tego autora. – *W każdym salonie ją usłyszysz. – Na miłość Boga – odpowiada Florian – czy wcale nie masz własnych myśli i uczuć, czy tylko dla kopiowania drugich żyjesz na świecie? Chcesz poznać prawdziwą muzykę? Weź fugi i sonaty Bacha, „Alcesta i Armidę” Glucka, „Stworzenie świata” Haydna, „Symfonię pasterską” Beethovena, a szczególnie „Don Juana” Mozarta. To olbrzymie dzieło muzyki, a może i wszystkich sztuk pięknych...*

Zgodnie z modną wówczas techniką powieściową Szymaner umija swoje utwory w ramy fikcyjnego rękopisu starych papierów rodzinnych, odnalezionych przypadkowo, a należących do pana Wincentego, przezwanego „Pantofiem”. Ten fikcyjny rękopis jest od czasu do czasu przerywany, następują kropki i autor tłumaczy, że swawolna kuzyneczka podała drogocenny papier na pa-

lity albo że służący podpalił następnym kartami drewno pod kominkiem.

Lekarze w twórczości Szymanera przedstawieni są jako typy zmaterializowanych niedowiarków. W powieści „Trupia główka” przedstawia autor rozmowę medyka z księdzem, odzwierciedla tam zagadnienie przewagi uczucia i wiary nad rozumem i materią. Wielu filozofów i przyrodników tego okresu zajmuje się w Niemczech problemami, które nazywają „Nachtsite der Natur” (mrokiem natury). Światło księżycza zastępuje w utworach Szymanera blask słońca i stwarza nastrój grozy. Wizje powstające pod wpływem ponczu, opium, mającena w gorące, wszystko to bliskie jest romantyzmowi niemieckiemu... *Arak i wino paliły się jasnofioletowymi płomieniami (...). Za każdym poruszeniem łyski w wasze wybuchaly i przelewały się na tym fioletowym tle ogniste wstęgi (...), a cukier gorzał z szumem, podobny do syczenia żmii. Niespokojna ruchliwość światła, chwytne płomyk świecy, mgła otulająca wszystkie barwy, mrok późnego wieczoru lub nocy – to ulubione obrazy, które wprowadzając w nastrój, poprzedzają jakieś niezwykle wydarzenia.*

Oto jak Szymaner opisuje w „Kataleptyku” wieczór sylwestrowy: *Powietrze wilgotne, ciężkie, wpadało do piersi jak struga żywego srebra. Deszcz drobny, lecz ostry, siekł w twarze idących po ulicy, jakby garściami rzuconych szpilek, a na dymiar utrapienia na bruku leżało obfite błoto. Rok kończył się brzydota, jak imbryczek kawy fusami.*

Powieści Ludwika Szymanera są zbiorem rekwizytów romantyczności. Pociąg do wszystkiego, co niesamowite, zagadkowe, do chorobliwych stanów, do mistycznych, dziwacznych bohaterów, wyróżniających się wyobraźnią, ponad otoczenie, obrona uczucia, potępienie chłodnego rozsądku, suchej wiedzy i życia materialnego, a także motywy fantastyki ludowej, groza duchów i upiórów, pokuta za winy przodków, apoteoza życia duchowego i idealnej miłości, cały splot snów, wizji, przeczuć – to świat fantastyki Szymanera.

★

Ludwik Szymaner urodził się w roku 1809 w Płońsku na Mazowszu, jako syn lekarza wojskowego, Niemca z pochodzenia. Studiował w wojskowej Szkole Aplikacyjnej w Warszawie. Jako podpułkownik artylerii został skierowany do pułku w Kozienicach. Wraz ze swym pułkiem brał udział w bitwie grochowskiej, ale wkrótce potem zmienił swój stosunek do powstania listopadowego. W roku 1832 wstąpił do wojska rosyjskiego. Studia wojskowe uzupełnił w Petersburgu i w randze pułkownika sztabu generalnego został naczelnikiem wydziału w departamencie osad wojennych. Jako pisarz przybrał pseudonim Eleonora Szymanera (imię i nazwisko żony). Pierwszy utwór beletrystyczny to opowiadanie „Pantofel, historia mego kuzyna”. W rok później ukazały się „Urywki z pamiętnika oryginalnie wychowanej kobiety”. Następne utwory to „Dusza w sucholach”, „Frenologus i Frenolesty”, „Kataleptyk – powieść nieboszczyka Pantofla”, „Światło i ciemność”, „Noc bezsenności”. W roku 1908 ukazał się w Warszawie „Wybór pism nieboszczyka Pantofla”. Ten „Pantofel” powraca często w utworach Szymanera.

★

Umiera Szymaner w roku 1886 w Wilnie w szpitalu dla psychicznie chorych. Nie uniknął obłędu, któremu tak wiele miejsca poświęcił w swych utworach. Frenolestes nie porwał go do Domu Bonifratrów przy ulicy Freta w Warszawie.

Stefania Beylin

*Dans beaucoup de cas de folie, le desordre ne porte que sur un seul objet (idees fixes) l'homme pouvant être en jouissance de sa pleine et entière raison à tous les autres égards<sup>1</sup>*

Hufeland

*On a dit avec raison que l'histoire de la civilisation pourrait être par l'histoire des monomanies<sup>2</sup>*

Andral

## III Zakład

Artur w młodości służył w artylerii. Pewnego wieczora w małym miasteczku, w którym bateria od kilku dni zajęła kwatery młodzi oficerowie w kłębach dymu od fajek przy stoliku zastawionym węgrynym, przy bruku szklanicy i mdłym blasku towarzyszącego świeca rozprawiali o młodej guwernantce przy córkach pana burmistrza i jednomyślnie zgadzali się na to, że ma serce z kamienia, dlatego, że nie pozwoliła żadnemu z nich prawić sobie duserów.

„No, już też to nikt nie rozromansuje! – krzyknął jeden z artylerzystów, dopijając szklanicy – ona cała napchana moralnością, jak gęś jabłkami!”

„Ani myśleć o tym!” – zawołali drudzy chórem.

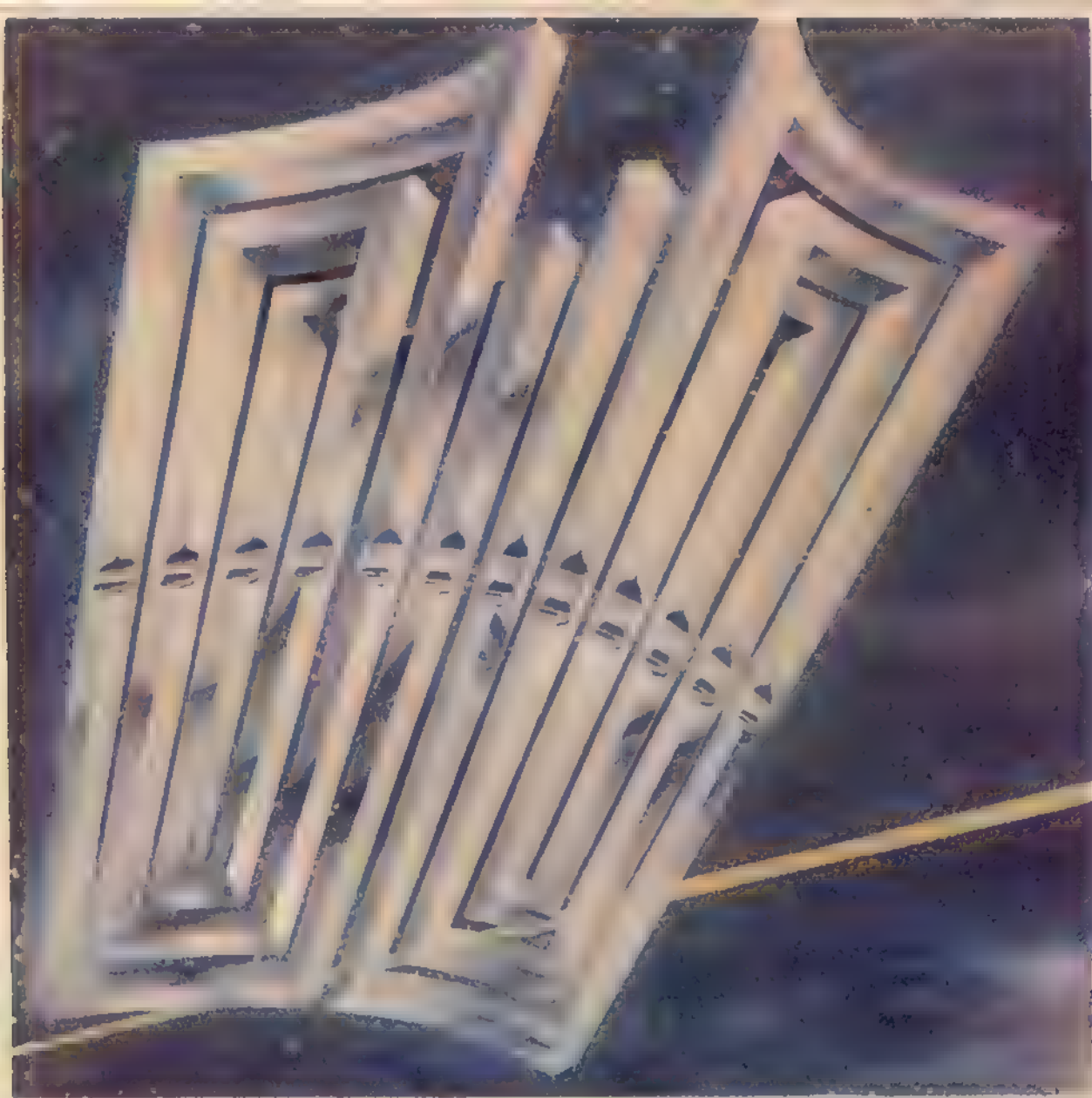
Wtem Artur, który dotąd nie mieszał się do ich rozmowy, paląc sobie fajkę w milczeniu, wstał ze swego miejsca i wypuściwszy z ust długą strugę dymu, rzekł obojętnie:

„Założcie się ze mną, że ja ją rozromansuję. A żebyście z pewnością wiedzieli, co rozumiem pod tym słowem, to powiadam wam wyraźnie, że za kilka miesięcy ona będzie szalenie we mnie zakochana, a ja zostanę takim, jakim dziś jestem. Żądam od was tylko sekretu!”

„Brawo! brawo!” – krzyknęli koledzy. – „Zobaczmy!” I zaczęli grać w karty.

Nazajutrz odwiedzwszy burmistrza, Artur spytał Elizę nawiasem czy nie życzy sobie książkę do czytania? Rozumie się, że Eliza z wdzięcznością przyjęła tę propozycję. Tego też tylko było trzeba Arturowi. Plan jego był prosty, ale okropny, piekielny. Przygotował już katalog dzieł, którymi zamierzał stopniowo, ostrożnie i systematycznie zepsuć serce i zaćmić rozsądek biednej dziewczyny. Postanowił zacząć od serca, dlatego, że ono jest w kobiecie płacówką jej anioła stróża. Dopóki serce nie zepsute, kobieta instynktem wynagradza sobie niedotętność umysłu i czuje, co jest złe, chociaż nie rozumie dlaczego. Dla dopięcia pierwszego celu Artur dawał Elizie romanse, powieści, zaczawszy od najniewinniejszych, aż do... i niżej, starając się, aby następne dziełko było zawsze więcej zajmującym i więcej gorszącym niż poprzedzające. Kiedy Eliza nabrała już więcej odwagi, że mogła położyć ostatnią powieść nie udławiając się, Artur nieznacznie przeszedł do drugiej kategorii i zaczął jej dawać naprzód filozoficzne romanse, a potem filozofię XVIII wieku. Oprócz tego środka Artur używał bardzo mało innych. Był zawsze zimny z Elizą, nie mówił jej żadnych komplementów, czasami tańczył walca albo galopade i kiedy niekiedy mówił o innych kobietach.

„Śliczna osoba! szkoda tylko, że cała pachnie moralnością! – I tego dosyć było! Oczekiwania jego sprawdziły się i przeszły nawet za tę granicę, którą im zaznaczył Eli-



Andrzej Brzezicki

# FRENOFAGIUSZ I FRENOLESTY

za była nie tylko rozromansowana, ale, co gorzej, zgubiona! Wygrawszy zakład, obojętnie ją porzucił i biedna dziewczyna utopiła się z rozpaczy i wstydu

Dziwna rzecz! Ledwie Artur dowiedział się o tym opanowała go najgwałtowniejsza zgrzyzoła. Taż sama osoba, która za życia była dla niego obojętną igraszką chwilowego szaleństwa, stała mu się drogą po śmierci. Nazywał siebie niegodziwym człowiekiem, zbrodniarzem, zabójcą, widział cień Elżby wyrzucającej mu jego okrucieństwo i kładącej na jego czole przekleństwa. Żał, że głęboki niewypowiedziany szarpał mu serce i przesmykał się po nim jak jadowita żmija; harpia rozpaczy piekielnymi płomieniami paliła mu mózg bez ustanku. Życie mu obmierzło.

Wyjechał z kraju do cudzej ziemi, gdzie była wojna, gdzie można było znaleźć śmierć, ale kule oszczędziły Artura, jakby w edząc że głowę jego kruszą myśli zgubił się od pocisków największego rozmiarów. Tam przy biwaczkach ognia w krwawych bojach na bankiecie śmierci poznał szlachetnego młodzieńca, który pojął jego

cierpienia i którego przyjaźń coraz więcej stawała mu się drogą, lecz ta gwiazdka na dzień ledwie weszła na jego ciemnym niebie, wraz i zgasła.

W bitwie pod X., bateria, w której służył stała kilka godzin w najokropniejszym ogniu, śmierć grasowała swobodnie, ludzie padali jak kosy pod sierpem żniwiarza. Artur patrzył na swego przyjaciela i cieszył się, że go kule mijały, młodzieniec spostrzegł to, zbliżył się do niego i podał rękę w milczeniu, ale nim ją odjął, nieprzyjacielska kula położyła go na miejscu i krew jego bryzgnęła na twarz Artura.

"Przekleństwo!" – krzyknął Artur, i jak szalony biegł do armaty, ażeby sobie głowę roztrząsać o spiz, lecz sam osłabiony kontuzją, padł na ziemię bez zmysłów. Po skończonej bitwie zostawiono go w domu jednego z okolicznych obywateli, który go polubił, pielęgnował w chorobie, był dla niego ojcem i przyjacielem i nareszcie doprowadził do zdrowia. W wigilię wyjazdu Artura z tego domu, gospodarz umarł od apopleksji.

Nieszczęśliwy wrócił do kraju i osiadł sa

moim w rodzinnej wiosce, nie dopuszczając do siebie nikogo z obawy, żeby przekleństwo wiszące nad nim nie było zgubnym dla drugich. Tak przeżył kilka lat, oddawszy się zupełnie religii i naukom, wspierając nieszczęśliwych z daleka, lecz nie widząc nikogo. Wtem siostra jego została wdową i nie wątpiąc o tym, że znajdzie przytułek u brata, który ją z samego dzieciństwa mocno kochał, wybrała się do niego. Lecz właśnie kiedy wjeżdżała w dziedziniec domu, pękła oś u koczka nieszczęśliwa wypadła i roztrzaskała sobie głowę o kamień. Ten okropny wypadek stargał do reszty słabą nitkę, na której trzymał się rozum Artura.

**L. Sztjerner, Pantofel, Frenofagiusz i Frenolesty** (pierwodruk: *Rocznik Literacki, Petersburg 1843*). Wyd. Poznańskie, Poznań 1959, wybór ze stron 113–117

<sup>1</sup> W wielu wypadkach szaleństwa zaburzenia odnoszą się do jednego tylko przedmiotu (idees fixes), przy czym człowiek może pod każdym innym względem posługiwać się pełnym i nienaruszonym rozumem.

<sup>2</sup> Słusznie powiedziano, że z historii monomanii można by stworzyć dzieje cywilizacji.



2 listopada 1987 r. odezł od nas Marek Wydmuch. Tak nagle, niespodziewanie dowiedzieliśmy się o jego śmierci. Nie wierzyliśmy. Bo w tę śmierć trudno było uwierzyć.

Miał zaledwie 38 lat.

Urodził się w Warszawie w 1949 r. W 1972 r. ukończył germanistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Tam też pracował naukowo do 1977 r. Redagował „Kulturę” (od 1979 do 1981 r. był stałym członkiem zespołu), publikował artykuły i teksty krytyczno-literackie. Od 1978 do 1984 r. był lektorem-doradcą w sprawach literatury niemieckiej w wydawnictwie „Czytelnik”. Później – kierownikiem Redakcji Literatury Polskiej. Współpracował z PłW-em jako recenzent wewnętrzny. Pisał szkice, omówienia, komentarze do „Nowych Książek”, „Kultury”, „Literatury na Świecie”. Był autorem prac poświęconych prozaikom niemieckiego kręgu językowego: „Tomasz Mann” (1978), Franz Kafka (1982). Przełożył powieść Leo Perutza „Mistrz Sądu Ostatecznego” (1984). Jako autor SF debiutował pod pseudonimem Piotr Rankiewicz opowiadaniem „Der Garten” („Ogród”) zamieszczonym w niemieckim zbiorze „Gespanster Geschichten aus Polen” (Fischer Verlag, 1978). Opublikował wiele szkiców i omówień dotyczących literatury SF, drukował recenzje z polskich i obcojęzycznych książek SF w „Quarber Merkur” Franza Rottensteina, był również promotorem twórczości Stefana Grabińskiego.

W teorii literatury fantastycznej zapisał się książką „Gra ze strachem” wydaną nakładem „Czytelnika” w 1975 r. Książką recenzowaną przez Stanisława Lema, klasyczną już dziś pozycją poświęconą literaturze horroru. Nie definiował tej prozy, osaczał ją jedynie. Za francuskim badaczem Rogerem Caillois powtarzał, że *fantastyka grozy dzieje się na płaszczyźnie czystej fikcji, że jest wyłącznie grą ze strachem, igraszką z emocjami człowieka*. Obrysowując granice horroru mówił o innych odmianach fantastyki: literaturze science fiction, fantasy; polemizował z Todorovem, Zgorzelekim; pisał o „instrumentach” i „mechanizmach strachu” – ich zwielokrotnieniu, skomplikowaniu. Mówił o autorach i ich książkach: Williamie Beckfordzie, Howardzie Phillipsie Lovecraftie, Allenie Edgarze Poe. Jego książka, opatrzone indeksami i notami biograficznymi to prawdziwe kompendium wiedzy dla każdego miłośnika fantastyki. Miał ją rozszerzyć, uzupełnić – nie zdążył.

Śmierć przerwała również inne prace Marka Wydmucha. Encyklopedia literatury popularnej, wybory krytyczne, tłumaczenia. Czy ujrzymy je w druku?

... Spokojny, opanowany, z namysłem dobierający słowa. Takim go zapamiętaliśmy. W jednej z ostatnich rozmów powiedział: *Czekam na jesień. Zawsze kiedy nadchodzi jesień nabieram chęci do życia...*

To była jego ostatnia jesień.

W „Więzieniach”, cyklu sztychów Piranesiego (...) efekt pewnej niesamowitości wydobyty jest z niejasnych funkcji dziwnych budowli i tajemniczych aparatów, z niezrozumiałego zachowania postaci (ludzkich? – nie można tego stwierdzić z całą pewnością), które krążą po labiryntowych krużgankach i spacerują bez celu na zawrotnych wysokościach. Szwedzki pisarz i eseista Lars Gustafsson oparł swoją interpretację terminu „fantastyka” na drobniawej analizie „Więzień”, dając przy tym wyjątkowo trafny, chciałoby się powiedzieć: „atmosferycznie wierny”, opis dziw-

mały kawałek nieba i chmur, zostanie on natychmiast w połowie zakryty fasadą domu ze schodami, która wyraźnie każe spodziewać się, że oibryzm labirynt, w jakim się znaleźliśmy, jest zaledwie częścią większej jeszcze budowli.

Atmosfera tych miejsc nie budzi strachu – to znaczy, nie budzi go w powszechnie przyjętym rozumieniu. Panuje nastrój uroczysty, jakby otaczający coś, co kiedyś było święte, a potem zostało opuszczone. Ład pomieszczeń uderza żelazną konsekwencją: są one zbudowane przez istoty większe, od nas, podlegające innym pra-

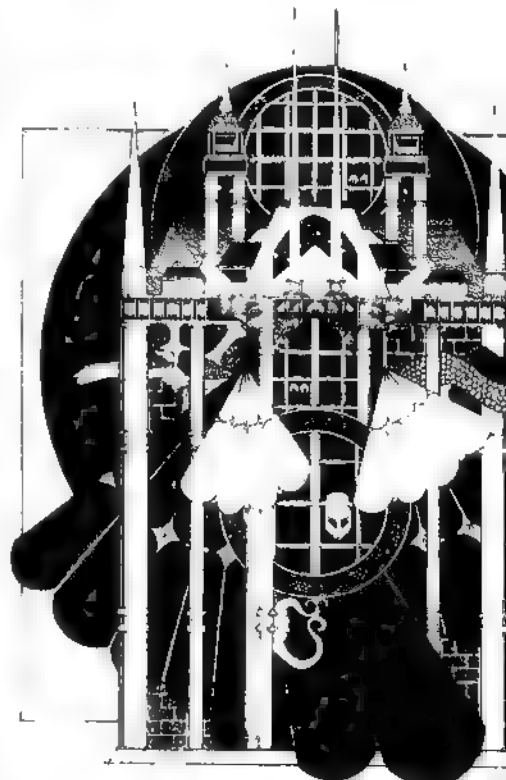
## OSACZANIE FANTASTYKI

Marek Wydmuch

nego stanu rzeczywistości, jaki w literaturze fantastycznej zwykle zajmuje miejsce naczelnie. Nie jest to dwuznaczność ani wahanie w pełnym, ogólnie przyjętym sensie tego słowa – chodzi raczej o wrażenie nieprzenikalności, niemożności dotarcia do sedna, do prawdziwej natury mechanizmów, tkwiących za płaszczyzną bezpośrednio przedstawioną. Niech widz (czy czytelnik) dopatry się tu nawet i zwykłej rzeczywistości – przez nienormalne zagęszczenie, zatarcie istotnych konturów, przeniesienie jakby w inny wymiar, zyska ona cechy fantastyczne. Później odnajdziemy ten stan w opowiadaniach Grabińskiego. Człowiek postawiony zostaje wobec sytuacji, gdy nawet przedmioty znane mu z codziennego, z nimi obcowania czyhać będą na niego jako formy, w które wstąpił duch obcy i wrogi, oderwał je od ich zwykłych funkcji i wymierzył przeciwko ludziom. Rysa na gładkiej powierzchni racjonalizmu rozszerzy się, obejmując wszystko, na co padnie wzrok; obce siły rozpoczną już nie rekonesansową wycieczkę przeciw ziemskiemu porządkowi, ale frontalny – chociaż wciąż potajemny atak. Sądzę, że fragment wywodów Gustafssona najlepiej zilustruje ten aspekt literatury fantastycznej, stanowiąc zarazem niezbędne uzupełnienie tych elementów teorii Tzvetana Todorova, które wcześniej uznaliśmy za słuszne.

Więzienia Piranesiego przedstawiają świat, w którym wszystko stało się architekturą: gdzie potężne sklepienia niepostrzeżenie przechodzą jedno w drugie, do wewnątrz, w zmiennym nasileniu cienia i światła, w głąb, w dół, w tajemnicze schody, które giną w ciemnościach, w górę, w przyprawiające o zawrót głowy podesty i mosty, gubiące się w mroku na długo, zanim widz zacznie spodziewać się dachu. Idea więzienia polega wszak na tym, że jest ono budynkiem, w którym ludzi trzyma się w zamknięciu, gdzie mogą oni spędzić całe życie, nie potrzebując w zasadzie oglądać ani przez chwilę światła dziennego. Jest w sztychach Piranesiego coś, co należy do ogólnie pojętej topologii przestrzeni. Gdy w odosobnionym przypadku – jak na piątym sztychu – przez odległe sklepienia prześwitywać będzie jakieś zewnątrz, jakiś

wom – ich funkcje i zadania są dla nas niepojęte. Sprawiają wrażenie funkcjonalności, ale ich cel jest nieprzejrany. Należą do świata, który z nieubłaganą logiką skonstruowany został dla innych niż nasze zadania. Świat ten nie jest pozbawiony okrucieństwa – przeciwnie – ale okrucieństwo

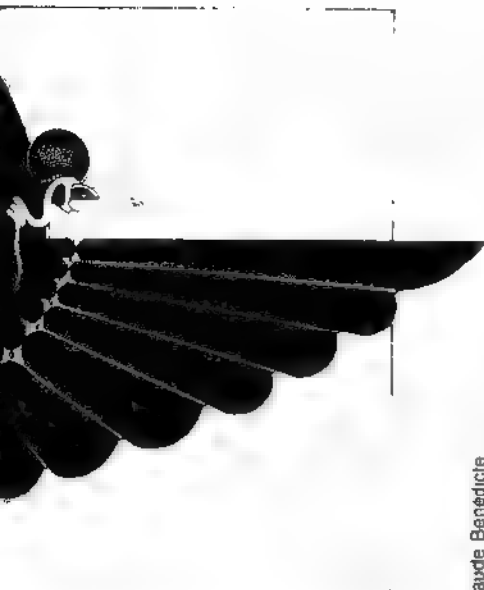


jego nie skierowuje się specjalnie przeciw nam. W skład inwentarza wchodzi ogromne żelazne łańcuchy, rozhuśtane belki z wykutymi zębami i kolcami, robiące wrażenie jakby służyć miały do chwywania słoni czy oibryzmów – albo do przeszkodzenia innym, niebywale silnym istotom w przekroczeniu określonych, subtelnych granic. Potężne wielokrążki i liny zdają się oczekiwać na ciężary większe od tych, którymi człowiek mógłby się kiedykolwiek posługiwać.

Powoli obserwator zaczyna dostrzegać

ruch i aktywność w tych pozornie opuszczonych i wyludnionych labiryntach. Na szóstym sztychu wystrzela z jednego z podziół biała chmurka pary, zatrzymując w sobie światło scena o nieledwie przemysłowym charakterze. Ale czy rzeczywiście? Może chodzi o pracę kowalską – ale może to przecież być scena tortur, podczas których rozpalone żelazo chłodzi się w kadzi z wodą. Wszędzie, w kątach i zakamarkach, na przeraźliwie wysokich podestach dostrzega się teraz dziwnie dwuznaczne sytuacje: podobne do owadów małe istoty, tego samego rodzaju co w „Antichità” (inny cykl sztychów Piranesiego – przypis M.W.) zdają się brać udział w czymś, co może oznaczać tortury, ale może też być zupełnie niewinną czynnością. Istoty te występują zawsze grupkami, trzymając głowy pochylone, jakby odczuwały skruchę lub głęboką cześć, a nie strach. Niektóre z nich wyglądają, jakby ciągnęły za sobą ciężkie tańcuchy – czy też są to tylko ich ostro zarysowane cienie? Rodzi się dziwny, ironiczny efekt uboczny: ten świat i jego mieszkańcy zdają się być stworzeni nie dla siebie.

Fantastyczność w „Więzieniach” polega nie na szczególe, ale na myśli, którą doprowadzono do jej najbardziej skrajnych konsekwencji. W rzeczywistości coraz bardziej nieprawdopodobnej, w nieprzenikalnym oświeceniu, w której właśnie namacalność detalu prowadzi do wrażenia nieprzejrzystości, są „Więzienia” Piranesiego obrazem – albo klasycznym przykładem – tego, co uważam za element fantastyczny w sztuce.



Jean Claude Benedicte

\*Giambattista Piranesi (1720-1778) – grafik, architekt włoski, znany głównie z cykliów fantazyjnych architektonicznych oraz rycin przedstawiających antyczne budowle. „Więzienia” (Invenzioni capricci di carceri) powstały w latach 1745-1760.

Marek Wydmuch, „Gra ze strachem. Fantastyczne grozy”, Czytelnik, Warszawa 1976, wybór ze stron 25-29.

Przygotował  
Andrzej Niewiadowski

## Penciak Lucyna Pedagog, autor SF (ur. 1914)

Urodziła się 15 kwietnia 1914 r. w Pęcicach koło Warszawy. Ukończyła Wydział Pedagogiczny, Studium Pracy Społeczno-Oświatowej, Sekcję Bibliotekarską Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie (1936-1940). W latach 1937-1939 była instruktorem Centralnej Biblioteki Powiatowej powiatu warszawskiego. Kustosz, kierownik wypożyczalni dla dorosłych i młodzieży w sieci Biblioteki Publicznej m. st. Warszawy w latach 1967-1976.

Jako autorka SF debiutowała w 1980 r. powieścią „Neurony zbrodni” (KAW). Książka przywołuje klasyczne, ubiegowieczne schematy utopii, kreśli obraz szczęśliwego raju ludzkości, który zakłócają działania groźnych przestępców, leczonych środkami farmakologicznymi. Zdumiewa nawność tej historii – co prawda, jej wymowy moralnej nie sposób kwestionować, ale mialość intelektualna „Neuronów zbrodni”, uproszczenia sytuacyjne, motywacyjne i psychologiczne, a także wyewny dydaktyzm tej książki czynią z niej pozycję... dość szczególną w powojennych losach polskiej fantastyki.

**Recenzja wybrana:**  
(W.J.) (w:) „Nowy Wyrz” 1981/7.

## Petecki Bohdan Orientalista, dziennikarz, prozaik (ur. 1931)

Urodził się 5 lipca 1931 r. w Krakowie. Ukończył orientalistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Studiował na Wydziale Filozofii UW w latach 1956-1957. W 1959 r. przeniósł się do Katowic, gdzie został dziennikarzem. Był publicystą, drukował teksty o tematyce społecznej i gospodarczej. W katowickiej rozgłośni Polskiego Radia prowadził autorski cykl reportażu Pracował w radiu i telewizji dochodząc do funkcji zastępcy redaktora naczelnego. Przez trzy lata był zastępcą redaktora naczelnego tygodnika „Panorama”. Po 1976 r. zrezygnował z pracy etatowej w dziennikarstwie i zajął się pracą twórczą.

Autor kilkunastu słuchowisk (dwa z nich nadawało także Radio Lublana) i jednego utworu kryminalnego („Kobry” – „Niespodziewany gość” – 1968). Pod pseudonimem Jan Artur Bernard opublikował trzy powieści sensacyjne („Telefonował morderca”, 1969; „Noc Robin Hooda”, 1970; „Zmień złote i inne”, 1972, przełożona na język czeski – 1976).

Autor jednego opowiadania SF zamieszczonego w „Problemach” (1978/7, „A... B... C... dwadzieścia cztery”), a następnie w antologii „Wękuł wyobraźni” (Wyd. Poznańskie, 1978). Debiutował w 1971 r. powieścią „W połowie drogi” (Czytelnik). Wydał: „Strefy zerowe” (Iskry 1972, 1983), „Ludzie z gwiazdy Fenego” (Śląsk 1974), „Tylko cię” (Iskry 1974), „Operacja wieczność” (Iskry 1975), „Rubin przerywa milczenie” (Śląsk 1976, 1982), „Messier 13” (Iskry 1974), „Sola z nieba północnego” (Śląsk 1977, 1985), „X-I uwolnij gwiazdy” (Nasza Księgarnia 1977, 1981), „Kogga z czarnego słońca” (Iskry 1987), „Prosto z gwiazdy” (Śląsk 1987), „Królowa Ko-

smosu” (Nasza Księgarnia 1979), „Wiatr od Słońca” (Czytelnik 1980, 1985), „Bai na pięciu księżycach” (Czytelnik 1981), „Pierwszy Ziemiannin. Bajka totalna” (Iskry 1983).

Bohdan Petecki należy bezspornie do grona najbardziej aktywnych (i zarazem najbardziej popularnych) współczesnych autorów SF. Ale liczba wydanych przez niego książek nie stanowi o jakości tych publikacji. Utwory polskiego prozaika, adresowane po części do odbiorcy młodzieżowego, są w założeniach typową odmianą „kosmicznych westernów”, operują czarno-białą sylwetką bohatera, sensacyjno-przygodowym przebiegiem akcji, zrozumiałą, w miarę jednoznaczną wymową moralną. Zasadniczym tematem tych historii staje się „kontakt” z obcą cywilizacją, przeważnie nieudany, nie zrealizowany, spowodowany do braku akceptacji naszej kultury, odrzucający wszelkie formy dialogu. Inne cywilizacje przypominają nieco społeczności Dalekiego Wschodu (być może decydują o tym orientalne zainteresowania Peteckiego), są nieufne wobec Przybyszów, zamykają się w granicach własnych kultur i sposobów opisu świata, są przeciwnie jakimkolwiek infiltracjom, ustanawiają nader skuteczne bariery ochronne (zasada działania tych barier sprowadza się do ingerencji w psychikę człowieka, porażenia jego systemu nerwowego – zob. „Strefy zerowe”, „Ludzie z gwiazdy Fenego”). Z konfrontacji kulturowej ludzie wychodzą pokonani, choć niekiedy – demonstrując swą siłę, potęgę narzędzi technicznych, udaje się im przełamać obojętność „kosmicznych braci”. Oczywiście, nie sposób odmówić utworom Peteckiego wartości aluzyjnych, zwłaszcza tam, gdzie przesłanie sprowadza się do czysto ziemskich problemów i zagrożeń narodowościowych, rasowych, cywilizacyjnych. W powieści „Rubin przerywa milczenie” dochodzi do konfliktu między dwiema grupami społecznymi zmutowaną kolonią ziemską przystosowaną do życia w trudnych warunkach ekologicznych i jej nader konserwatywnym odłamem. Niemal wszystkie powieści Peteckiego operują jednak znacznymi uproszczeniami psychologicznymi, motywacyjnymi, przedstawiają sylwetkę pilota – kosmicznego zwiadowcy – cyborga-supermana, który wychodzi cało z najgorszych opresji, przejmując odpowiedzialność za decyzje szalonych naukowców, jest podejrzliwy wobec świata, jaki przyszło mu obserwować. Z tego schematu wyłamuje się zaledwie kilka utworów. Powieść „Tylko cię” podejmująca temat zagrożenia ekologicznego, ukazująca losy Ziemi, którzy w zbiorowych hibernatorach oczekują na biologiczną regenerację środowiska naturalnego. Książka „Operacja wieczność” wprowadzająca sylwetkę outsidera, który nie zgadza się na przejęcie nieśmiertelności, tzn. sporządzenie swojej „reprodukcji”, zapisu osobowościowego, twierdząc, że prawo decydowania o swoim losie jest niezaprzeczalną wartością ludzkiego świata.

Pisarstwo Bohdana Peteckiego stroni od eksperymentów formalnych, chociaż i tu zdarzają się wyjątki (dechronologizacja akcji w „Ludziach z gwiazdy Fenego”, pastisz konwencji SF w „Ostatnim Ziemiannie”), odznacza się jednak niezaprzeczną sprawnością warsztatową odpowiadającą zamówieniom odbiorców literatury popularnej.

Powieść „Strefy zerowe” ukazała się w przekładzie słowackim (1976), a książka „Messier 13” została przełożona na język węgierski.

### Recenzje wybrane:

- L. Borski (w:) „Nowe Książki” 1974/11,
- W. Kwiatek (w:) „Nowe Książki” 1977/11,
- M. Czemińska (w:) „Nowe Książki” 1978/24,
- S. Kędzierski (w:) „Fantastyka” 1984/4,
- M. Oramus (w:) „Przegląd Techniczny” 1984/39

Przygotował  
Andrzej Niewiadowski

Wielu dziwi sukcesy współczesnej fantastyki, nagły awans dziedziny pogardzanej przez licznych zawodowych krytyków, więc rzadko zauważalnej na łamach pism literacko-artystycznych, zabawnie także kształtują się opinie o czytelnicztwie SF, jakże często popularyzowane właśnie w tychże pismach.

Ciekawe, książki z dziedziny science fiction, mimo ogromnie wyśrubowanych cen (wydawnictwa polują po prostu na łatwe zyski, na poklask publiczności), szybko znikają z lad księgarń niż inne typy publikacji, chociaż już nie tak szybko jakby się tego pragnęło, ale jakoś nie bardzo słychać o nich w zapowiedziach radia, telewizji, czy czasopiśmie. Recenzje zdarzają się niezmiernie rzadko, a posłuszne panie, może i panowie, więc – bibliotekarki i bibliotekarze mają odwagę przyznawać niezbyt udowodnione bestsellerstwo dzieł różnorodnych bardziej lub mniej uznanych sław literackich, niż udowodnione fantastów. Po co ryzykować konflikty, narażać się na kpiny czy protesty różnych wpływowych osobistości? Prawda?

Niezwykle rzadko także analizuje się przyczyny i istotę powodzenia prozy fantastycznej, spychając zagadnienie do sloganu „panującej mody”, a skąd się ta moda wzięła, czy to *deus ex machina*, czyli przypadek rodzi mody, czy też jakiś istotny spłot określonych warunków społecznych? Oto jeszcze jedna próba wytłumaczenia powstałej sytuacji, próba ciągle romantyczna.

Adam Hollanek

## A jednak romantyzm

(część II)

1. Wcale nie dziwne mi to, że w takich krajach jak nasz, czy do nas podobnych, mało stosunkowo nasyconych rzeczowymi cudami: techniki, cuda te, w postaci literackiego pomysłu fantastycznego, propagują świat czy wszechświat robotów i automatów jakże atrakcyjny właśnie w naszych warunkach, bo jest to prosta kompensacja naszych własnych przeszłych i teraźniejszych niedoborów, kompleksów niższości, prawd utraconych, prawd przewidywanych, marzeń nie spełnionych i marzeń do spełnienia.

Zachodnia, a szczególnie amerykańska fantastyka obdarowywała zawsze czytelników i hobbystów na całym świecie najwymyślniejszymi obrazami różnych możliwych światów, zgodnych na ogół z bliższymi i dalszymi konsekwencjami dzisiejszego stanu nauki i wiedzy stosowanej, ale to wszystko co szło stamtąd, rozpuszczało się i rozpływało nadal w sosie naszej inności psychicznej i fizycznej, naszych niemożności i zagrożeń – tak to w ostatnich czasach tworzyły się zręby nowej polskiej fantastyki, biedni Lemowscy Astronaucci z poczuciem podziwu, ale i z przerażeniem jednocześnie, obserwowali rozkład kapitalistycznej cywilizacji w wyniku atomowej, było także w pierwszych dziełach wielkiego Stanisława mnóstwo pobłażliwego, można by rzec poczwęgo krytycyzmu pod adresem rozwoju nauki w ogóle, widząc co ta cholerna nauka narobiła, do czego zdolni potrafią być ludzie, gdy ich Frankensteiny zaczęły opanowywać ten nasz dziki i prymitywny system planetarny.

Schodzila już wtedy, choć korzenie miały znacznie wcześniejsze, nowa estetyka, nowa fala turpizmu iście fantastycznego, w którym nieustannie ruiny i zgłizacza, degeneracji i potwory nadawali koloru rzeczywistości. I ten kolor obrzydliwości w całej zresztą światowej literaturze science fiction poczynął się coraz mocniej krystalizować, promowała go wazędzia, choć w różnych formach, filozofia katastrofizmu, myśl o nieuchronnym końcu wszelkich cywilizacji w tym naszej również, a co po tym potopie? Właśnie, po tym straszliwym kataklizmie, spowodowanym myślą i ręką człowieczą?

2. Rodził się wobec takiej perspektywy co-

raz to potężniejszy rozziw między tym co człowiek wytwarza, co potrafi, co może czy mógłby umyślnie i co sztucznego umiałby stworzyć, bardziej często na swoją zgubę niż na ratunek, a jakąś kiczowatą pierwotnością codziennoci życiowej, małości: wewnętrznej człowieka; jego fizjologia na przykład, związana z głębokimi uczuciami ośmiesza go, Lem tego znieść nie może w swych bajkach – nie bajkach, w swych Golemach, w swych opisach tragedii i niemożności ludzkiej i stacza jak gdyby romantyczną walkę ze Stwórcą. W ten sposób przypomina i nawiązuje do podstawowych tez Wielkiej Improwizacji z „Dziadów”, jest zresztą w tej dziedzinie typowo polski, inaczej przecież mierzył się z Bogiem i Diabłem Goethe, jak gdyby pogodzony na zawsze z dworością świata, inny też miał stosunek do otaczającego go środowiska i do przyrody.

W tym rodzącym bunt, typowo romantycznym rozziwie między codziennością naszą wewnętrzną, a tym co tworzymy – wytwarza się sytuacja, którą wiernie i doskonale określił w swolch „Dziennikach” Witold Gombrowicz: *Literatura zaledwie poddała się w tym stuleciu profesorem... my, artyści będziemy musieli wywołać skandal, aby zerwać te stosunki – będziemy zmuszeni zachować się wobec nauki bardzo arogancko i bezczelnie, aby odeszła nam ochota flirtów z formułami naukowego rozumu. Nasz własny, indywidualny rozum, nasze osobiste życie i nasze uczucia trzeba będzie przeciwstawić w najostrzejszej formie prawdom laboratoryjnym. Czyż nie jest to rodzaj swoistego i swojskiego zarazem manifestu romantycznego?... Czy człowiek nie jest w prywatnej rzeczywistości swojej czymś dziecinnym i zawsze poniżej swej świadomości... ale, którą odczuwa zarazem jako coś obcego i narzuconego i nieistotnego...*

Kto by sądził, że wrywam z kontekstu, że manipuluję, ten nie zna dobrze poglądów wykładanych przez Gombrowicza; cytowane tu fragmenty to jedynie cząstka jego rozważań, idących w kierunku przeze mnie tutaj demonstrowanym. W innym miejscu Witold Gombrowicz zdaje się także potwierdzać ważną rolę fantastyki we

współczesnej literaturze. I oto jesteśmy przy raczej niespodziewanym, dziwnym zjawisku; bezczelnym bękartem nauki współczesnej, który się przeciw niej buntuje, staje się fantastyka, która z science i na science wyrasta. W miarę upływu czasu i zmiany warty w hierarchii literatury polskiej po wojnie, główny nurt tej literatury jak gdyby wysycha, zamiast rozlewać się szeroką falą rzeczywistości, schodzi na manowce, wpada w meandry. Nie tutaj miejsce na wymienianie tytułów i ukazywanie uników głównego nurtu pisarstwa: ono nie chce, nie może czy nie potrafi sprostać zadaniom bliskich kontaktów z życiem, umyka do podziemia, zmienia skórę. Najbardziej poczytni i uznawani pisarze, tacy jak na przykład Konwicki, Rudnicki czy Hen wybierają coraz częściej formy zbliżone do pamiętnikarstwa, porzucając stopniowo stare konwencje beletrystyki, najbardziej poczytny gatunek literacki – pamiętnik – zostaje zbeletryzowany, nabierając coraz bardziej cech gombrowiczowskiej prozy i w tej postaci zaczyna triumfować. Nowatorstwo natomiast Łozińskich czy Stryków brnie w zaułki, ucieka w kąci i kąty świadomości i podświadomości jednostki, usiłując czarować swoistymi sztuczkami lingwistycznymi, unika aktualnych treści.

3. Za to fantastyka kroczek po kroczku, pisana wprawdzie tradycyjnymi dla tej konwencji sposobami, zdobywa coraz większe rzesze czytelników dzięki sztafelowi bajkowo-kosmicznemu, dzięki suspensowi. Tak, to prawda, także i dzięki niemu, ale i na skutek przedstawiania treści bliskich sercu i rozumowi współczesnego człowieka.

Lem otworzył falę romantyzmu, jego romantyzm miał jednak i me dotąd charakter raczej arystokratyczny, koncentruje się bowiem wokół wielkiej jednostki (sam Lem to bohater wszystkich swych książek i on to tylko jest wielkością), lecz młodzi polscy fanteści sprowadzają romantyzm na bruk, wykorzystując przygotowanie współczesnego czytelnika znacznie większe niż kiedykolwiek w naszej historii, jego awans intelektualny, może nie ogromny, ale bardzo już znaczny w stosunku do tych, co mogli i potrafili odbierać bezpośrednio romantyczne utwory epoki Mickiewicza i Norwida czy Tetmajera i Wyspiańskiego, tworzą nową falę popromantyzmu – jak ja to określam. Są i tacy, co określają to jako „nawrót do gotyku” (Lech Jęczyński, znany tłumacz i znawca literatury SF) lub porównują ten romantyzm z punkową kontestacją, z tymi pieśniami, z tą poezją, z tą muzyką, którymi posługuje się młodzież dla wyrażenia swolch konfliktów wewnętrznych, społecznych, politycznych, swolch dążeń do maksymalnej wolności jednostkowej, swolch wizji przyszłości i swojej bardzo zresztą zagmatwanej i w baśniowe wątki ujętej tradycji przeszłości.

Nie istnieje przecież inna droga do poznania otaczających ludzi i spraw, a także rzeczy, jak siło jedynie własnej świadomości. Świat wewnętrzny człowieka to okolice, w których każdy z nas niejako przestaje być sobą, wcielając się z konieczności w zbiorowość. Posługujemy się przecież przedmiotami i urządzeniami, zdobytymi dzięki zbiorowym notowaniom pamięciowym, wspólnej, nagromadzonej z pokoleń na pokolenie wiedzy, jak konfliktowe są w stosunku do jednostek takie zbiorowości i *vice versa* wie każdy, kto żyje na tym świecie – są to konflikty o skalę światową, państwową, lokalną, rodzinną



Człowiek czytający fantastykę pyta z pasją i niepokojem co on robi na przykład jutro, o dwunastej, lub więcej, co on zrobi jutro o dwunastej w pływającym kinie, więcej, co on zrobi jutro o dwunastej w pływającym kinie wobec siedzącej obok niego dziewczyny, brata, kolegi?

Fantastyka stara się odpowiadać mu przejawskrawionymi, drastycznymi obrazami na te kwestie i w ten sposób nastaje epoka romantycznych ballad, baśni o przeszłości i przyszłości. Krok za krokiem fantastyka wciska się i wypiera główne nurty literatury, kina, wideo. Proszę policzyć ile filmów fantastycznych jest już w kinach teraz i porównać to z sytuacją kinematografii sprzed kilku lat, a liczba wydawnictw, które jeszcze przed powstaniem czasopisma „Fantastyka” zajmowały się publikowaniem SF, a liczba wydawców fantastyki obecnie?

W dyskusji o współczesnej prozie, w „Literaturze” – Jerzy Jarzębski podaje wprawdzie w wątpliwość znaczenie fantastyki, stwierdzając, że w niej mało się dzieje, ale małe kroczki właśnie uczyniły tę dziedzinę literatury literaturą zamiast – zamiast głównego nurtu, podejmującą gorące problemy współczesności. Z samej zaś swojej istoty sztuka przedstawiająca przyszłość czy karykatury przyszłości, a także teraźniejszości i przeszłości nie musi mieć już innych cech awangardy, nie należy więc mierzyć jej tradycyjnymi metodami. Zresztą, jak dobrze wiemy, sam Jarzębski w gruncie rzeczy bardziej zajmuje się fantastyką niż innymi nurtami literackimi, co wynika z jego dotychczasowej twórczości, więc widać preferuje ten galunek.

4. Fantastyka w swoich szczytowych osiągnięciach demonstruje rozterki współczesnego obywatela naszego globu, naszego kontynentu, naszego kraju, naszego miasta czy miasteczka, przepaście między tym co zbiorowość ludzka potrafi zrobić, do czego się ośmiela, a tym co z człowiekiem dzieje się na codzień, co jest w jego wnętrzu. Są to często ogromne, trudne do zniesienia frustracje. Z jednej strony – tej wewnętrznej, kiczowate marzenia, kiczowate krajobrazy, sztuczny, kiczowaty seks, kiczowate przeżycia, kiczowata fizjologia, działania pod wpływem półzwierzęcych emocji czy nawet instynktów, w strachu przed własnymi wynalazkami, z drugiej on, ten nasz świat, stworzony przez mądre ludzkie zbiorowości, z absurdem bomby atomowej i chirurgii genetycznej, zwanej inżynierią genetyczną, jakbysmy robotami już tylko byli, z fabrykami, samochodami, maszynami i dymanami bez których istnienie niemożliwe, ale nieistnienie w perspektywie, zagłada – również prawdopodobne.

Człowiek bojący się własnej nauki i wynalazków zamiast do lekarza iść do znachora, zamiast nieśmiertelności na ziemi, której mu nauka nie potrafi zapewnić, szuka wyjść eschatologicznych z doczesnej egzystencji.

Fantastyce w tych warunkach przypada rola... znachora literatury; zmienia obyczaje, chwile wartości etycznych, ma naukowego kaca. Oto nowa estetyka, oto model, paradygmat współczesności. Czy jest w nim odrobina optymizmu? Sądzę, że to nie kategoria pytań godna odpowiedzi. Cóż z rozważań o optymizmie czy pesymizmie, po prostu istniejemy, żyjemy, mamy szansę dalszego istnienia – to już dużo, właściwie na razie wszystko.

## 1980 (ciąg dalszy)

1453. LEIBER Fritz. *Wędrownie*. Tłum. [z ang.] Julita Wroniak. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 379, nrb. 1. 60 000 egz. – *Seria Fantastyczno-Naukowa* (z „kosmonautą”).
1454. LEM Stanisław. *Opowieści o pilocie Pirxie*. Wyd. IV. Warszawa. Iskry. 16° ss. 464, nrb. 4. 50 000 egz. – *Fantastyka*, Przygoda – Zestaw ten sam, co w wyd. poprz.
1455. [Y. SIAK Waldemar]. *Był sobie czas W. Perfidia*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° s. 91-171. 100 000 egz. – *Seria Kryminalna KAW-u*. – Na k. tyt. pseud. aut.: Valdemar Baldhead
- NIEMCZUK J.: *Przemiana*. W: *Imitacja*. – zob. AF
1456. OKNO w nieskończoność. Antologia opowiadań fantastyczno-naukowych pisarzy radzieckich. Aut.: Valerij Brisov [i in.]. Red. i wstęp Florian Nieuważny. Postowie Evgenij Brandis. Noty o autorach oprac. Jerzy Kaczmarek. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 616 20 000 egz. – SF
1457. PENCIĄK Lucyna. *Neurony zbrodni*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 168, nrb. 4. 100 000 egz. – *Fantazja-Przygoda-Rozrywka*
1458. RASCH Carlos. *Taniec potworów*. Przekład autoryzowany [z niem.] Salvator Tarley. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 208, 100 000 egz. – *Fantazja-Przygoda-Rozrywka*
- SADZIEWICZ M.: *Skrzydła...* – zob. AF
1459. SAWASZKIEWICZ Jacek. *Katharsis*. Warszawa. Iskry. 16° ss. 151, nrb. 3. 40 000 egz. – *Fantastyka*, Przygoda
1460. SAWASZKIEWICZ Jacek. *Admirał Douglas Westrex. Kanera Johna Stoffhansenna. Cerebrak. Manekin*. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 80, nrb. 4. 40 000 egz. – *Stato Sie Jutro* – opowiadań fantastycznych zbiór osiemnasty. – Na okł. tyt.: *Manekin*
1461. SŁAWIK Waldemar. *Czesanie czasu*. Gdańsk. Wyd. Morskie. 16° ss. 140, nrb. 3. 10 000 egz. – 15 opow. w tym 7 fantast.: *Ostatni lot Waltera Smidta* s. 47-59 i cykl *Z INNEGO WYMIARU* s. 59-133. – ASF/AF
1462. TREPKA Andrzej. *Kosmiczny meldunek*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 208, nrb. 4. 100 000 egz. – *Fantazja-Przygoda-Rozrywka*
1463. TREPKA Andrzej. *Totem leśnych ludzi*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 106, nrb. 2. 100 000 egz. – *Fantazja-Przygoda-Rozrywka*
1464. VAHANARA Wg. Georgesa Murcie adapt. i scen. Mieczysław Derbień, rys. Jerzy Wróblewski. – *NAJDLUŻSZA podróż*. Scen. Rian Asars, rys. Grzegorz Rosiński. [Wyd. II.] Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 8° ss. 84. 100 000 egz. – *Komiks*
- VEŽIMOV P.: *Banera*. – zob. AF
1465. WEINFELD Stefan. *Janczarzy kosmosu*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 200, nrb. 4. 100 000 egz. – *Fantazja-Przygoda-Rozrywka*
1466. WIŚNIEWSKI-SNERG Adam. *Nagi cel*. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 155, nrb. 4. 50 000 egz. – *Seria Fantastyczno-Naukowa* (z „kosmonautą”).
1467. KACZMAREK Jan, WOLSKI Marcin. *Rok 3978*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 222, nrb. 2. 60 000 egz. – Zawiera: KACZMAREK Jan: *Nasza naturalna sztuczność*. (F) s. 5-79 i WOLSKI Marcin: *Laboratorium Nr 8* s. 81-222
1468. ZAJDEL Janusz [Andrzej]. *Cylinder van Troffa*. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 189, nrb. 3. 30 000 egz. – *Seria Fantastyczno-Naukowa* (z „kosmonautą”).

### SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

1469. BROSZKIEWICZ Jerzy. *Bracia Koszmarek, magister i ja*. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 314, nrb. 2. 50 000 egz.
1470. HERLINGER J[uliusz] J[erzy]. *Minister Hopkins na tropach sensacji*. Wyd. IV. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 280, nrb. 2. 20 000 egz.
1471. HUGHES Monica. *Bunt na Kronszeffie 10*. Tłum. [z ang.] Nina Michałowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 174, nrb. 2. 20 000 egz. – Klub 7 Przygód
1472. PETECKI Bohdan. *Wiatr od Stolica*. Warszawa. Czytelnik. 8° podł. ss. 156, nrb. 4. 30 000 egz.

### Utopia (U):

1473. AFANASJEW Jerzy. *Machina poetica. Fantazja poetycko-naukowa*. Gdańsk. Wyd. Morskie. 16° ss. 121, nrb. 3. 10 000 egz. – U/MS/F.
1474. BORGES Jorge Luis. *Księga piasku*. Tłum. [z hiszp.] Zofia Chądzyńska. Postowie Michał Sprusiński. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 90, nrb. 2. 20 000 egz. – *Proza Iberoamerykańska*. – U/AF.
1475. CZECZOT Andrzej. *IFO – zidentyfikowane obiekty latające*. Gdańsk. Kraj. Ag. Wyd. 8° podł. knb. 65. 10 000 egz. – Album rysunków satyrycznych o tematyce SF
1476. CZUBASZEK Mana. *Na wyspach Hula-Gula*. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 101, nrb. 2. 10 000 egz. – Niektóre opowiadania fantast.
1477. DOBRACZYŃSKI Jan. *Wyczerpać morze*. Wyd. IV. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 8° ss. 222, nrb. 2. 20 000 egz. – *Dziela*
1478. GUETERSLOH Albert Pans. *Historia o przyjaźni. Powieść sokratyczna*. Tłum. [z niem.] Jan Koźbiał i Andrzej Sapoliński. Postowie Hubert Orłowski. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 174, nrb. 2. 10 000 egz. – *Współczesna Proza Światowa*
1479. KRASICKI Ignacy. *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki*. W: *Utwory Wybrane*. T. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° s. 73-226. 50 000 egz. – *Biblioteka Klasyki*
1480. KUBIN Alfred. *Po tamtej stronie*. Tłum. [z niem.] Anna M[ana] Linke. Wstęp Stefan Lihański. Wyd. II. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 292, nrb. 4. 30 000 egz. – Zawiera też: *Demony i nocne zjawy. Autobiografia*. (R) s. 253-293.
1481. MOLDOVA Gyoergy. *Niezwyrodną jedenastka i inne opowiadania*. Wybór i tłum. [z węg.] Tadeusz Olszański i Magdalena Schweinitz-Kulisiewicz. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 218, nrb. 3. 10 000 egz. – *Większość opowiadań fantast.*
1482. MORSELLI Guido. *Wydarzenie*. Tłum. [z wł.] Barbara Sieroszewska. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 147, nrb. 1. 30 000 egz.
1483. PRZYPKOWSKI Andrzej. *Victoria*. Warszawa. Wyd. MON. 16° ss. 343, nrb. 1. 30 000 egz. – Cd. poz. 1204/77 i 1303/78
1484. [SZESZCZESIAŃ] 60 minut na godzinę. Aut.: Mana Czubaszek [i in.]. Red. Marcin Wolski. Wyd. II. Warszawa. Wydawnictwa Radia i Telewizji. 16° ss. 309, nrb. 3. 30 000 egz.
1485. THEMERSON Stefan. *Generał Piasek i inne opowiadania*. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 272, nrb. 4. 20 000 egz. – *Siedem opow.*, w tym dwa fantast.: *Bayamus* s. 5-115 i *Hau! Hau! czyli kto zabił Ryszarda Wagnera?* s. 242-273.
1486. VERNE [Jules]. *Tajemnicza wyspa*. T. I-II. Tłum. [z franc.] Janina Karczmarewicz-Fedorowska. Wyd. XII. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° T. I ss. 409, nrb. 7; T. II s. 393, nrb. 7. 50 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.
1487. WEST Morris. *Zeglarz*. Tłum. [z ang.] Adam Szymanowski. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 305, nrb. 3. 10 000 egz. WOLSKI M. – zob. ASF.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

Jakże często – z niepokojem, lękiem, obawą pytamy o przyszłość literatury science fiction. Jeśli fantastyka naukowa ukazuje niepewność jutra, jeśli jest metaforą współczesności, jeśli potrafi być eksperymentem myślowym i zarazem sensacją, przygodą, rozrywką – to właściwie dlaczego zalega półki księgarń? A przecież widok to coraz powszechniejszy.

Są jednak książki poza wszelkimi podejrzeniami. Książki potrzebne, poszukiwane, mówiące o dniu dzisiejszym i historii światowej science fiction, trafiające do coraz bardziej wybrednych czytelników. Należy do nich z pewnością antologia radzieckiej science fiction w wyborze znanych tłumaczy. Tadeusza Goska i Sławomira Kędzińskiego, wydana nakładem „Iskry”. Nie jest to, co prawda, jak zauważa współautor wyboru, Sławomir Kędziński, pierwsza pre-

szej uwadze, teraz otrzymujemy ją w formie uporządkowanej, zwartej, ujęte w jednym zbiorowym tomie. I dalej – zmienili się czytelnicy, inni są czytelnicy, proszę spojrzeć na ankietę „Fantastyki”, iluż jest takich, którzy wzięli to pismo do ręki dopiero w 1987 roku. Problem przemienności generacyjnej w polskiej science fiction, nowych lektur, zainteresowań, zachowania bądź odrzucenia tradycji literackiej jest nader istotny – może ktoś, kiedyś napisze o tym esej podobny szkicowi Davida Hartwella (zob. „Fantastyka” nr 12/87)?

Obok autorów renomowanych, pierwszorzędnych są w antologii Goska i Kędzińskiego pisarze o nazwiskach mniej znanych, tacy jak W. Poliszczuk, M. Puchow, B. Rudenko, A. Pieczeniński. O takim wyborze zdecydowały, jak twierdzi Sławomir Kędziński *nie tyle zobowiązania*

styka naukowa, porzucając swą „krótkodystansowość” zaczęła rozwijać się w kilku kierunkach – powstawały utwory o klasycznych tematach i konwencjach, ale także opowiadania o przesłaniach filozoficznych, na wpół prawdopodobne, poetyckie historie W. Szefnera, fantastyka humorystyczna i Warszawskiego, proza K. Bułyczowa. Nie było w tej literaturze autora na miarę Stanisława Lema (poza braćmi Strugackimi, rzecz jasna). Dobrze to i źle zarazem. Źle, bo przełamywanie starych wzorców dokonywało się wolniej, z mniejszą pasją, jak gdyby bez „ideowego przywódcy”. Dobrze – ponieważ łatwiej było sięgać do rozwiązań własnych, ważyć się na konfrontację z równorzędnymi pisarzami. Może dlatego fantastyka radziecka była inna niż nasza, miała swoją specyfikę – poza tym, że z dużą otwartością nawiązywała do rosyjskiej tradycji literackiej (teksty Szukszyna).

Była to po pierwsze fantastyka pomysłu, idei, problemu, znacznie mniej liczył się w niej eksperyment literacki, sposób przekazywania treści, od niej samej. Po drugie, była i jest to wciąż jeszcze (nawet w tekstach prozaików lat siedemdziesiątych) fantastyka „cudownego wynalazku”, pełna technicznych pomysłów, aczkolwiek zmieniła się wymowa tych utworów: pisarze zastanawiają się teraz nad problemem współdziałania człowieka z przyrodą, implikacjami „niezwykłych odkryć”, ekologicznymi, społecznymi kosztami przeobrażenia świata, z nieukrywaną ironią patrzą na naukowców, metody ich działania. Sławomir Kędziński zwraca uwagę na nurt „fantastyki ostrzegawczej” pisząc, że to, co w owej literaturze najważniejsze zawiera się w pytaniu o człowieka, że niekiedy blaha forma tych opowiadań skrywa niebłahą treść. To prawda. Coś szalenie ważnego dzieje się w fantastyce radzieckiej ostatnie lata: losy jednostki, subiektywnego przeżywania świata wypierają spojrzenie zbiorowe, społeczne – futurologia ustępuje literaturze „zamiast” atakującej pośrednio, ostrożnie a jednak zauważalnie trudne problemy współczesności. Z drugiej strony daleko jeszcze prozaikom radzieckim do porównujących wizji Zajdla, drapieżności tekstów Oramusa, generacyjnych przeczuć „czwartej generacji”, która narastała w Polsce w latach osiemdziesiątych. Choć, podobnie jak u nas, do literatury SF zbliżają się prozaicy nurtu głównego: Szukszyn, Jakubowski, Szerbakow, Łapin... Rozszerza się także mapa środowisk literackich: już nie tylko autorzy moskiewscy czy leningradzcy mają dziś w fantastyce radzieckiej głos decydujący (tę mapę nakreślą kolejne tomy „Galaktyki”).

Czy antologia Goska i Kędzińskiego zyska uznanie czytelników? Chyba już ją zyskała. Wstrzymałem się z oceną tej pozycji do końca roku. Od jej wydania upłynęło kilka miesięcy. Nakład obu tomów jest przeciętny: 30 tysięcy egzemplarzy. Cena spora, 500 i 450 zł. A jednak antologii w księgarniach nie ma. Jest ta książka na giełdach, czasem w antykwariatach, po znacznie wyższej cenie. I nie jest to bynajmniej „zupełnie inna historia”

**Zygmunt D. Buszniewski**

*Galaktyka I i Galaktyka II* – Radziecka fantastyka naukowa. Wybór T. Goska i S. Kędzińskiego. Iskry, Warszawa 1987. Cena 500 zł i 450 zł.

# Poza podejrzeniami

zentacja radzieckich opowiadań „fantastyczno-naukowych w Polsce, ukazały się przecież m.in. „Biały stożek Ałaidu” (1961), „Alfa Eridiana” (1962), „W pogoni za węzłem morskim” (1967), „Wynalazca wieczności” (1978), „Okno w nieskończoność” (1980), ale tamte pozycje są już na dobrą sprawę cymeliami. Co istotniejsze, nie mieliśmy, jak dotąd, antologii, która sumowała by dorobek radzieckiej, powojennej fantastyki naukowej.

I oto leży przede mną dwutomowe wydanie „Galaktyki”, ponad 700 stron druku, kilkadziesiąt tekstów 32 autorów, przełożonych przez 15 tłumaczy, opatrzonych wstępem i notami biograficznymi. W sumie kawał dobrej, solidnej roboty. I także potrzebnej.

Jakie są to teksty? Może najpierw – jakich autorów? Pytanie niebagatelne, skoro dotyczy reprezentatywności, uczciwości, świadomości wyboru. I od razu odpowiedź, znaleźli się w antologii chyba wszyscy znaczący autorzy radzieckiej fantastyki. Układ wyboru jest historyczny, chronologiczny, otwierają go opowiadania klasyki radzieckich fantastów Iwana Jefremowa, autora „Mgławicy Andromedy”, „Czasu Byka” (ta ostatnia powieść wciąż czeka na polskiego wydawcę!). Dalej idą teksty Kazancewa, Warszawskiego, Dnieprowa, Gansowskiego... wyliczać można by długo, ale lepiej przypomnieć, że znaleźli się w antologii opowiadania tak popularnych autorów, jak: A. i B. Strugaccy, K. Bułyczow, D. Bilenkin i W. Szerbakow. Niektórzy z nich są reprezentowani kilkoma tekstami – pomysł to chyba dobry, bowiem ranga autora polega także na umiejętności łączenia wielu konwencji, bogactwie środków stylistycznych, różnorodności przesłań. Co prawda, zamieszczone teksty były już w części prezentowane polskim czytelnikom, publikowane na łamach czasopism – zastanawiałem się nawet, czy nie uczynić z tego zarzutu autorom „Galaktyki”, ale chyba nie, wszak tamte publikacje wymknęły się na-

akademickie, nie próba zaprezentowania utworów ciekawych, charakterystycznych dla powojennej fantastyki. Czy próba ta się powiodła? Oto kolejne pytanie.

Pytanie nader istotne. Rozszerzmy je na zawartość całej antologii. A zatem: jaka jest fantastyka radziecka widziana oczami „antologistów”? A przy okazji – jaka jest wobec fantastyki polskiej, bo to powinno interesować naszego czytelnika.

Nie popełnia chyba błędu Kędziński twierdząc w swojej przedmowie, że *losy fantastyki w Związku Radzieckim tuż po wojnie były trudne* (...). Podobnie jak fantastyka polska, radziecka science fiction miała świetne tradycje: w latach dwudziestych zajmowali się nią Aleksy Tołstoj i Michał Bułhakow (dodajmy, że utopie techniczne pisali wcześniej W. Odojewski, A. Kuprin – u nas Adam Mickiewicz, później Jerzy Żuławski, a w dwudziestolecu: Antoni Słonimski). Niemniej, przy obowiązującej w ZSRR poetyce realizmu socjalistycznego wydawało się, że nie ma tam miejsca na coś takiego, jak maszyny czasu, podróże kosmiczne czy spotkania z innymi cywilizacjami. Polska fantastyka borykała się z podobnymi problemami na mniejszą skalę. W ZSRR „teoria granicy”, „fantastyki bliskiego zasięgu”, fantastyki na miarę... kolejnych planów gospodarczych trwała aż do wystąpienia Iwana Jefremowa (nawiasem mówiąc, przydałby się w antologii chociaż jeden tekst Niemcowa czy Ochotnikowa dla konfrontacji!). Znacznie trudniej było radzieckim fantatom przełamać kanony obowiązującej polityki kulturalnej, wykroczyć poza narzucony (!) model literatury popularnej spod znaku vernowskiej utopii, znacznie trudniej przejść pod znak antyutopii, rzeczywistego eksperymentu myślowego. W Polsce to przejście dokonywało się już w latach pięćdziesiątych, w ostatnim tomie trylogii Borunia i Trepki, w „Katastrofie na »Stońcu Antarktydy«” Adama Hollanka, w rozrachunkowej fantastyce Lema („Eden”, „Bajki robotów”). W ZSRR fanta-

Tudno się dziwić znaczeniu zainteresowania, jakie wzbudziło pojawienie się w księgarniach bestselleru Umberto Eco „Imię róży”. Autor ten, znany również czytelnikom „Fantastyki” (patrz nota o autorze i esej o SF w numerze 4/87) to światowej sławy semiotykoznawca. „Imię róży” stanowi jego pierwszą próbę literacką, która przetłumaczyła utarty pogląd, że teoretyk i krytyk jest w stanie rozłożyć dzieło na części, ale daleko mu do artystycznej duszy pisarza.

Książka zdobyła wielką popularność wśród czytelników, a i krytycy wypowiadają się o niej w samych superlatywach. Sławę pisarza podbudowuje, jeszcze ekranizacja dokonana z talentem i smakiem przez Jean-Jacquesa Annauda.

Akcja „Imienia róży” obejmuje ostatni tydzień listopada 1327 r., a wszystkie zdarzenia przebie-

gają w benedyktyńskim opactwie w Alpach Zachodnich. Ta średniowieczna dekoracja nie dziwi, gdyż Eco to również znany mediewista.

Narracja powieści opiera się na schemacie opowieści szkatułkowej, dzięki odnalezionym materiałom autor relacjonuje opowieść benedyktyńskiego mnicha – Adsa z Melku o przejmujących wydarzeniach, które spotkały go w młodości. Zakwalifikowanie gatunkowo „Imienia róży” przysparza niemałych kłopotów, nasuwają się na myśl kroniki średniowieczne, kryminały, alegorie czy powieści z kluczem. Akcja zogniskowana jest wokół tajemniczych morderstw w opactwie, ale stwierdzenie to, dla znających książkę, objawia całą swoją schematyczność i ubóstwo.

Popularność „Imienia róży” tkwi zapewne w jej wieloaspektowości. Wielbiciel zawikłanej intrygi będzie śledził z zapartym tchem tajemnice kolejnych morderstw, miłośnik historii zanurzy się w atmosferze średniowiecznego klasztoru, teoretyk literatury będzie odnajdywał fragmenty teorii Eco odciśnięte w tekście. Czytelnik lubiący po prostu dobrą książkę powinien zostać również usatysfakcjonowany, gdyż „Imię róży” to dobrze napisana, interesująca beletrystyka.

## W labiryncie znaków

Podziom intrygi stanowi jednak tylko powierzchnię struktury powieści, odczytywanie utworu przypomina średniowieczne studiowanie Biblii, które odbywało się na czterech poziomach: dosłownym, moralnym, alegorycznym i mistycznym. Pełnię wiedzy, a zarazem przyjemności, można uzyskać wnioskując we wszystkie sensy dzieła, również te bardziej skrywane.

Odbiorca może przeistoczyć się w badacza minionych wieków. Fabuła powieści odsyła do rzeczywistości autentycznej. Wiele przecież w „Imieniu róży” historycznych postaci biorących udział w akcji lub przywoływanych w rozmowach: Roger Bacon, Bernardo Gui, Umberto da Casale, Michele da Cesena, Fra Dolcino itd. Fikcyjne zdarzenia są dopełniane autentycznym średniowiecznym tłem akcji. W dysputy i rozważania wnikają najważniejsze problemy ówczesnej Europy inkwizycyjnej, a wraz z nią zagadnienie winy i kary, walka papieża z Cesarstwem czy doktryny ubóstwa Kościoła wywołujące liczne herezje. Klimat minionych wieków stwarzają nie tylko autentyczne postaci i zdarzenia, ale również zastosowana perspektywa narracyjna. Świat przedstawiony utworu jest ukształtowany z punktu widzenia benedyktyńskiego mnicha. Cała powieść to próba odtworzenia i przybliżenia średniowiecznego sposobu myślenia. Nowicjusz Adso zostaje wprowadzony w skomplikowany świat ówczesnej myśli i sztuki przesycony symbolizmem i alegorycznością tak dalece, że nawet zagadkę kryminalną próbuje się rozwiązać według wskazówek zaczerpniętych z Apokalipsy św. Jana.

„Imię róży” również pełne jest cytatów, aluzji i odniesień. Imiona mnichów przypominają znane postacie literackie i rzeczywiste. Niektóre fragmenty powieści są niemal wiernymi cytatami dzieł filozoficznych, teologicznych czy mistycznych (nie tylko zresztą średniowiecznych).

Wszystkie intrygi i wydarzenia prowadzą do wielkiego Labiryntu-Biblioteki, w którym następuje kulminacja i rozwiązanie akcji. Labirynt ma wielkie znaczenie w planie zdarzeń, ale stanowi również pewną figurę stylistyczną, oddaje wyobrażenie o schemacie strukturalnym całego utworu. Poszukiwanie śladów tajemniczych wypadków, rozważania teologiczne i filozoficzne rozwijają się odrębnie, aby w końcu, krzyżując się i przenikając, stworzyć jednorodną całość.

Labirynt ten komplikują liczne cytaty i zapożyczenia, które odsyłają czytelnika do historii, histo-

rii literatury i samej literatury w postaci książek. W ten sposób utwór nie ma końca, jest uwikłany w nieustanny proces odniesień i związków. Takie ukształtowanie tekstu wiele ma wspólnego z amerykańskim postmodernizmem, który zdecydowanie podkreśla niemożność istnienia literatury w próżni; książki mówią o książkach, zająbiają się i cytują wzajemnie.

Eco wypełnia swój labirynt znakami. Stanowią one przedmiot wielu rozważań zawartych w tekście. Znaki mają przecież niebywałe znaczenie dla dealektyki szukającego rozwiązania zagadki.

Są one punktem centralnym skupiającym wszystkie płaszczyzny struktury utworu. Eco ujawnia tu swoje zaafascynowanie semiotyką, która wcale nie jest dziedziną nową, a tkwi głęboko korzeniami w europejskim średniowieczu. Autor podkreśla wagę znaku; wszelka komunikacja międzyludzka ma charakter semiotyczny, wszystko co nas otacza może stać się znakiem. Żyjemy wśród znaków, mówimy znakami i o znakach.

Twórca „Imienia róży” nie pozostawia czytelnika bezradnym w stworzonym przez siebie labiryncie. Drogowskazem w nim są dotychczasowe teksty „Głosy do „Imienia róży”. Jest to jeden z tych esejów, w których artysta stara się przedstawić odbiorcy proces twórczy, przybliżyć motyw i powody, ułatwić poruszanie się w obszarze dzieła. W „Głosach” Eco porusza problem już przez niego podnoszony, a mianowicie odrębność dzieła literackiego od rzeczywistości, czym zarazem pomniejsza rozłam pomiędzy literaturą realistyczną a fantastyczną.

Tworzenie literatury to w ujęciu Eco problem niemalże kosmologiczny. Twierdzi on, że napisanie powieści musi poprzedzać ukształtowanie pełnego fikcyjnego uniwersum, niezależnie czy będzie się ono opierać na prawach realnego świata, czy też konie będą w nim latać, a ogórki śpiewać. W każdym z takich światów musi panować bezwzględna własna logika. „Głosy...” to relacja z problemów pisarza poświęcającego się takiej właśnie twórczej działalności. Tym samym powinny stać się lekturą obowiązkową dla wszystkich początkujących pisarzy SF i fantasy, bo ukształtowanie takich światów jest często sprawą trudniejszą niż odmalowanie świata opartego na realnej rzeczywistości. Niestety utwory pojawiające się w księgarniach świadczą często o prawdziwości tego stwierdzenia. Nie każdy może wymyślić „Imię róży” czy choćby „Hobbita”.

Wypada więc polecić „Imię róży” jako przykład wart naśladowania, gdyż po odrzuceniu przesądów gatunkowych, można odnaleźć w tym utworze ślady charakterystyczne dla literatury fantastycznej.

**Małgorzata Skórska**

Umberto Eco *Imię róży* Przełożył A. Szymankowski PIW, Warszawa 1987 Cena 900 zł

## Dziwna baśń

Hugo Hinart to pisarz jak najbardziej nam współczesny (ur. 1942), lecz jego opowieść, którą już „dziad pradziada” starych papug, „wypiewywał, siedząc na swej huśtawce”, zdaje się sięgać aż do początków wypędzania Nowego Świata i być „dokumentem” fascynacji oddalającą się Europą, żywym wtedy jeszcze mitem błędnego rycerskiego i egzotycznych zwierząt, takimi jak struś, hipogryf czy żyrafa.

To nie pomyłka. Szkoda „Galaora” li tyko dla napisanej w XX wieku, przewrotnej wersji starego romansu rycerskiego czy nawet dla psychoanalizy interpretacji wzorowanej na analizach Brunona Bettelheima, skoro można odetchnąć o swojoną już cudownością Ameryki i „rzewnej historii o śpiącej królowie-mumi i księżu Galaorze” wysłuchać wśród pierzastych tarcz herbowych i drzew o liściach w kształcie mieczy.

„Galaor” wygląda jak baśń, ale bardzo dziwna baśń, która grzecznie doprowadzając do konstytutywnego dla niej „bilansu zerowego” (dobro zostaje nagrodzone, zło ukarane), jednocześnie wzbogaca konwencję o winę tragiczną (być może w odczuciu niektórych ten bilans burzący) pewnej małej księżniczki. „Długo jeszcze twać będzie pamięć o chrzcinach”, przy kołysce „zgrumadziły się wróżki, by uroczysto ofiarować” mądrość, dobroć, piękny głos i elokwencję i spełniło się. „Dzięki działaniu czarów mała księżniczka przeszła metamorfozę. Jej głowa, aby pomieścić wielką mądrość, urosła ponad wszelką miarę, jej twarzyczka o harmonijnych przedziałach rysach...”, jej szyja i ręce. Czym jesteś, „Galaorze”?

Wydaje się, iż nie na próżno przez całą opowieść przewija się motyw poprawiania natury, ingerowania w niedostępne ludziom decyzje Pana Wszelkich Zdarzeń. Przed upraniem magii „bez głębokiego zrozumienia wszystkich przyczyn i skutków” ostrzega swoje młodsze koleżanki wróżka Walet Pik. Tytułowy bohater rozmawia z innymi rycerzami o wolności w podporządkowaniu się prawom błędnego rycerstwa, o dziecizności i przeznaczeniu i o niemożności odkrycia tych w pełni prawdziwych znaczeń dokonywanych czynów. Historia Nieodgadnionej Anny, tragiczny los budowniczego Ogrodu Trzystu Drog, żalostny koniec szalonej działalności mistrza kuglarzy, czy gwałtowny protest Galaora po wysłuchaniu ostatniego żołnierza wojny nad wojnami uzupełniają obraz.

Podsumowując swoje doświadczenie Galaor dochodzi do wniosku, iż musi po prostu żyć, żyć mocno i świadomie, musi nagiąć rzeczywistość do własnych pragnień, gdyż tylko w chwili stawania się czynny mają uchwytliwy sens, i że nie należy zabierać się za poprawianie świata, gdyż dostrzeżenie zbawienności jego pozornego chaosu przekracza poznawcze zdolności człowieka.

Bardzo ważne słowa wkłada Hinart w usta Galaora: „Sztuczny świat Diomedesa od początku był mi wstrętny; (...) nienawidzę niewoli!” Niewoli, zamknięcia w świecie zbudowanym na naszej tylko miarę, w którym bez niewiadomych, a więc i bez nadziei, ze świadomością bezsensu marzeń i tęsknot, zylibyśmy uszczęśliwieni na siłę. Tak właśnie, jak przyjdzie żyć małej księżniczce.

Ponieważ literatura iberoamerykańska dała się już poznać jako zainteresowana intelektualną grą i ponieważ Hugo Hinart jest z wykształcenia filozofem, niełatwo wyczerpać zawartość w jego opowieści odwołania do różnych epok i kultur. Zostało do odkrycia jeszcze bardzo wiele, zapraszam więc was, błędni rycerze, marzący o uszczęśliwieniu świata, do wędrówki śladami dzielnego Galaora, gdyż naprawdę warto posłuchać toczonych przez rycerzy rozmów i obejrzeć świat tej dziwnej baśni.

**Magdalena Szmit**

Hugo Hinart. *Galaor* Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987 Cena 190 zł



Przy końcu roku 1987 red. Maciej Howiecki wybrał się na trzy miesiące do Stanów Zjednoczonych, między innymi w poszukiwaniu materiałów do swej nowej książki. W czasie jego nieobecności, w miejsce felietonu „Z tamtej strony lustra”, proponujemy Państwu zapis długiej, dwuczęściowej, rozmowy, jaką z Maciejem Howieckim przeprowadził tuż przed jego wyjazdem Maciej Parowski.

# Szczeliny<sup>(1)</sup> z Maciejem HOWIECKIM rozmawia Maciej Parowski

**Maciej Parowski:** – *Podchwytliwe pytanie: Czyta pan prozę fantastyczną, czyta pan „Fantastykę”, czy tylko pan w tym piśmie drukuje?*

**Maciej Howiecki:** – Bardzo lubię fantastykę i „Fantastykę”, jestem od początku wielkim zwolennikiem pisma. Mam obszerny zbiór książek z tego gatunku. I ciekawie mnie, nawiasem mówiąc, polaryzacja postaw wokół science fiction. Bardzo mało jest ludzi, mających do fantastyki stosunek obojętny. Albo jej nienawidzą, odsadzają fantastykę od czci i wiary, jak choćby pan Stanisław Lem, który uważany jest za głównego jej twórcę; podobnie deklaruje żywotową niechęć do fantastyki wielu znanych mi polskich naukowców. Z drugiej strony widzi się tysiące bezkrytycznych wielbicieli, którzy czytają wszystko, bez żadnej selekcji, dając pole literaturze niskiego lotu. A przecież chciałoby się, żeby fantastyka była zawsze zapłodniającą myślowo. I ta dobra fantastyka jest taką i spełnia ważną rolę społeczną. Bo głównym zadaniem fantastyki jest chyba kształcenie wyobraźni. Moim zdaniem, zresztą nie tylko moim, bo także na przykład Einsteina (więc mam dobrych poprzedników), wyobraźnia jest ważniejsza nawet od wiedzy. Fantastyka w cudzysłowie i bez mogłaby więc spełniać rolę korygującą wobec modelu oświaty współczesnej, nastawionego przede wszystkim na wiedzę, na zdobywanie informacji. Może uczyć stawiania podstawowych, dziecinnych pytań, które dziś też okazują się bardzo ważne dla naszego rozumienia nauki i świata.

– *Informacji – barwnych, intrygujących, zadziwiających informacji – też nie brak w pana felietonach. Czy mogłby pan zdradzić szczegóły dotyczące felietonowej kuchni?*

– To pytanie często pada na spotkaniach z czytelnikami. Każdy ma inną melodię chłonięcia tych rzeczy, pompowania się wiedzą, ale podstawą, wydaje się, jest dobre archiwum. To znaczy czytam niezliczone ilości pism naukowych i popularnonaukowych polskich i zagranicznych i potem gromadzę setki wycinków w teczkach dotyczących różnych tematów. Widzi pan tutaj u mnie – np. grzyby, kosmos, życie roślin, koniec Wszechświata, zmiana płci, dzieci z próbówki, filozofia Wschodu, zmęczenie, język i rzeczywistość... Z pism zagranicznych czytam stale, bo jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że dostępne są w archiwum „Problemów”, choć z powodów finansowych i ta pula się zmniejsza: „Scientific American”, „New Scientist”, „Science News”, „Discover”, „Science et Vie”, „La Recherche”, „Priroda”, „Psychologic Today” itp. Mam też olbrzymi własny zbiór książek na różne tematy. Z wyjazdów zagranicznych przywożę kilogramy papieru... W USA w przeciwieństwie do Wiktora Osiatyńskiego, który robił bardzo ciekawe rozmowy z amerykańskimi profesorami,

siedziałem przede wszystkim w bibliotekach, przywożąc potem stamtąd walizy materiałów. Tam idzie się po prostu do Wielkiej Biblioteki Nowojorskiej i przegląda, i robi notatki, bądź za parę centów odbija stronie książki czy czasopisma na ksero. No a Amerykanie szczególnie umiejają sprzedawać swoje odkrycia, im chodzi przecież o sensacyjność ujęcia, żeby pisma były kupowane. Jest to więc świetnie robione i ja się tam po prostu pompuję pomysłami, które potem mogę tu sprzedawać. Z tego żyję. Moją ulubioną dziedziną jest biologia, nauka o życiu i medycyna. Interesuję się też fizyką i mam tu pewne podstawy, bo ukończyłem wydział jednak nauk ścisłych (biochemia), a jednocześnie nietypowo ścisły, bo nie jest to czysta fizyka czy astronomia, ale biologia. Myślę, że to się okazało ważne w mojej felietonowej praktyce – sposób myślenia wyrobiony na tych właśnie studiach, stosunek do źródeł, do archiwów.

– *Praca w „Polityce”, w „Problemach” umożliwiła stałe kontakty z wieloma polskimi naukowcami. Czy można sobie wyobrazić, że pisze pan felieton wyłącznie na podstawie opracowań i dokonań naukowców polskich? Czy dalałoby się z tego żyć?*

– Trzeba powiedzieć, że gdybym musiał, to najprawdopodobniej bym wyżył, ale byłoby mi trudniej. Z paru powodów. Jeśli chce się wiedzieć, co naprawdę dzieje się w nauce, to trzeba mieć orientację, co dzieje się u najsilniejszych. A dziś centra, w których tworzy się wielka nauka to USA, kraje najbardziej rozwinięte i ZSRR. Tam mają przyrządy, tzw. warsztaty, środki na naukę, wspaniałe banki informacji. U nas natomiast skrzępowanie nauki nie wynika, jak sądzą niektórzy, z ograniczeń doktrynalnych – badać i pisać można dziś wszystko – tylko z braku możliwości czysto materialnych, a także z braku dostępu do informacji. To jest groza, co nas czeka w polskiej nauce, jeśli nic się nie zmieni pod tym względem. Ale jest i drugi problem. Zauważam także, iż polscy uczeni z coraz większym trudem, czy coraz gorzej potrafią sprzedawać swoje osiągnięcia. Kiedyś fizycy jak Leopold Infeld, Władysław Natanson, Arkadiusz Piekara, filozofowie jak Władysław Tatarkiewicz czy Tadeusz Kotarbiński... umieli w niezwykły i piękny literacko sposób przedstawiać i to co się dzieje w nauce i własne przemyślenia. Potrafili pisać piękne eseje, z których ja jako laik mogłem czerpać wiele do myślenia, uczyć się na tym. Natomiast dziś – nie wiem – czy pogłębienie specjalizacji, czy przywiązanie do formalizmu, czy strach przed śmieszłą syntezą, przed pytaniami ogólnej natury, sprawia, że nasi naukowcy piszą mało i najczęściej nieprzystępnie. Zapewne jest w tym też lęk przed narazeniem się środowisku (mam stałe na myśli tzw. popularyzację

nauki i wiedzy). Zauważam wyraźną zmianę atmosfery i obawę przed tym, żeby się nie wychylić, nie narazić na śmieszność. Do tego dochodzą sprawy finansowe. Pisanie książek popularnonaukowych jest nieoptyczne, a porządnie zrobiona popularyzacja to przecież ciężka robota. Ale jestem zdania, że jeśli ktoś nie potrafi wyjaśnić, czym się właściwie zajmuje tak, żeby go każdy zrozumiał, to znaczy, że on sam nie do końca to rozumie. Można oczywiście znaleźć i przykłady na tezę przeciwną. Podobno Einstein nie potrafił popularnie wyjaśnić swej teorii...

– *Może dlatego, że wiele z jego wyjaśnień zawierało się w matematycznych równaniach. Domyślam się, że zaprzyjaźnieni naukowcy mają do pana żal o felietony u nas. Poważny popularyzator pisze dla młodych ludzi w „niepoważnej” „Fantastyce” o Yeti, Minotaurze, trzecim oku...*

– Ma pan rację. Bronię się tym, że jeśli chcę do młodych ludzi trafić z naukowymi problemami, to należy to robić w takim właśnie piśmie, które jest przez młodych czytane i lubiane. Według starej zasady – bawić ucząc, uczyć bawiąc. Po drugie, przyznaję się zawsze, że pisanie w „Fantastyce” jest dla mnie wielkim odprężeniem psychicznym i rodzajem zabawy. Pisząc do was mam przed oczyma krytycznych, młodych ludzi, którym nie mogę wtykać waty, dlatego sprawdzam zawsze wszystkie informacje bardzo dokładnie. Jeśli powołuję się na fakty wyglądające zbyt fantastycznie czy niepoważnie, to piszę, że to było na przykład w „Nature” lub w „Science”, czy w innym poważnym czasopiśmie naukowym. I rzeczywiście kilku znakomitych profesorów ma mi za złe pisanie w „Fantastyce”. Mówią – gdzie pan tam włoży, na te pogranicza, skoro jeszcze nie wiadomo, czy to jest prawda czy nie? A może okazać się bzdurą? Odpowiadam, że przecież zawsze się zastrzegam, co jest tylko pomysłem, co mocno nawet czasem krytykowaną, ale ciekawą koncepcją, a co już hipotezę uznaną powszechnie w nauce! Oni się krzywią, a ja z uporem maniaka powtarzam tezę o kształceniu wyobraźni. Choć oczywiście w żadnym razie nie chciałbym zamulać młodych umysłów czy szerzyć tzw. irracjonalizm.

– *Miałbym nieco inne spostrzeżenie dotyczące cyklu „Z tamtej strony lustra”. Dla „Fantastyki” pisze pan felieton o charakterze ciekawostkowym, dość konsekwentnie unikając syntez. To są niemal zawsze kurioza, barwne, ciekawe przypadki, których pan nie podsumowuje, zostawiając sprawę otwartą. Pamiętam piękny pana felieton w „Odrze” o Tamie Asuańskiej, o krachu pewnego uzurpatorskiego stosunku do przyrody – rzecz zamknięta, stawiająca kropkę nad „i”. U nas inaczej. Zatrzymuje się pan na progu pewnych rozstrzygnięć, podprowadza czytelnika do ciekawych tez, ale ich nie stawia. Cytuje pan na przykład Roberta Dicke mówiącego, że świat wygląda na zrobiony po to, żeby „wydać człowieka”, ale nie wprowadza hipotezy Boga, mimo że wisi ona w powietrzu. Rozdaje pan pokerowe karty i mówi – a teraz gracie sami. Oczywiście jest jedno zbiorowe przesłanie, które można według mnie odczytać z pańskich felietonów: w naszym świecie, w dotychczasowym*





**tw. naukowym widzeniu świata rysują się ostre szczeliny, czy białe plamy niepewności, z którymi coś trzeba będzie zrobić.**

— Trafnie pan odczytuje moje intencje, nie chcę niczego przesadzać. Chcę zdać się na krytycyzm młodych ludzi, pozwolić im wybierać, ale ogólnie przesłanie moich felietonów jest zgodne z tym co pan mówi. Właśnie o te szczeliny mi idzie. Natomiast felietony w „Odrze” mają charakter bardziej publicystyczny, traktujący o problemach zbliżonych do szeroko rozumianej polityki — społecznej, gospodarczej. W „Fantastyce” przyjąłem założenie, może niesłuszne, że potrzebna jest informacja o tym co się dzieje we współczesnej nauce, ale młodym ludziom należy te sprawy sprzedawać w otoczkę pewnej sensacyjności. Należy ich uczyć krytycznego myślenia, czy przekazywać treści informacyjne w lepszy sposób. Dlatego często wybieram takie dziwne tematy. Na przykład — wampiry, które wyglądają na stworzenia wymyślone (nawiasem mówiąc powtarzające się legendy o wampirach to specjalność słowiańsko-litewska), a mimo to istnieją możliwości wyjaśnienia tego przypadku w granicach współczesnej nauki jako pewnej choroby krwi. I wtedy dziwny wygląd „wampirów”, ich niechęć do czosnku, ich krwiożercze instynkty, w ogóle ich istnienie jako ludzi chorych — można uznać za fakt, nie za mit. Powtarzam — można. Wyjaśnienie może być inne.

— Czytając od lat pana felietony, oczekiwałem jednak, także u nas, sformułowanej wprost deklaracji czy refleksji syntetycznej. Nauka ma dziś kłopoty z sobą samą, zmienia się, zmienia się też nasz stosunek do nauki. Ot, choćby takie wyznanie: kiedy dwadzieścia parę lat temu zaczęliśmy pisać felietony o nauce, myślałem, że... A tymczasem...

— Tu rzeczywiście wiele się zmieniło. Z przesadnego entuzjazmu, który kiedyś żyłem razem chyba z całym moim pokoleniem, z takiej pełnej ufności wiary w to, że nauka wszystko załatwi i wszystkie rozwiąże, wpadamy dziś w przeciwnie nastawienie. Zresztą tylko częściowo słusznie, bo na przykład w sprawach AIDS, czy nowych źródeł energii, czy wypraw na Księżyc, czy problemów z żywnością, czy biotechnologią — wsparcia nadal możemy oczekiwać wyłącznie od naukowców. Ale jest nowa, skrajna, bardzo uaktywniająca się dziś postawa, którą lepiej niż kiedyś rozumiem, że nauka jest wszystkiemu winna, że to właśnie jej postępowanie doprowadziło nas do różnych niebezpieczeństw. Gdyby nie było nauki, nie byłoby bomby atomowej, inżynierii embrional-

nej, wszystkich kłopotów i niebezpieczeństw związanych z programowaniem własnej ewolucji, tzn. z wkroczeniem człowieka we własną naturę biologiczną. Myślę, że jak często bywa, najsłuszniejsza jest postawa „w środku”, przyznająca, że wiele jeszcze możemy dobrych rzeczy oczekiwać od nauki, ale jest wiele innych problemów, których nauka nie rozwiąże, bo nie jest do tego powołana. Będziemy musieli rozwiązać je sami, we własnym sumieniu. Jest to sprawa różnych wartości, którym należy służyć albo je odrzucać. I w tych wyborach nauka nie może nam pomóc lub może pomóc niewiele.

— Bo nauka z definicji nie zajmuje się wartościami tylko faktami?

— Tak i z tego powodu mogą być z nauką różne, coraz większe kłopoty. Nauka wchodzi teraz na tzw. obszary zastrzeżone — kiedyś zastrzeżone dla Stwórcy. Tworzy żywe organizmy. Krzyżuje gatunki na przykład człowieka z małpą (co jest w projekcie). Wkraczamy w szalenie niebezpieczny etap traktowania człowieka jak plasteliny, z której wszystko można zrobić, poprawić nasz niedoskonały wizerunek biologiczny lub psychiczny. Czy rzeczywiście można? — to znaczy, czy nam wolno? Nawet jeśli intencje będą dobre, to może się to skończyć tragicznie.

Dlatego, że po pierwsze to naprawdę bardzo mało wiemy o tym, co jest dobre dla człowieka. Po drugie jest zawsze więcej skutków naszych działań niż ten jeden, do którego zmierzamy i zwykle te skutki uboczne są niekorzystne. Myślę, że nie dotyczy to tylko biologii, lecz w ogóle wszystkich przedsięwzięć ludzkich, także społecznych, technicznych. I po trzecie — krocząc bez żadnych skrępowań po drodze rozwoju nauki zaczynamy przekraczać zasady i zakazy ustalone w historycznym rozwoju ludzkości, zasady, które były dobre. Sprawdziły się. Na przykład zasada — nie zabijaj...

— ...Nie współyż (nie krzyżuj się) ze zwierzętami. Więc może nauka da się częściowo przynajmniej uzgodnić z religią, lub religiami, które przez długie wieki okazywały się niezawodnymi strażniczkami wartości? Jak to jest — czy światopogląd naukowy i religia rzeczywiście są skazane na konflikt? Słyszysz się o naprawdę wielkich naukowcach, dla których ten konflikt nie istniał i nie istnieje.

— Było jednak takie przekonanie, czy model w głównym nurcie XX-wiecznej nauki, że jest ona sprzeczna z wiarą. Teraz to się zmienia. Ja reprezentuję pogląd, że nauka jest jednym z najlepszych może źródeł wiedzy o świecie nas otaczającym i o nas samych, ale nie jedynym. I mało tego, że nie jedynym — jest również źródłem niewystarczającym. Równie ważne są literatura, filozofia, religie, sztuka, intuicja wewnętrzna, wewnętrzne przekonanie. Na przykład właśnie sumienia, które mówi nam, że to można robić, a tego wolno — nie da się dziś uzasadnić naukowo. Właściwie są próby wywodzenia na przykład zasady „nie zabijaj” z jakichś ewolucyjnych zachowań, ale to ciężko iść. Zresztą wołałbym, żeby nie znaleziono na przykład „Wzoru na Dobro”, na zachowania altruistyczne — wołę myśleć o tym jak o danej tylko nam istocie człowieczeństwa. Dlatego myślę, że nie ma między nauką a wiarą takiej sprzeczności, jak się uważało w wieku XIX, z którego wyrósł model scjentyzmu, odrzucającego wszystko co nie jest weryfikowalne naukowo.

— Scjentyzm — to słowo brzmi jak epitet. Niemal wszyscy odzegnują się dziś od scjentyzmu. Mówi się natomiast o nowym stylu uprawiania nauki, o idącym do nas nowym paradygmacie. Co to takiego?

## Maciej IŁOWIECKI

Ur. 28 II 1935 r. Ukończył biochemię na Wydziale Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie cztery lata pracował jako asystent. Potem porzucił biologię na rzecz dziennikarstwa. Wieloletni kierownik działu nauki i oświaty tygodnika „Polityka” (od 1959 r.). W 1964 r. pojawił się na łamach tego pisma pierwszy felieton Iłowieckiego z cyklu „Nasz wiek XX”, mówiący o rozszyfrowaniu struktury DNA, tzw. podwójnej spirali.

Od 1983 r. felietony „Nasz wiek XX” ukazują się w miesięczniku „Odra”. Ich autor kieruje obecnie działem nauk

biologiczno-medycznych w miesięczniku „Problemy”, publikując także felietony w „Fantastyce” („Z tamtej strony lustra”) i w „Małej Fantastyce” („Z krainy zdziwienia”). Wydał zbiory felietonów z „Polityki”: „Nasz wiek XX” i „Nowy, niezbyt wspaniały świat” (Wiedza Powszechna 1972 i 1974), a także „Dzieje nauki polskiej” (Interpress 1981) i „Z tamtej strony lustra” — wybór do roku 1984 („Alfa” 1987).

Czytelnicy „Fantastyki” w redakcyjnych plebiscytach dwukrotnie wybierali Macieja Iłowieckiego ulubionym autorem pisma na lata 1984/1985 i 1986.





## MUCHA

W 1958 r. Kurt Neumann nakręcił film pt. „Mucha”, uważany dzisiaj za jeden z klasycznych obrazów grozy. Scenariusz wykorzystywał popularny temat SF: naukowiec-dziwak (łagodniejsza forma szalonego naukowca) dokonuje epokowego odkrycia, udaje mu się zbudować maszynę do transmisji materii. Kiedy przeprowadza próbę na sobie, do komory urządzenia przypadkowo dostaje się mucha – efektem eksperymentu staje się człowiek z głową i ramionami owada oraz mucha z głową człowieka. Obie istoty, na szczęście, giną, jedna w hydraulicznej prasie, druga w śmiertelnych uściskach pajaka.

Korzystając z pomysłu Neumanna, kanadyjski reżyser David Cronenberg zrealizował w 1986 r. s w o j ą „Muchę”. Ale choć utwór utrzymany jest w konwencji filmu grozy, tematem, który naprawdę pasjonuje twórcę jest namiętność i miłość.

Już pierwsza scena, w której główny bohater Seth Brundle (Jeff Goldblum) spotyka na przyjęciu zorganizowanym przez firmę finansującą jego eksperymenty, dziennikarkę z „Particle Magazine” – Veronicę Quife (Geena Davis) nie przebiega zgodnie ze stereotypem. Szalony naukowiec jest po prostu mężczyzną usiłującym zwrócić na siebie uwagę kobiety. Z kolei Veronica czując, że to jej kobiecość interesuje Seta, nie wierzy opowieściom o tajemniczym wynalazku, który ma zmienić świat. Traktuje jego słowa jako niezręczną próbę zbliżenia.

Jednak genialny wynalazek istnieje.

Nie zdradzę tajemnicy ujawniając na czym to wielkie odkrycie polega, bowiem reżyser trzyma się wiernie scenariusza z 1958 r.: po opatentowaniu wspomnianego urządzenia nie będziemy musieli tłoczyć się w pociągach, autobusach, samochodach; wystarczy wsiąść do „budki telefonicznej” (jak ochrzciła to urządzenie Veronica), żeby wysiąść po chwili z drugiej, oddalonej o setki kilometrów. Wszystko dzieje się w ułamku sekundy, gdyby nie mucha, która i tym razem wchodzi się z wynalazcą w tej samej kabinie, w czasie teleportacji.



Film zbudowany jest na zasadzie dwóch przeplatających się wątków: historii naukowca i historii mężczyzny. Kiedy spotykamy go po raz pierwszy, Seth jest całkowicie oddany nauce, nie ma własnego życia. Jest niewinny. Ale jego „czystość” jest przeszkodą w poznaniu. Kolejny próg wiedzy będzie mógł przekroczyć dopiero po zerwaniu owocu z drzewa dobrego i złego. Romans z Veronicą pozwoli mu zrozumieć czym jest ciało i umożliwi stworzenie komputerowego programu przeprowadzenia teleportacji żywego organizmu.

Karą, zarówno za stratę niewinności, jak i za przekroczenie granicy wiedzy dostępnej ludziom (przy czym jedno wynika z drugiego – temat to aktualny od momentu wygnania z Raju), będzie przemiana w potwora.

Reżyser ujawnia swój stosunek do seksu, w momencie kiedy pokazuje widzowi Brundle'a, który – sam nie będąc tego świadom – stał się Brundle'em-muchą. Pierwszym objawem degeneracji jest wzmożona aktywność seksualna.

Reżyser konsekwentnie pokazuje, że u źródeł każdego działania leżą przeżycia uczuciowe i emocjonalne, niewiele mające wspólnego z postuśzaniem wobec chłodnego umysłu. Seth przeprowadza na sobie doświadczenie próbując zermieścić się na wymyślonej wierności Veroniki. Jego nieszczęśliwe i w dodatku pijane ego pragnie dowodu własnej siły.

Dopiero świadomość tego, co się z nim naprawdę stało (gdy stygną emocje budzi się rozum) zmieni euforyczny nastrój bohatera, zmieni też klimat filmu, który nieoczekiwanie nabierze w tym momencie ciepła, wypełni się uczuciem, które niewiele będzie miało wspólnego z ciałem.

Reżyser, przez pokazanie stosunku uczuciowego Veroniki do Seta-muchy, narzuca nam sposób patrzenia na stworzoną przez siebie postać. Siedząc na widowni dzielimy z nią obrzydzenie podczas ewolucji Brundle'a-muchy, jednak współczucie przeważa nad wstrętem i nie pozwoli jej opuścić głęboko nieszczęśliwego człowieka.

Uczucie ma też głęboki wpływ na Seta. Podczas gdy stopniowo traci swoje człowieczeństwo przekształcając się w owada (choć wciąż jeszcze ludzi się, że uda mu się ten koszmarny proces odwrócić), odrzucając egoistyczną, choć naturalną, potrzebę dzielenia z kimś swego nieszczęścia – stanie się tym bardziej człowiekiem. Gdy czuje, że natura owada zaczyna brnąć nad nim górę, każe Veronice odejść.

Jednak nawet miłość nie zdola go uratować. Zmieni się w monstrum, które będzie błagać o łaskę śmierci, pozostawiając Veronikę z jej brzemieniem, noszonym w tonie dzieckiem (lub dzieckiem-muchą), będącym karą za zniszczenie jego niewinności.

Choć zazwyczaj filmy grozy traktuje się jako kino rozrywkowe, tym razem mamy niewątpliwie do czynienia z wyjątkiem. Refleksyjny nastrój obrazu podkreśla jego kolorystyka: czerń, biel, szara, zmatowiała zieleń. Twórcy filmów science fiction nader często starają się pokazać futurystyczną wizję świata, jednak „Mucha” Cronenberga jest zapisem stylu roku 1986 i to nie tego z ulicy, lecz prosto z piśm dyktujących modę. Zdjęcia Veroniki mogłyby znaleźć się w „Vogue”, a miejsce akcji, pozostawiające w pamięci wspomnienie szarości i brzozy, nagie ściany laboratorium, surowość pomieszczeń również odpowiada modzie w fotografii. Film ma zatem również zaletę zbliżenia nas do tego, co modne w sztuce użytkowej.

Epatowanie dosłownością, naturalnością zbliżającą się do brzydoty wyraża się w tym filmie wieloma scenami, które mogą w widzu budzić obrzydzenie i wstręt. Żeby dotrzeć do sedna myśli Cronenberga trzeba przedzierać się przez straszliwą powłokę.

**Dorota Malinowska**

## David CRONENBERG

Scenarzysta i reżyser specjalizujący się w SF podążający w kierunku horroru. Talent wukazywaniu na ekranie scen szokujących zapewnił mu wysoką pozycję w czołówce reżyserów tego podgatunku, wśród tuzów tej miary, co George Romero czy John Carpenter. Filmy Cronenberga wzbogacają konwencję SF o charakterystyczne dla jego pokolenia spojrzenie na naukę, jako siłę wysługującą się zlu. Charakterystyczna jest też dla nich fascynacja seksem.

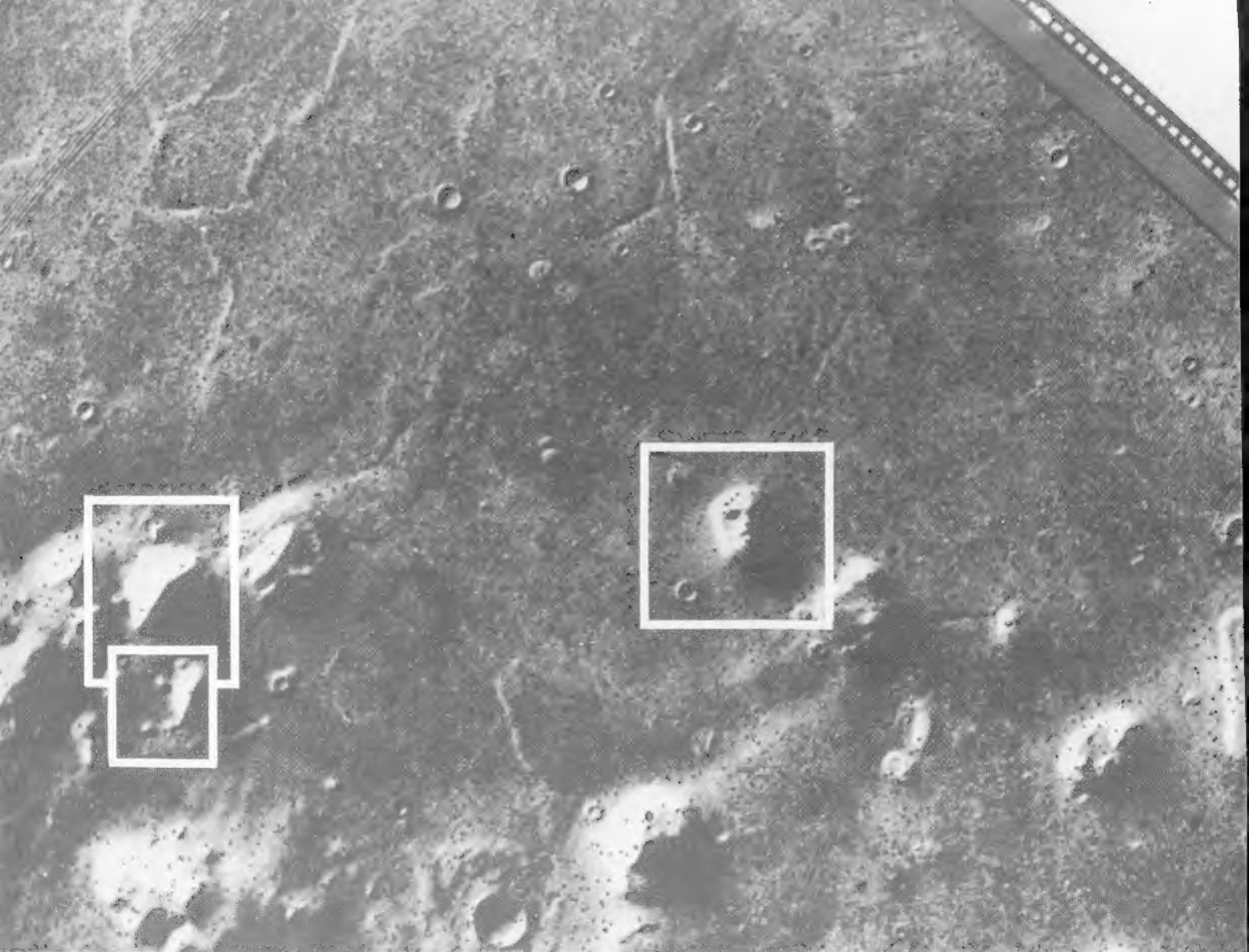
Cronenberg urodził się w 1944 r. w Kanadzie. Jest absolwentem uniwersytetu w Toronto, gdzie zrealizował w 1970 r. przy pomocy kolegów swój pierwszy film „Crimes of the Future” – opowieść o chorym umysłowo lekarzu, będącym jednocześnie manifestem artystycznym młodego reżysera.

Pierwszym obrazem komercyjnym Cronenberga był „They Came From Within” (1975), pokazujący inwazję kosmicznych pasożytów, zmieniających ludzi w opętane seksem monstra. Następny był „Rabid” (1977), film o wampirach, w którym zagrała Marilyn Chambers – królowa filmów porno („Rabid” przyniósł twórcom ogromne zyski).

Kolejne filmy to: „The Brood” (1979) opowiadający o dzieciach-mutantach oraz „Scanners” (1981) o osobach dysponujących destrukcyjną siłą psychiczną. Film ten był dużym sukcesem, zarówno komercyjnym, jak i artystycznym. W 1983 r. powstaje „Videodrome” i wreszcie w 1986 r. „The Fly” (Mucha) pierwszy film tego reżysera prezentowany w naszych kinach.

(D.M.)





## Uzupełnienie do „Marsjańskiej metropolii”

Ponad dwa lata temu, w „Fantastyce” nr 1/86, ukazał się artykuł „Marsjańska metropolia” tłumaczony z amerykańskiego czasopisma „Omni” przez Jarosława Włodarczyka. Artykuł ten omawiał hipotezy, jakie wysunęła grupa trzydziestu badaczy amerykańskich po powtórnym przeanalizowaniu zdjęć powierzchni Marsa dokonanych w 1975 r. przez sondy „Viking” I i II. Zdjęcia te pozwoliły dostrzec teraz zdumiewające struktury, które owa grupa badaczy, a przede wszystkim jej rzecznik, Richard Hoagland, uznają za struktury sztuczne, będące zapewne tworem jakiejś inteligencji. Szczególnie dwa spośród nich wzbudzają zainteresowanie: jeden określony jako „ludzka twarz” oraz drugi, na zachód od niej, uznany za piramidę.

Nie zamierzam powtarzać tu tych wszystkich argumentów, które zdaniem Hoaglanda i jego kolegów przemawiają za „sztucznością” tych struktur, jak też nie będę wyliczał kontrargumentów, którymi szermują ich przeciwnicy, a szczególnie prof. Harold Masursky. Wobec tego jednak, że zamieszczony w „Fantastyce” artykuł nie był wówczas ilustrowany, załączam odpowiednią fotografię. Otrzymałem ją od NASA. Ta właśnie fotografia jest głównym przedmiotem sporu. W katalogu NASA

Tymczasem sprawa ewentualnego życia na Marsie nadal absorbuje uwagę naukowców. Dwie nowe przesłanki, które ostatnio się ujawniły, uczyniły ją jeszcze bardziej zagadkową.

Przede wszystkim warto przypomnieć, że trzy lata temu odnaleziono na Antarktydzie (głęboko w skorupie lodowej) odłamki skał, których analiza bez żadnej wątpliwości wykazała, że pochodzą one z Księżyca i z Marsa. Na temat tych znalezisk, o których w swoim czasie rozpisywano się – ostatnio raczej cicho. Jeżeli idzie o odłamki skał z Księżyca uczeni doszli do wniosku, że uderzenie dużych rozmiarów meteorytu w powierzchnię naszego satelity mogło spowodować oderwanie się od niej jakiegoś odłamka skały. Jeśli uderzenie było bardzo silne, ów odłamek mógł znaleźć się w przestrzeni kosmicznej i trafić (przypadkowo) na Antarktydę. Powiedzmy... Ale co z odłamkiem pochodzącym z Marsa? Tutaj już podobnego argumentu użyć się nie da. Skała z Marsa jako coś bardzo niewygodnego spoczęła w jakimś akademickim muzeum.

Ale to nie wszystko. Okazuje się bowiem, że i sprawa życia na Marsie nie jest taka jasna. Jak wiadomo, przeprowadzone podczas lotu „Vikingów” doświadczenia

tej planecie jest niemożliwe. Kilku badaczy wpadło jednak na pomysł, aby na Antarktydzie, w rejonach, gdzie warunki klimatyczne i glebowe są identyczne z panującymi na Marsie, przeprowadzić serię takich samych doświadczeń, jakie na powierzchni czerwonej planety przeprowadziły sondy „Viking”. I oto okazało się, że takie same doświadczenia dały identyczne wyniki! Inaczej mówiąc, gdyby mieszkaneć jakiejś odległej planety wysłał sondy na Ziemię i sondy te przeprowadziłyby tu doświadczenia takie, jak „Viking” na Marsie – okazałoby się, że na naszej planecie życie jest niemożliwe.

Tak to wszystko mniej więcej dzisiaj wygląda. Od hipotez do stwierdzeń bardziej kategorycznych będzie można przejść dopiero wtedy, kiedy pierwsze ekspedycje z Ziemi wylądują na Marsie, czyli za jakieś ćwierć wieku. A więc – trochę cierpliwości i dowiemy się, czy twarz na Marsie to twarz i czy piramida to piramida. No i jak z tym życiem... Natomiast co do odnalezionych na Antarktydzie skał z Marsa, czekamy na ogłoszenie w prasie: „Astronauta sprzed piętnastu tysięcy lat zginął na Antarktydzie odłamki skał z czerwonej planety. Łaskawy znalazca zechce je odnieść za wynagrodzeniem do... Do kogo? Gdzie? Ra!



Siudmak • 004 •

